



STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

---

**Dzieci szatana**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

# Dzieci szatana

POWIEŚĆ

## PIERWSZY ROZDZIAŁ. KRÓL NOWEGO SYJONU

I

Gordon silnie pochylił się naprzód i zmierzył Ostapę ostrym, niespokojnym spojrzeniem.

— Musisz to zrobić, Ostapie, nie możesz się cofnąć, skoro raz przyrzekłeś; teraz już za późno.

Ostap spjrzał na niego bezrozumnie, pomyślał chwilę i rzekł:

— Nie, nie mogę! Rozumiesz? nie mogę!

Zbladł niezwykle, a twarz mu drgała.

Gordon przechylił się na krześle.

— Musisz! — wyrzekł po chwili.

— Nie chcę! — krzyknął Ostapę rozszalały. — Nie chcę! Wszak jesteś człowiekiem!

Czyż nie pojmujesz, że tu idzie także o mego ojca? Czyż nie pojmujesz: skoro tylko wskaże mi sposób otwarcia szafy, stanie się współwinnym<sup>1</sup>.

Gordon uśmiechnął się.

— Jeżeli nic nie przeszkadza prócz ojca...

— Co? Co chcesz przez to powiedzieć?

Gordon znowu się uśmiechnął.

— Dziwny z ciebie człowiek. Czasem jesteś ostry jak lancet, a potem sentymentalny, miękki i śmieszny jak dziewczynka. Co to właściwie jest — ojciec? Mnie nie omamisz takimi powodami. Masz zapewne na myśli takiego pana, który cię spłodził wbrew swojej własnej i twojej woli. Ha, ha, ha... Wszakże nie prosiłeś go o to, co? Życie przecież nie jest znowu tak nadmierną rozkoszą — he? Zresztą nie mam ochoty do dysput filozoficznych. Musisz to zrobić, i zrobisz! Ależ to śmieszne, ta historia z ojcem!... Co pijesz, herbatę czy grog?

Ostap usiadł i tępo spoglądał ku ziemi.

Milczeli długo.

Gordon palił papierosa i nieustannie patrzył na Ostapę.

— Nie, nie mogę! — Ostap zerwał się i gorączkowo zaczął chodzić po pokoju. — Nie mogę gubić siebie i ojca.

— Ależ o tym nikt się nie dowie. — Gordon zaczął się niecierpliwić. — Nikt się nie dowie, że w ogóle miałeś klucze w ręce, i nikomu nawet przez myśl nie przejdzie, że ojciec wskazał ci, w jaki sposób otwiera się szafa... Tak głupim nie jestem<sup>2</sup>, a ty zanadto mi jesteś potrzebny, abym chciał gubić cię dla takiej błażostki... Szafę potem się rozbije...

— Boże, jakiś ty przebiegły! — Ostap stanął przed nim szydlerczo, ale w tej samej chwili począł znowu chodzić zamyślony po pokoju.

— Zresztą nikomu przez myśl nie przejdzie, żeby szukać szafy.

— Co? co? — Ostap stanął zdumiony. — A co z nią zrobisz?

— To już moja rzecz; wiesz, że umiem sobie radzić z takimi drobnostkami.

Gordon wstał niecierpliwie, ale wkrótce znowu usiadł.

<sup>1</sup>stanie się współwinnym — dziś raczej M. zam. N.: (...) współwinnym. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>głupim nie jestem — dziś M. zam. N.: głupi nie jestem. [przypis edytorski]

Ostap zaśmiał się złośliwie.  
 — A jeżeli mimo wszystko tego nie zrobię?  
 Zmierzyli się nienawistnym okiem.  
 — Pytasz się, co wtedy?  
 — Tak.  
 — Ano, następstwa znasz tak samo jak ja... Ot, napij się herbaty; nie, weź lepiej rumu... czy ci zimno? Ty drżysz.  
 — Tak, zaziębilem się. Wszak nieustannie deszcz pada.  
 Ostap pił gorączkowo i długo tarł czoło.  
 — Byłem zaciekawiony twoim podnieceniem<sup>3</sup>.  
 — Może tylko dla ciebie<sup>4</sup>... — Gordon uśmiechnął się.  
 Ostap spojrział na niego ponuro, nic jednak nie powiedział i popadł w tępe<sup>5</sup> zamyślenie.  
 — Co zrobić z psem? — zapytał nagle.  
 Gordon spojrział nań zdziwiony.  
 — Pies? No, cieszy mnie, że pamiętasz o szczegółach... Psa naturalnie się otruje. Kawalek ciasta z tłuszczem zatrutym za pomocą *nux vomica*<sup>6</sup>... co?  
 — Doskonale się na tym znasz, jak się zdaje — zaśmiał się Ostap wrogo.  
 — Czyś jeszcze tego nie zauważył? Czy choć raz jeden byłeś narażony na niebezpieczeństwo przy naszej robocie? Zresztą postępowanie twoje bardzo mnie dziwi. Jeszcze przed dwoma dniami zupełnie się na to zgodziłeś...  
 — Czy może się boisz, że zdradzę plan? — zawył<sup>7</sup> Ostap rozwścieczony.  
 — Nie, o to mi nie idzie. Ale sądzę, żeś ty chory. Mózg twój jest nieco nadpsuty... kobieta cię niszczy... Słaby z ciebie człowiek...  
 Gordon spoglądał nań bardzo długo i poważnie.  
 — Słaby z ciebie człowiek — powtórzył.  
 Ostap stanął i spojrział na Gordona niezwykle smutnie.  
 — Nie, słuchaj... ja właściwie nie jestem słaby, jestem bardzo, bardzo znużony.  
 — Znużony?  
 — Tak, znużony! A w takich stanach znużenia ogarnia nas trwoga przed każdym czynem. Dotychczas nie lękałem się, ale teraz jestem znużony. Szuka się w takich chwilach wymówek, żeby tylko wykręcić się od działania. Ja przecież wiem, że tyś tę całą sprawę obmyślił... A prawda, kasa łączy się z budzikiem<sup>8</sup>...  
 — W takim razie musisz przeciąć druty.  
 — Ja?  
 — Tak, ty!  
 — Niech i tak będzie... Ale, cóżem to miał powiedzieć? Aha, widzisz, jestem znużony. Zadałem sobie pytanie, po co my to wszystko robimy. Po co?  
 Spojrzął na Gordona i chory uśmiech przewijał mu się przez usta.  
 — Po co? Czy czekasz na odpowiedź?  
 — Odpowiedź? Hm, nie — właściwie nie. — Przecież główne warunki czynu muszą istnieć, wszak prawda? Nienawiść lub miłość. Tak, nienawiść lub miłość... ale do kogo?  
 — Powiedzmy do siebie samego.  
 — A jeżeli ktoś swoje ja utracił?  
 — W takim razie trzeba to zrobić po to, żeby je odzyskać.  
 — A jeżeli komuś zupełnie nie zależy na tym, aby swoje ja odzyskać?  
 — Nie można żyć bez tego ja. Człowiek musi w takim razie zginąć. A skoro już ma zginąć, to przecież obojętne, czy przedtem spełni taki czyn. Można go spełnić z różnych pobudek... ty wiesz.  
 — Ja nic nie wiem. Nie wiem, dlaczego mam ten czyn spełnić. Wszakże to obojętne, jeżeli go nawet nie spełnię.

<sup>3</sup>podniecenie — w oryg. niem. *eifrig*: gorliwy, pilny, zapałony; *Es war mir interessant zu sehen, wie du eifrig wurdest* (Interesującym było dla mnie widzieć, w jaki wpadasz zapał); red. WL. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>dla ciebie — w oryg. niem. *Vielleicht nur deinetwegen* (Może tylko ze względu na ciebie); red. WL. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>tępe — w oryg. niem. *stumpf*: zobojętniały, apatyczny. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>*nux vomica* — strychnina. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>zawył — w oryg. niem. *fuhr wütend auf*: uniósł się rozwścieczony. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>kasa łączy się z budzikiem — raczej: z alarmem. [przypis edytorski]

— Rozumie się.

— A więc nie zrobię tego!

Gordon wzruszył ramionami.

— Jak uważasz! Jeżeli ci obojętne, czy zginiesz za kilka dni, czy za kilka lat...

Ostap długo patrzył na Gordona, jakby nieprzytomny.

— A więc istotnie sądzisz, że mnie usuną, jeżeli tego nie zrobię?

— Tak.

Ostap nie słyszał odpowiedzi. Trząśł się z zimna.

— Pewnie całkiem przemokłeś? — zapytał Gordon.

— Nie. Zagotuj tylko dobrze wodę... — skupił się... — Otóż, Gordonie, wszak ty wiesz, że ja wszystko mogę zrobić, tylko że od pewnego czasu źle ze mną. Rozumie się, że wszystko, co obiecałem, zrobię. Wszakże nie wątpiłeś o tym ani na chwilę... Nie mam teraz wiary, ale idę za tobą, bo ty ją masz... Ja właściwie nie wiem, dlaczego ty masz dla mnie tak wielkie znaczenie, i nie zastanawiałem się nad tym nigdy, ale, kiedy wówczas przed dwunastu laty wszedłeś do klasy i kiedy zmierzyliśmy się pierwszym ponurym spojrzeniem, od razu poczułem — tak, wiedziałem doskonale: ten oto, to twoje fatum! Właściwie nie stałeś się nim... Wszakże miałem te same myśli i te same zbrodnicze skłonności... ale twój mózg był silniejszy...

Zamilkł i spojrzał na Gordona. Gordon siedział z nieruchomą twarzą i patrzył niemal obojętnie przed siebie.

— Gordon, czy ty wierzysz w to, co robisz?

— Dlaczego się pytasz?

— Chcę wiedzieć! Nie chcę, ażebyś mnie wodził na pasku.

— Ależ nie krzycz tak! Ogromnie egzaltowany z ciebie pan... Nie trzeba nigdy badać, czy się wierzy czy nie. Wiara jest, to wystarczy. Wiary się wcale nie traci. Nie wierzę, żeby można ją stracić. Albo cały byt, cała dusza i wszystkie jej instynkty tak są przesycone pewnymi zasadami, a każdy nerw tak zrośnięty z pewnym dogmatem, że musi się coś robić, we śnie, z konieczności, mimowolnie, wbrew wszelkiemu przeciwnemu rozumowaniu, albo też nie... W pierwszym razie mamy do czynienia z wiarą, w drugim... no tak, drugi wypadek wcale nie istnieje. Miliony ludzi wyzbyło się teoretycznie wiary w dobro, a jednak postępują dobrze, bo mają wiarę w instynkcie, bo dobro jest wiarą... A tak, wcale nie jestem usposobiony do filozofowania. Ja zresztą wcale nie chcę wodzić cię na pasku. Chcę niszczyć nie na to, żeby odbudować ruiny, ale na to, żeby niszczyć. Bo zniszczenie jest moim dogmatem, moją wiarą, moim ubóstwieniem. Może się mylę, może pragnę nieświadomie dobra, może przecież w tym wszystkim tkwi myśl o ludzkości, ale to jest mi obojętne. Chcę tylko zniszczenia. Zresztą nie mam wcale ochoty powtarzać ci jeszcze raz, co już tysiąc razy ci powiedziałem... Szukasz zastrzeżeń, zarzutów, bo jesteś zakochany... a miłość wszak jest absolutną rzeczywistością... Jest pragnieniem szczęścia, życia, rozkoszy, wszystkiego tego, czym gardziłeś jeszcze przed pół rokiem (mówię: przed pół rokiem)... He, he, dlaczegoż byś i ty nie miał być szczęśliwym? Tylko nie powinieś kłamać i szukać gdzie indziej przyczyn twego stanu... Ale tyś taki błady... Czy może zmienisz ubranie?

— Nie, dziękuję, odchodzę zaraz...

Ostap opuścił głowę, potem spojrzał na Gordona z idiotycznym uśmiechem.

— Słuchaj, nieprawdaż... Wszak ona mnie nie kocha?

— Kto?

— Hela.

— Nie!

— Czy jesteś tego pewny?

— Zdaje mi się, że tak.

Ostap rozśmiał się ochryple.

— Czy ona ciągle jeszcze jest twoją kochanką?

Gordon zaniepokoił się, oczy mu błyszczały.

— Czy tak?

Gordon nie odpowiedział, ale lekki uśmiech przebiegł po jego twarzy.

— Dlaczego się śmiejesz? — krzyknął Ostap.

— Nie śmieję się. Nie, nie... ale to takie dziwne, że wszyscy ludzie zadają w tej samej chwili to samo pytanie w tej samej formie... Tak, znam tę wściekłość, która chce skaląć najbrutalniejszymi myślami kobietę, upadłą kobietę...

— Tak, tak... czy i ty to znasz? Ha, ha, ha... tyś bardzo doświadczony!...

— Nie ma żadnego bólu, którego bym ja nie był doznał<sup>9</sup> — rzekł Gordon cicho i bardzo smutnie, jak gdyby mówił do siebie samego.

Ostap bardzo spoważniał.

— Słuchaj, Gordonie, zrobię wszystko, co zechcesz, ale czy odpowiesz mi na kilka pytań?

— Pytaj!

— Kiedy wówczas pojechała do Londynu do przyjaciółki, pojechała przecież do ciebie, chociaż krążyła pogłoska, że tyś wyjechał do Ameryki — wszak prawda?

— Tak, była u mnie.

— Czy chciałeś ją poślubić?

— Tak.

— I dlaczegoś jej nie poślubił?

— Bo przedtem posiadał ją inny.

— I miałeś na tyle siły, żeby się wyrwać z jej objęcia?

— Tak.

— Skąd wzięłeś tę potęgę?

— Z siebie, z wiary, której się nie rozbiera, ale która jest faktem — obcą mocą, która wykonywa<sup>10</sup> wszelkie czynności, nie troszcząc się o mój rozsądek.

Ostap pił nieustannie, spoglądał od czasu do czasu na Gordona z chciwą ciekawością, potem opuścił głowę.

Milczeli długo.

— Ty tęskniłeś za pięknnością — rzekł wreszcie Ostap, grzebiąc w myślach. — Rozumiem cię. I ja także tęskniłem za tym szczęściem, za szczęściem stopienia się dwóch dusz. Ale to możliwe tylko u kobiety czystej, która nigdy przedtem nie kochała, której nigdy nikt nie posiadał, wszak prawda?

— Tak jest.

— A każda inna miłość, miłość ku kobiecie, która już przedtem była kochanką innego, to tylko surogat?

— Tak.

— Dlaczego?

— Bo to pierwsze szczęście jest równocześnie jedyną chwilą, w której chuć jest piękna — piękna, czy pojmujesz?

— Jedyną?

— Tak. Kobieta zawsze należy do pierwszego, świadomie czy nieświadomie, ognista plama pierwszej miłości wżera się na zawsze w jej duszę, a posiadać kobietę, w której duszy jest pierwszy — to wstyd.

— Wstyd? — Ostap utkwiał w nim wzrok pełen niewymownego bólu.

— Tak. — głos Gordona był bezdźwięczny i ochrypły.

— Ona cię nienawidzi! — rzekł Ostap mimowolnie i jakby nieprzytomny.

Gordon uśmiechał się.

— Czyś ty ją w sobie pokonał? — zapytał Ostap po długiej pauzie.

Gordon nie odpowiadał. Wychylił szklankę do dna. Znowu milczeli.

— Ale ty nie zachorujesz, Ostapie? Co? Tyś bardzo błąd. W ostatnim roku pewnie bardzo źle ci się wiodło?

Ostap wdrygnął się i patrzył nań bezmyślnie.

— Śmierć twego dziecka pewnie bardzo cię wzruszyła?

Ostap pokrył się trupią białością, ręce zaczęły mu drżeć, a oczy rozwarły się nadmierne.

Gordon spojrział nań zdumiony.

<sup>9</sup>był doznał — daw. forma czasu zaprzeczonego, używanego dla wyrażenia czynności (zdarzenia, stanu itp.) poprzedzającej inną czynność (zdarzenie, stan itp.) wyrażoną w czasie przeszłym zwykłym; znaczenie: doznał wcześniej. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>wykonywa — dziś: wykonuje. [przypis edytorski]

— Lękasz się — rzekł — ja zawsze uważałem, że ty się czegoś lękasz.  
— Czy ja się lękam?  
— Tak. — Gordon uśmiechnął się.  
— Dlaczego się śmiejesz?  
— Nie śmieję się. Kocham ludzi, którzy zawsze się czegoś lękają. To dobrze, bardzo dobrze.

— Dlaczego?  
— Bo tacy ludzie... — Gordon urwał nagle i uśmiechnął się.  
Przez chwilę ostro spojrzeli sobie w oczy.  
Gordon spuścił oczy.  
— Bo tacy ludzie *do mnie* należą — rzekł po chwili.  
— Do ciebie?  
— Tak. *Do mnie*.  
— Jam nie twój człowiek! Nie chcę jąć się twojej sprawy. Nie chcę być twoim narzędziem.

W kącikach ust Gordona zadrżało coś lekko.

— Nie rozumiałeś mnie. Nie tak to rozumiałem. Myślę tylko, że wszyscy my jesteśmy spojeni. My... tak, my, którzy mamy czegoś żałować, krwawo żałować — którzy lękamy się czegoś, wszystko jedno: żandarma czy sumienia, własnego instynktu czy więzienia...

Ostap powstał.

— Czy odchodzisz?

— Tak.

— Może wypijesz jeszcze szklankę herbaty?

— Nie. Idę do domu. Chory jestem. Zresztą zrobię wszystko, co zechcesz. Idzie tylko o mojego ojca. Zapewne wiesz, że stanowisko kasjera miejskiego jest bardzo odpowiedzialne.

— Już się o to nie troszcz.

Gordon zastanowił się.

— A prawda — jeżeli się spotkasz z Helą, powiedz, że przesyłam jej ukłony.

— Zalatwię to — zachichotał stary<sup>11</sup>.

## II

Gordon siedział długo pogrążony w myślach.

Od czasu do czasu wstawał, chodził po pokoju jakby nieprzytomny, chłodził czoło o szybę, potem usiadł znowu i — usnął.

Nagle zerwał się, wziął płaszcz gumowy i wyszedł.

Na drodze zdziwiła go ciemność. Deszcz padał. Zdało mu się, że krople deszczu szpilkami śnieżnymi zastygają mu na twarzy. Widział światła migające od przedmieścia; przez jakiś czas zajął go taniec światła, rozplywających się ciągle w ciemnościach, ale znowu zapomniał o wszystkim.

Kiedy zaszedł do miasta, czuł, że zupełnie przemókł. Trząsał się, drżał jak w febrze. Gdyby tylko znaleźć dorożkę. Spojrzał dookoła i uśmiechnął się. Oczywiście nie znajdzie teraz dorożki. Począł iść prędko, przeszedł kilka ulic, zboczył w jakąś uliczkę i doszedł wreszcie do małego domku, który stał w odosobnieniu, prawie na otwartym polu.

Wyszedł na górę i zapukał.

Otworzono mu drzwi bardzo ostrożnie.

— Dobry wieczór, Polu!

— Cicho! On śpi...

Gordon wszedł cicho.

— Jak się ma Stefan?

Spojrzał dziewczynie w oczy i zatrzymał jej rękę w swojej dłoni.

— Coraz gorzej, coraz gorzej...

W tej samej chwili chory uniósł się na łożku.

— Ach! to pan, panie Gordon! Boże, jakże ja długo na pana czekałem...

<sup>11</sup>zalatwię to (...) — w oryg. niem.: „Werd' ich besorgen” grinste Ostap („Postaram się”, uśmiechnął się Ostap); red. WL. [przypis edytorski]

Gordon przystąpił do łóżka.

— Jak się pan ma?

— Pewnie niedługo już potrwa... Polu, przynieś herbaty... Pałę teraz znowu... wszak to obojętne. Stary Mizerski był tu raz i widział mnie palącego. Sprawiało mi uciechę, tak móc dmuchać mu dymem w twarz. Wszakże to lekarz, powinien mi pomóc... He, he, czy wie pan, co powiedział? Przybrał grzeczną minę, poklepał mnie po barkach i powiedział, że ze mnie dzielny, młody człowiek, z rodu Rzymian, którzy potrafią nawet umierać z elegancją... He, he... z elegancją...

Zakaszła.

— Ale co najgorsza<sup>12</sup>, że to tak długo trwa. Przeciągnie się pewnie jeszcze z pół roku. Spojrzał na Gordona wielkimi, wylęknionymi oczyma, jak gdyby szukał pocieszenia. Ale Gordon milczał, jak gdyby myślał o czym innym.

— Czy Mizerski był u pana dzisiaj?

— Nie, wyjechał.

— Wyjechał? Na długo?

— Na kilka dni. Pola była u niego. Panna Mizerska bardzo uprzejmie wypytywała się o mnie. He, he... są tacy, co współczują ze mną... Nie potrzeba mi tego, u licha. Nie potrzeba mi litości. Pan jest jedynym, którego mogę przyjąć, bo pan nie ma tak żalosej miny jak tamci inni. Wypędziłem ich wszystkich do diabła.

Twarz młodego człowieka skurczyła się paroksyzmem bezsilnej wściekłości.

— Nie rozdrabniaj się pan, panie Stefanie. Bardzo pan rozgoryczony... Czy panna Mizerska pytała się o pana?

— Tak.

Gordon jakby nie czekał na odpowiedź, rozejrzał się roztargniony po pokoju.

— Powinien pan wyprowadzić się stąd — rzekł nagle. — Ściany są pełne wilgoci i grzybów. To pana zabije.

— Wszak to teraz obojętne. Niechaj sobie grzyby dalej rosną w spokoju.

— Ale siostrze pana to zaszkodzi.

Chory pogardliwie ruszył ręką.

— Wszystko to obojętne. Wcześniej czy później...

Opadł znowu na posłanie i wpił się okiem w sufit.

— Teraz znowu muszę leżeć — rzekł po chwili. — Te dni listopadowe mogą do rozpacz doprowadzić. He, he... to bardzo ciekawe, tak leżeć w łóżku i być absolutnie pewnym, że wkrótce zawrze się bliższą znajomością z robactwem.

Zaśmiał się i spojrzał na Gordona.

Pola weszła z samowarem.

— Ależ pan całkiem mokry, panie Gordonie. Napij się pan prędko gorącej herbaty... Daj mi pan płaszcz, osuszę go...

Była bardzo rozdrażniona.

— Ależ pan się jeszcze straszliwie zaziębi.

— Ach, przyzwyczajony jestem do tego. Spałem raz na polu, a deszcz lał jak kiedy chmury się obrywają...

Uśmiechnął się, zdjął płaszcz i podał.

— A może i lepiej osuszyć go — rzekł roztargniony.

Kiedy była we drzwiach, chory zawołał:

— Zostań w swoim pokoju, mam ważne sprawy omówić z Gordonem. Nie przeszkadzaj nam.

— Nie, nie!

— Czy pan dużo teraz pracuje? — spytał Gordon.

— Tak, pracuję bardzo dużo. I pracuję z szczególną bystrością i jasnością. No, pan przecież wie... Prawdopodobnie słyszał pan już o tym wyrocznym jasnowidzeniu... He, he... Jasność zawsze nastaje, kiedy się ma ku końcowi...

— Czy skończył już pan broszurę?

— Dam ją panu za dwa dni... Ale podaj mi pan herbatę... Tak. Dziękuję.

Wyciągnął flaszkę spod poduszki.

<sup>12</sup>co najgorsza — dziś popr.: co najgorsze. [przypis edytorski]

— Czy napije się pan koniaku?  
 — To pan teraz znowu pije? — zapytał Gordon ze zdumieniem...  
 — Tak. To dodaje odwagi... He, he... Wszystko obojętne... Cokolwiek zrobię... Teraz mi już nic nie zaszkodzi, nic. Och, to takie dziwne uczucie, kiedy się wie, że nic już nie może zaszkodzić. Nieprawdaż? Jeżeli skazany na śmierć w przededniu zepsuje sobie żołądek, to wszak to nic nie szkodzi, nieprawdaż?  
 — Nie! — rzekł Gordon roztargniony.  
 Stefan patrzył nań smutnie przez chwilę.  
 — Posłuchaj mnie pan, ja tak tęsknie na pana czekałem, jestem panu tak wdzięczny, że pan przyszedł, ale pan nie jest teraz u mnie.  
 — Tak, jestem u pana... Ja bardzo pana lubię, panie Wroński, bardzo pana lubię... Powiedział do prawie obojętnie.  
 Wroński zaniepokoił się.  
 — Poczekaj pan, muszę wstać, nie mogę myśleć w łóżku, a muszę z panem mówić.  
 Wyszedł z łóżka i ubrał się gorączkowo. Gordon ożywił się nagle. Pomógł Wrońskiemu i ustawił mu krzesło.  
 — Nie, dziękuję. Będę chodził po pokoju.  
 Ale wkrótce usiadł i chciwie wypił herbatę pół na pół z koniakiem. Twarz mu pałała, a oczy pokryły się<sup>13</sup> upiornym blaskiem.  
 Gordon spoglądał nań zamyślony. Jakby go nie widział.  
 Chory chwycił go nagle za ramię.  
 — Posłuchaj pan... Czy wie pan, co znaczy umrzeć? Umrzeć w moim wieku? W dwudziestym roku życia? Czy pan w ogóle wie, co znaczy umrzeć? Nie śpię całymi nocami i myślę; staram się dokończyć tę myśl. Ale to się nie da pomyśleć... Widzi pan, ja już zupełnie jestem spokojny. Wiem, że muszę umrzeć. Ale co to znaczy? Co znaczy umrzeć? Powiedz pan! Jest pan dla mnie największym człowiekiem. Jest pan moim Bogiem. Powiedz mi pan, co znaczy: umrzeć?!  
 — Nie wiem.  
 — Nie wie pan? Powinien pan wiedzieć! Musi pan! Zawsze pan odpowiadał na moje pytania. Dlaczego teraz nie potrafi pan odpowiedzieć? He, he... Człowiek umiera! Dusza, powiedziano gdzieś, umiera wcześniej. Wielki Boże, co za szaleństwo! dusza ma umierać! Tylko kretyni w to wierzą!... He, he... Po co ja w ogóle żyję?... Ha, ha... cel ma istnieć tylko w świadomości ludzkiej... I pan nie wie, po co ja żyję? Staralem się myśleć o tym! Ciało moje rozkłada się! Dobrze! Dusza moja... nieśmiertelne ciało astralne...  
 Sapał i dusił się kaszlem.  
 Gordon wziął go za rękę i spojrzał mu w oczy.  
 Wroński uspokoił się natychmiast.  
 — Czy wierzy pan w piekło? — spytał Gordon.  
 — Nie!  
 — Czy może pan wyobrazić sobie coś tak brutalnego?  
 — Nie!  
 — Czy wierzy pan w ogóle w męki cielesne po śmierci?  
 — Nie!  
 — Czy po śmierci mogą być większe męczarnie od tych, które teraz pana dręczą?  
 — Nie!  
 Gordon wypuścił jego rękę z dłoni i spojrzał na ziemię.  
 — A więc czy są jeszcze większe? — spytał Wroński trwoźnie.  
 — Tak. Ale pan ich nigdy nie będzie przechodził. Czy nigdy pan nie kochał kobiety?  
 — Siostrę moją, Polę.  
 — Jako kobietę?  
 — Nie!  
 Milczeli długo.  
 Wroński powstał.

<sup>13</sup> *pokryły się* — raczej: rozbłysły. [przypis edytorski]



— Och, ta trwoga! Ta straszliwa trwoga. Chciałem dziś skończyć, i — i... Och, jakie to dziwne! Serce bije, całe ciało drży, zimny pot oblewa ciało, włosy stają na głowie... Ależ pijże pan! Zrób to pan dla mnie! Pij pan ze mną. Nie lubię pić sam...

— Tak, napiję się chętnie.

— Czy pan lubi pić? He, he... A więc lubi pan pić... Hm... Gordon! Czy wierzy pan w Boga?!

— Nie, bo Szatan starszy od Boga.

— A więc czy Szatan jest Bogiem pana?

Gordon milczał i uśmiechał się.

Wroński wpatrzył się weń nieruchomo.

— Słuchaj pan, panie Gordonie, słyszałem o pewnej sekcie, która czci Szatana...

Gordon milczał w zamyśleniu.

— Nie, nie jestem palladystą<sup>14</sup> — rzekł w końcu. — Znam zresztą bardzo dobrze tę sektę. Jest tam dużo głupich ludzi, jak wszędzie.

— Ale i wielcy są? Wielcy! Jak pan?

— Może... Ja zresztą nie jestem wielkim człowiekiem... Pan mnie uważa za wielkiego, bo pan jeszcze młody i za mało zna pan ludzi...

— Czy to prawda, że sekta ta czci nierząd przeciw naturze jako rodzaj sakramentu?

— To możebne<sup>15</sup>.

— Ależ powiedział pan dopiero co, że pan dobrze zna tę sektę.

— Znam tylko jej podstawowe zasady, a te mi się podobają. Czy pan rozumie? Mówię z punktu widzenia czysto estetycznego. Jest przecież wiele w tym prawdy, że wszyscy jesteśmy dziećmi Szatana. Wszyscy ci, którzy gnani rozpaczą i zwątpieniem czują trwogę, wszyscy ci, których sumienie jest obciążone... I jest w tym wiele słusznego, że życie jest królestwem Szatana: piekłem... Po śmierci ujrzemy może coś tak głupiego i banalnego jak raj... Zresztą sądzę, że wszystko to, w co ludzie wierzą, jest nieprawdą — przeciwnie...

— Czy więc, że każdy ma po śmierci zapewniony raj?

— Każdy, kto tutaj popadł w kleszcze Szatana...

— Nie szydź pan! — zawołał Wroński rozdrażniony. — Nie powinien pan szydzić! Czy pan rozumie? Tak tęskniłem za panem, a teraz szydzi pan z mojej trwogi i męki!

— Nie szydź! Mówię całkiem poważnie!

Gordon powiedział te słowa bardzo spokojnie.

— Ależ to wszystko mistyka, estetyka. Nie chcę estetyki! Ja mam umrzeć! Chcę faktów! Pan zniszczył mi moją wiarę. Pan zabrał mi wszystko, co by mnie teraz pocieszyć mogło. Stałem się kapłanem ateizmu, zawlokłem go do szkoły, wszczepiłem go w serca wszystkich moich kolegów, plufem na wszystko, co święte, niszczyłem i psułem, bo pan byłeś moim Bogiem, bo wierzyłem w pana, a teraz, kiedy mnie lęk śmierci ogarnia, karmi mnie pan estetyką, ty...

Nagle nieruchomo spojrzal na Gordona i uczuł się głęboko zawstydzonym. Ochłonął.

<sup>14</sup>palladysta — członek loży palladyjskiej; miała to być loża zał. w 1870 r. przez Wielkiego Mistrza rytu szkockiego, amer. gen. Alberta Pike'a, skupiająca elitę elit masonskich, działająca na rzecz obalenia papieżstwa oraz przygotowania świata na nadejście Antychrysta; w Charlestown loża palladyjska miała posiadać podziemną świątynię, w której rzekomo odprawiano czarne msze, dopuszczając się profanacji hostii. Rewelacje te ujawnione zostały w książkach *Wyznania eks-wolnomysliciela* (1885) i *Masoneria zdemaskowana* autorstwa nawróconego antyklerykała Leo Taxila (właśc. Marie Josepha Gabriela Antoine'a Jogand-Pages'a) i zyskały wkrótce potwierdzenie w licznych publikacjach, m.in. dr Bataille'a (*Diabeł XIX wieku*), tajemniczej Amerykanki Diany Vaughan (*Pamiętniki eks-palladystki*), arcybiskupa Leona Meurin (*Wolnomularstwo, synagoga szatana*) oraz w artykułach i komentarzach prasy katolickiej w całej Europie (w Polsce rozwijano ten wątek w „Przeglądzie Powszechnym” i „Przeglądzie Katolickim”). Leo Taxil zyskał wielki autorytet, pisali do niego z wyrazami poparcia kardynałowie, arcybiskupi, biskupi, stał się protegowanym nuncjusza Stolicy Apostolskiej we Francji, a papież Leon XIII (którego encyklika *Humanum Genus* z 1884 r. była wymierzona przeciwko masonerii) przyjął go na prywatnej audiencji i udzielił swojego błogosławieństwa. Z Dianą Vaughan korespondowała św. Teresa od Dzieciątka Jezus, przesyłając jej swoje zdjęcie w przebraniu Joanny D'Arc, ponieważ za wstawieństwem tej świętej miało się dokonać nawrócenie zarówno Vaughan, jak i Taxila. Taxil miał być czołową postacią (i niejako świadkiem oskarżenia) na Międzynarodowym Kongresie Antymasonskim w 1896 r., na którym jednakże doszło do jego autodemaskacji: okazało się, że autor wymyślił zarówno loże palladystów, jak wszelkie szczegóły satanistycznych praktyk masonerii oraz samą postać eks-palladystki Diany; Taxil przez 12 lat brylował w świecie katolickim, a na swoich publikacjach zarobił 2 mln franków; sprawę tej mistyfikacji podejmuje Umberto Eco w powieści *Cmentarz w Pradze*. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>możebne — dziś raczej: możliwe. [przypis edytorski]

Bóg, Szatan, Wiara,  
Rozpacz, Pozycja społeczna,  
Rozczarowanie, Zemsta,  
Kondycja ludzka

— Nie, Gordonie — rzekł cicho — to oczywiście tylko trwoga, ale ja nie porzucę swych przekonań.

Gordon spojrział nań uważnie.

— Połóż się pan, Stefanie, masz febrę<sup>16</sup>, mówisz bezładnie. Burżuazja ma Boga! Bóg jest tylko środkiem służącym do uregulowania pojęć „Moje i Twoje”, do zapobieżenia nadużyciom. Ja zniszczyłem panu tylko religię małomieszczańską, drobnostkową, religię obywatela, który lęka się złodziei i morderców. Ale nigdy nie zniszczyłem w panu Boga, którego ja czczę...

— Którego Boga?

— Siebie samego.

— Czyż ja jestem Bogiem?

— Nie jeszcze. Póki jeszcze szamotasz się z Bogiem drobnego obywatela i z Bogiem bogatego żyda, póty nie będziesz Bogiem.

Zamilkł. Wroński zawstydzony wpatrzył się w ziemię, ale niepokój jego rósł gwałtownie. Pił, ręce mu drżały, rozlał herbatę.

— Och, straszny z pana człowiek. Boję się pana. Ja zawsze lękałem się pana. Powiedział pan, że wszyscy jesteśmy dziećmi Szatana... Pan jesteś Szatanem, a ja jestem twoim dzieckiem. I pan jest piekłem. Teraz nie będę już panu posłuszny. Ja sam mam piekło w sobie. Teraz sam jestem Szatanem... Ha, ha, ha... Nie, nie, nie! Pan jest aniołem, a ja tylko nędznym Jakubem, który chciałby wydrzeć straszliwe tajemnice Wielkiemu, Wspaniałemu... Och, jak ja pana nienawidzę i jak ja pana Kocham! Ale pan wszczepił we mnie nienawiść... Duszę się nią, umieram przez tę nienawiść...

Zerwał się.

— Ale tego jednego jeszcze tylko pragnę, pozwól mi dożyć wielkiego zniszczenia, wielkiego szczęścia, tego jednego uczucia, że wszystko dookoła mnie zginie wraz ze mną!

— Wreszcie mnie zrozumiałeś! — rzekł Gordon bardzo cicho.

— Nie chcę szczęścia, gardzę szczęściem, ale chcę się zemścić, bo jestem tak nieszczęśliwy!

Pochylił się ku Gordonowi i szepnął bardzo cicho:

— Czy wie pan, czy pan wie, co ja wymyśliłem?

Szeptał jeszcze ciszej.

— Podpałę ratusz...

Porwał się tryumfująco, ale opadł zaraz w tył, przechylił się silnie naprzód, chwycił się gwałtownie za piersi, jak gdyby się dusił kaszlem.

— W jakim celu? — zapytał Gordon poważnie.

Wroński był wściekły.

— Czy mnie pan masz za głupca? Czy nie mówił pan o takim planie, czy nie mówił pan sam, że przy pomocy tych pieniędzy ukrytych w ratuszu można by zrewolucjonizować całą prowincję? Czy nie mówił pan, że trzeba by spalić ratusz po wypróżnieniu kas? Wszak pan tylko szukał człowieka, który by się tego podjął, a teraz ma pan oto mnie, ja pana chcę uszczęśliwić, ja chcę panu pokazać, że pan wart, a pan mnie pyta o cel?!

Zbrakło mu oddechu, sapiąc, opadł na łóżko.

Nagle znowu powstał, całkiem spokojny i zimny.

— Odkąd pan mówił ze mną o tym, stałem się innym człowiekiem. I tylko o tym myślałem. O tym i o śmierci. Teraz zapominam o śmierci. Kocham pana, chcę się panu podobać, chcę czynem wzniecać rokosz i wzburzenie... Piekło moje rozpryska się... Mam umrzeć, a czy umrę tu, czy w więzieniu, to obojętne... He, he, mistrzu mój, mój mistrzu...

Gorączkowo chwycił Gordona za rękę i ucałował ją pełen zachwyty.

Gordon wydarł mu rękę.

— Ależ pan szalony!

— Ja więcej jeszcze zrobię! — szeptał Wroński, śmiejąc się bezrozumnie. — Zemszczę się, zemszczę się!

Opadł go gwałtowny kaszel, ale nie zważając na to, bełkotał niezrozumiale; w ekstazie zapominał o męczarni.

<sup>16</sup>febra — tu: gorączka, dreszcze. [przypis edytorski]

— Na wszystkich się zemszczę! Ojciec mój pracował pięćdziesiąt lat jak wół przy pługu i pozostawił mi tylko tę norę przepelnioną bakcylami. Wie pan, wie pan — targał kurczowo Gordona za ramię — ten jeden rok na uniwersytecie... Och, och... Gdyby mi pan nie był pomógł, zginąłbym jak pies pod płotem... Głód mnie szarpa! Boże, jak ja cierpiałem! Raz, posłuchaj pan — to straszne! Nie jadłem już nic od trzech dni, znalazłem kawał chleba w wychodku i zjadłem, przestałem już być człowiekiem... Teraz się zemszczę! Zawsze myślałem o zemście, wtedy już, kiedy zaczął tu grasować tyfus głodowy przed dziesięciu laty. Ha, ha, nie wierzy pan? Zobacz pan! Ja jestem poddanym pana, ale i ja mam swoje sługi!... Dawniej to głupie plemię nie chciało być bogiem, ale ja zamienię się w boga. Dreszcz szczęścia przebiega mnie na myśl, że będę takim jak pan... Widzi pan tam — tam, wielką willę... Ha, ha, ha... właściciel jej wyjechał, mój kuzyn jest tam stróżem... Panie, mój panie, za dziesięć dni, po pełni księżyca!... Zobaczysz pan iluminację! Świecić będę urodziny pana, ty, ty wielki księżę ciemności! Niechaj mają światła, dużo światła! światła! Tyle światła miasto nigdy jeszcze nie widziało...

Mówił prędko, urywanymi zdaniami.

— Pan myśli, że ja obłąkany! Nie, nie! Pan myśli, że ja chcę palić bez celu! Panie, pan dopełnij tego celu! Ja jestem ślepym trafem, a pan mądrą opatrnością... Ja jestem naczyniem, a pan jego zawartością... Ja palić będę, ale nie pierwej, aż pan wypróżni kasę... Ha, ha, ha... Ale dlaczego pan tak oziębłe siedzisz?

Był wściekły.

— Myślałem, że tym nieba panu przychyłę!

— Czy opowiadałem panu o Botce? — zapytał Gordon nagle i powstał. — Jeżeli przyjdzie do pana człowiek, który dotknie się palcem twojej piersi<sup>17</sup>, to wiedz, że to Botko.

— Plwam na pańskiego Botkę! Nie chcę go widzieć! Tylko z panem chcę plan wykonać, tylko z panem!

— Ja mam coś ważniejszego do roboty. Czy pan rozumie, panie Wroński? Proszę pana, po raz pierwszy o coś pana proszę. Tym razem będzie pan pracował wspólnie z Botką.

Wroński jakby nagle o wszystkim zapomniał.

— Tylko to jedno... — powiedział to szeptem prawie dosłyszalnym — tylko to... nie jest dla mnie obojętnym<sup>18</sup>... Nie odchodź pan... Mam panu coś ważnego powiedzieć.

Gordon spojrzął na zegarek.

— Wpół do jedenastej, mogę jeszcze zostać pół godziny.

— Zostań pan, zostań pan... pan jest moim dobroczyńcą: ja... i siostra moja zawdzięczamy panu wszystko, bez pana zginęlibyśmy z głodu. Ja i moja siostra...

Zamilkł nagle i spojrzął bezsilnie na Gordona.

— Posłuchaj, Gordonie — wyrzekł wreszcie z trudem. — Zrozumie mnie pan, ja nie chcę pana obrażać... Ale — dziś w nocy — opadła mnie straszna myśl... myśl, która... która... Posłuchaj pan, czy chce mnie pan posłuchać? Czy może mnie pan zrozumieć? To oczywiście szaleństwo, pomysł maniaka, ale nie mogę go się pozbyć.

Podniósł się.

— Gordonie! Czy siostra moja jest twoją kochanką?

— Byłem przygotowany na to pytanie — rzekł Gordon bardzo spokojnie.

— Pan... pan był przygotowany?

— Oczywiście! To przecież całkiem naturalne pytanie! Wszakże pan sam jest mężczyzną.

Gordon uśmiechnął się lekko i powstał znowu.

— Teraz muszę już iść, wkrótce do pana znowu przyjdę... Bardzo pana lubię...

— Och, jak obojętnie pan to mówi!

— Nigdy tego nikomu nie mówiłem... Zresztą, czy kuzyn pana zechce rozdać i porozlepiać proklamacje?

— Tak.

Gordon zapukał do bocznych drzwi.

Poła weszła.

— Muszę już iść, pani.

<sup>17</sup>dotknie się — dziś raczej: dotknie (bezpośr. z D.: czego?). [przypis edytorski]

<sup>18</sup>nie jest (...) obojętnym — dziś raczej: nie jest obojętny. [przypis edytorski]

— Ależ płaszcz pana jeszcze mokry.

— Och, to nic nie szkodzi.

Wyszła.

— Pola pana kocha — szeptał Wroński — zdaje mi się, że przez pół dnia stała przed drzwiami i czekała na pana. Nie gub pan tego dziecka!

Gordon spojrział na niego, ale nic nie odpowiedział.

Pola wróciła z płaszczem.

— Teraz poświęć mi pani.

Kiedy z nią schodził, chwyciła go gwałtownie pod ramię i silnie się doń przytuliła.

— Ty moje bożyszczko, ty!

Uśmiechnął się i pocałował ją w czoło.

Na dole przed bramą stanęli.

— Czy często teraz bywasz u panny Mizerskiej? — spytał Gordon.

— Ona taka dla mnie dobra.

— Hm...

Chciał coś powiedzieć, namyślił się jednak, uściśnął ją i poszedł.

### III

Na ulicy Gordon stanął zamyślony. Deszcz padał ciągle, ale on nie zważał na to.

Nagle zerwał się, przeszedł kilka ulic i zatrzymał się na rynku.

Tu stanął w bramie jakiegoś domu i długo i nieporadnie spoglądał na dom po drugiej stronie.

Może by przecież pójść na górę? Starego Mizerskiego nie ma w domu. Służba oczywiście śpi...

Grzebał w myślach, ale coś go pchało naprzód; zdawało mu się, że nie może tej sprawy odłożyć. Musiał oderwać od niej Ostapa, inaczej Ostap mógłby jeszcze stać się prawym obywatelem.

Zaśmiał się pogardliwie i prawie lękliwie szedł wzdłuż domów.

Ona nie śpi, w oknach jej jeszcze jasno, wszak można spróbować, pomyślał.

Przed domem stanął, potem wstąpił do sieni i znowu długo stał zamyślony.

W końcu wszedł cicho i ostrożnie po schodach.

Po długim szukaniu znalazł guzik od dzwonka, ale palec bezwładnie się zatrzymał.

Czyżby to istotnie było koniecznym?

Nie mógł odpowiedzieć na to pytanie, oparł się o ścianę i stał tak przez chwilę zamyślony.

A może by się przecież wrócić?

Ale w tej samej chwili przycisnął guzik.

Nadłuchiwał. Serce mu biło gwałtownie.

Usłyszał szmer w przedpokoju, słyszał, jak gaz zapalano — i w tej chwili otworzono drzwi.

Hela stała przed nim.

Patrzyła nań jak na upiora, skupiła się jednak natychmiast, ustąpiła, i, nie mówiąc ani słowa, wpuściła go do mieszkania.

— Przemokłem — rzekł Gordon spokojnie — wszak można tu zawiesić płaszcz?

Nie ozwała się ani słowem.

— Mam z panią coś bardzo ważnego do omówienia. Wybacz pani, że przychodzę o tak niezwykłej porze, ale zdawało mi się, że sprawy tej nie można odkładać.

W milczeniu otworzyła drzwi do pokoju.

Usiedli i długo milczeli.

Zauważył, że Hela spogląda nań z najwyższą trwogą, i że koło ust jej zastygnął obłąkany uśmiech. Ale powoli wracała do równowagi, twarz jej pokurczyła się nienawistnie.

— Pokonałeś mnie; nie przypuszczałam, że cię ujrzę jeszcze. Czego chcesz ode mnie?

Gordon uśmiechnął się, a potem znowu poważnie na nią spojrział.

— Wypiękniałaś, jesteś piękniejszą<sup>19</sup> niż dawniej, ale ja cię już nie kocham. Nie, już nie kocham! — rzekł po chwili milczenia.

<sup>19</sup> *jesteś piękniejszą* — dziś: *jesteś piękniejsza*. [przypis edytorski]

— I tylko tyle chciałeś mi powiedzieć? I po to przyszedłeś?  
— O nie, nie po to. A może tak... nie wiem... Może szukałem tylko pretekstu, żeby przyjść do ciebie...

— Żeby mnie dręczyć?

— Nie, nie będę cię dręczył. Dlaczegoż bym cię dręczył? Wszak dałaś mi wszystko, co miałaś...

— Kłamiesz! Ja nic ci nie dałam. Właśnie tobie nic nie dałam! Nie sądziłam, że byleś tak głupim<sup>20</sup>, żeby wmawiać w siebie, że ja ci coś dałam.

— Może się myłę. Może mi nic nie dałaś, bo niczego nie miałaś.

— Otóż widzisz. Zaczynasz od razu mówić rozsądnie.

Zaśmiała się brzydko.

On spojrział na nią smutnie.

— To, co ty mi dałaś, nie było właściwie datkiem — rzekł zamyślony — wszakże nic cię to nie kosztowało, nie czułaś bólu i nie musiałaś przechodzić walki przewyciężenia się.

Ona zbladła, ale nic nie odpowiedziała.

— Dusza twoja jest zła — rzekł po chwili i spuścił oczy. — Dusza twoja jest zła — powtórzył — bo niczego dać nie może, bo niczego nie ma... Nienawidzisz mnie, bo ja pierwszy cię poznałem. Ja ciebie nienawidzę tylko czasem, ale i nie Kocham cię.

— Czy jeszcze tak cierpisz jak dawniej? — spytała z uśmiechem.

— Nie, teraz cierpię tylko czasem. Ale wtedy tylko estetycznie.

— Estetycznie?

— Tak. Najwyższym pięknem u dziewicy jest chwila narodzin kobiety. Ja pragnęłem dopełnić w tobie tego najwyższego piękna. Mężczyzna rozwija się, rozwija się zawsze. Kobieta rozwija się tylko póki jest dziewczęciem. Jako kobieta jest zastojem. Jest to jedyny wypadek w całej przyrodzie, w którym doprowadza się rozwój do spoczynku, jedyny wypadek, w którym wieczność stawania się dochodzi do końca, a to dla mnie jest najwyższym pięknem.

— Wszakże masz tysiące dziewcząt wszędzie. W nich możesz wstrzymać rozwój, w nich możesz dopełnić najwyższego piękna, którego zresztą każdy parobek dopełnić potrafi.

— Piękno istnieje tylko dla tego, kto je sobie uświadomił. Parobek nigdy go sobie nie uświadomi... Zresztą mylisz się: co u jednej kobiety jest pięknem, to u każdej innej staje się ohydą.

— A tą jedną kobietą dla ciebie byłam ja?

— Tak, ty.

Milczeli bardzo długo.

— Teraz możesz odejść — rzekła wreszcie cicho i tajemniczo. — Teraz rozdarłeś mi serce na całe miesiące. Idź już teraz, idź — jestem tak strasznie znużona... — Spojrzała nań błagalnie i zamilkła.

— Czy zawsze jesteś tak smutny? — spytała nagle i przysunęła się do niego.

Przesłyszał<sup>21</sup> pytanie.

— Nie przyszedłem na to, żeby cię dręczyć — rzekł wreszcie — nie! Przyszedłem, żeby swoją męczarnię odnowić. Trzeba mi teraz dużo męki, ażeby dokonać tego, czego chcę dokonać.

— Co ty zamierzasz? — Zerwała się pełna lęku.

Spojrział na nią z uśmiechem.

— Dziwne, że wasz kobiecy mózg taki ciasny. Oczywiście pierwszą twoją myślą było samobójstwo; nieprawdaż? — O nie. Samobójstwo popełniają starcy, dzieci i ciężarne kobiety... Ty nigdy nie miałaś dziecka? — spytał zamyślony. — Niegdyś chciałem dziecka od ciebie... Wtedy było już za późno... Ale, prawda, co też miałem powiedzieć... — powstał. — Tak... oszczędź Ostapa. Dusza twoja jest taka chciwa i mściwa. Ty chcesz go

Kobieta, Mężczyzna,  
Mizoginia

<sup>20</sup>byleś tak głupim — dziś z M. zam. N.: byleś tak głupi. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>przesłyszał — tu: nie usłyszeć; por. przeoczyć. [przypis edytorski]

zniszczyć. Może nieświadomie. Ale drażni cię to, wszak to ci wystarcza. I ja mu powiedziałem, że go nie kochasz. Zdaje mi się, że sama powinnaś mu to otwarcie powiedzieć. Tak będzie lepiej. Czy nie widzisz, jak go dręczysz?

Ona jakby nie słyszała. Spojrzała na nią uważnie.

— Czyś mnie słyszała?

— Nie!

— Czy mam ci powtórzyć? — powstał niemal groźnie.

— Niekoniecznie! Nie usłyszę ani słowa. Możesz teraz mówić i mówić, ja nie posłucham ani na chwilę.

Usiadł obok niej i ujął ją za rękę. Cofnęła ją porywczo.

— Dlaczego cofasz rękę? Wszakże nie jesteśmy wrogami... Czy pamiętasz ową noc w Londynie? Ja ci wszystko tak otwarcie i serdecznie powiedziałem — powiedziałem ci, dlaczego nie możesz być moją kochanką. Pokazałem ci cały ten brud, w którym byśmy żyć musieli. Powiedziałem ci wtedy, że dusza moja nie potrafi stopić cię w sobie, bo tylko ta miłość jest piękna dla mnie, która zdoła stopić kobietę w duszy mężczyzny. Odszedłem od ciebie, ażeby cię nie skalać. Odszedłem od ciebie, ażeby cierpieć z powodu ciebie. Tak, ja jeszcze ciągle cierpię. Ale to cierpienie otacza cię aureolą w oczach moich. Odszedłem od ciebie, ażeby nie stać się brutalnym, ile razy bym musiał myśleć o tym pierwszym, który w tobie zrodził kobietę. Czyż mam ci to wszystko powtórzyć? Ty wiesz, że tylko dlatego, jedynie dlatego cię opuściłem... Pytałaś mnie, czy zawsze jeszcze jestem tak smutny. Ja właściwie nie jestem smutny. Ale ja kocham piękno i smutno mi, że nie mogłem być ci pierwszym... Nie, ty — wszak ty wiesz wszystko. Zresztą jesteśmy tak spokrewnieni. Kiedym cię ujrzał po raz pierwszy, to było, jakbym widział samego siebie... Dlaczego mnie nienawidzisz?

Ona długo nań spoglądała bezrozumnie.

— Ach, jak ja cię nienawidzę, jak ja cię nienawidzę!

Powtarzała te słowa nieustannie i z wściekłości zgrzytała zębami.

— Kacie, ty! jak ty zniszczyłaś mą duszę! Jad wszczepiłaś mi w każdą żyłkę. Każdą cząstkę mojej istoty przesycałaś mi odrazą...

— Ty mnie więc istotnie nienawidzisz? Nie wierzyłem, teraz widzę.

Gordon posmutniał jeszcze bardziej, twarz pokryła mu się trupa błądzącością.

— Teraz szydzisz ze mnie, teraz powiadasz, że nie mogłam ci nic poświęcić... Boże, Boże! Jak brutalnym jest twój mózg! Jakiś ty brutalny!

Ścisnęła pięści. Dusza jej płonęła nienawiścią i rozpaczą.

— Ty nigdy mnie nie zrozumiesz — rzekł powolnie<sup>22</sup> i spojrzał na zegarek. — Ty mnie właściwie nie rozumiałaś. I ty nie wiesz także, co to jest piękno. Czy wolałabyś pozostać ze mną i brnąć we wstrętnym brudzie, kłać się? Gdybym był pozostał przy tobie, musiałbym cię skalać. Poszedłem i pomnę o tobie, gdyby<sup>23</sup> o wielkim, smutnym przeznaczeniu. Poszedłem i widzę cię gdyby błędną gwiazdę we mgle, co nieszczęście oznacza, ale nieszczęście jest piękne. A teraz, teraz...

Urwał nagle, pograżył się w myślach na chwilę, a potem rzekł bardzo powolnie.

— Przychodzę do ciebie, aby cię poprosić: zostaw Ostapa w spokoju, odepchnij go od siebie. Ty zapewne dałaś mu mały paluszek, a on był na tyle głupi, żeby zapragnąć ręki całej. Nie o niego mi idzie, nie, tylko o ciebie. Wszak ty go nie kochasz, jestem tego pewny. Przecież to niezmiernie komiczne, ujarzmić jednego mężczyznę, żeby się zemścić na drugim... Widzisz... Dawniej myślałem o tobie, jak o aniele upadłym, pełnym cichego majestatu, smutnej wielkości, która serce ma śmiercią przepelnione. A teraz przychodzę do ciebie i proszę cię: nie bądź banalna! nie ośmieszaj się w duszy mojej!

Zaśmiała się histerycznie.

— Kłamco! — krzyknęła.

— Nie powinnaś tego mówić — utkwiał w niej wzrok nieruchomy. — Ja ci tylko jeszcze raz chciałbym wszystko powiedzieć. Widzisz: ja czasem mogę zapomnieć, że byłaś już w objęciach innego, że przeżyłaś już z innym straszną zagadkę narodzin kobiety, że...

Dusił się, cierpiał.

<sup>22</sup>powolnie — dziś raczej: powoli, wolno. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>gdyby — tu: niby, jakby, jak. [przypis edytorski]

— Mogę zapomnieć, że najwyższe piękno, jakie jest dostępne człowiekowi, dla ciebie już dawno minęło, kiedy cię poznałem, że grozę i skurcz, w którym jedna dusza przelewa się w drugą...

— Kłamco! Kłamco! — krzyczała i drżała na całym ciele. — Idź! Zostaw mnie! Szatanie ty!

Wpił się oczyma w jej oczy, a dziki, szpetny uśmiech wykrzywił jego twarz.

— Mogę zapomnieć... — chwycił ją za ręce i ścisnął je jak obłąkany. — Mogę zapomnieć, że wśród grozy i lęku przed tą największą ze wszystkich zagadek leżałaś owej nocy w jego objęciach i że go kochałaś, bo posiadał potęgę, i że go nienawidziłaś, bo...

Podskoczyła i uderzyła go pięścią w twarz.

Patrzył na nią bezprzytomnie. Twarz mu drgała.

Ona cofnęła się przerażona.

Gordon uspokoił się nagle, tylko głos mu jeszcze drżał. Mówił jeszcze ciszej i smutniej. Szeptał prawie do siebie samego.

— ...ale nigdy nie zdołałem zapomnieć, że mogłaś po mnie stać się kochanką innego. Bo wtedy odrazę czuć będę ku tobie i wstręt, i wstyd, a przecież nigdy nie czułem wstydu, nawet teraz, kiedyś mnie w twarz uderzyła. Właśnie teraz nie czułem wstrętu, bo czuję, że ty nie zdołasz stać się kochanką innego... Kochanką! Bo kobietą można stać się tylko raz.

Nastąpiło długie milczenie. Gordon spojrzał niespokojnie na zegarek. Twarz jego była prawie obojętna. Na stole leżał nóż do rozcinania papieru, wziął go i w roztargnieniu począł się nim bawić, spojrzał potem nagle na nią, bawił się znowu i rzekł wreszcie z lodowatym spokojem.

— A teraz posłuchaj, powiem ci jeszcze coś nadzwyczaj ważnego. Właściwie po to tylko tu przyszedłem. Idzie mi o Polę Wrońską.

Zatrzymał się, spojrzał na nią i bawił się mechanicznie nożem.

— Chcę poślubić Polę — rzekł nagle, jak gdyby mówił coś niezmiernie obojętnego.

Ona patrzyła nań oniemiała, a po chwili zaśmiała się głośno.

— Tego nie zrobisz!

— Tak, zrobię. Ona jest jedyną, przy której zdołałem ciebie zapomnieć.

— Przysięgam ci, że tego nie zrobisz.

— Tak. Zrobię. Uczynię to za miesiąc. Ona już jest moją żoną.

Podkreślił słowo „jest”.

— Kłamiesz!

— Nie, nie kłamię!

Zbliżyła się doń groźnie.

— Powiedz, że kłamiesz! Powiedz natychmiast!

— Czy znowu chcesz mnie bić? — zaśmiał się cicho. — Nie bij mnie; wszak biłaś mnie tylko ze wstrętu przed sobą samą.

Opadła wycieńczona na krzesło.

— Widzisz, Helu, ja bym ci chętnie wyjaśnił, ale brak mi dzisiaj sił. Zresztą to obojętne. Wiem tylko, że w jakiś sposób dowiedziałeś się o moim stosunku z Polą. Wiem, że chcesz z niej zrobić swoją przyjaciółkę, i wiem także, że już teraz nad tym pracujesz... Ale dlaczego się śmiejesz? Czy jesteś zrozpaczona?

— Nie, nie... mów dalej.

— Otóż, nie mam już nic więcej do powiedzenia. Powtarzam ci tylko, że wszystkie twoje wysiłki są nadaremne. Poli nie odwrócisz ode mnie. Nie trudź się daremnie. Tym się tylko ośmieszysz.

Zaśmiała się jeszcze gwałtowniej.

On usiadł znowu i bawił się nożem.

Nagle przestała się śmiać.

— Teraz możesz już iść. Wizyta twoja zbyt długo trwa.

— Tak, istotnie. Zresztą i tak muszę już iść. Ale słowo jeszcze. Jeżeli istotnie chcesz przywiązać do siebie Ostapę, to wiedz, że ilekroć spojrzysz na ciebie...

Urwał nagle.

Ona pokryła się trupią białością. Wzrok jej błędził gdzieś bez celu.

Gordon wyciągnął ku niej rękę.

Hela jakby tego nie spostrzegła.

— Nie chcesz podać mi ręki. Szkoda. Ja nie czuję ku tobie nienawiści. My właściwie tak jesteśmy sobie pokrewni...

U drzwi stanął.

— Dziwne, że nie pomyślałaś o tym, że mógłbym cię skompromitować swoją wizytą. A może myślisz, że nikt mnie nie zobaczy w taką słotę?

Wyszedł do przedpokoju.

— Ja zresztą pomyślałem o tym, że mógłbym cię skompromitować. Ale wiedziałem, że ojciec twój wyjechał...

Zdziwił się nagle, że mógł mówić o rzeczach tak obojętnych. Włożył płaszcz i spojrzał jej w twarz.

— Nie widziałem cię nigdy tak bladą... Nigdy do ciebie już nie przyjdę... Nigdy już z tobą mówić nie będę. To ostatni raz. Bądź zdrowa i pamiętaj o tym, co ci powiedziałem.

Otworzył drzwi i zeszedł. Nagle ujrzał ją we drzwiach.

— Chcesz mi pewnie pokazać, że nie boisz się kompromitacji — rzekł cicho.

— Pamiętaj wziąć zimne okłady na twarz — szepnęła złośliwie i zatrzasnęła gwałtownie drzwi.

#### IV

Gordon był jakby zdruzgotany. Oparł się o mur i silniej owinął się płaszczem. Zdało mu się, że nie może ruszyć się z miejsca. Trząsał się od zimna.

Wyszedszy z miasta, podążył przez pole, na którym ujrzał światło elektryczne migotające<sup>24</sup> z olbrzymich zakładów fabrycznych.

Z boku stał mały, jednopiętrowy domek; Gordon przystąpił do okna i zapukał lekko kilka razy. Potem wszedł do sieni; otworzono jakieś drzwi i wszedł.

— Dobry wieczór, Hartmann. Wszak prócz pana nikt nie mieszka w tym domu? — zapytał Gordon cicho.

— Z trudem go odnalazłem. Dotychczas nikt jeszcze nie mieszka.

— A więc otrzymał pan ostatecznie posadę inżyniera?

— Tak.

— To dobrze.

Gordon zrzucił płaszcz i drżał od zimna jakby w febrze.

— Dobre czasy dla nas. Nie mógłbym składać wizyt przy innej pogodzie. Wszak ma pan herbatę?

— Tak, oczywiście.

Hartmann nalał mu gorącej herbaty.

— Kupiłem także koniaku dla pana — rzekł, uśmiechając się z zakłopotaniem.

— A pan nie pije? — Gordon spojrzał na niego ze szczególną uwagą.

— Nigdy.

Usiedli. Hartmann jakby głęboko pogrążył się w siebie.

— I nie pali pan także? — zapytał Gordon.

— Ja? Nie, nie palę.

— Ależ wszak widziałem pana palącego w Londynie, ostatnim razem.

— Teraz już nie palę.

— Dlaczego?

— Nie chcę mieć żadnych potrzeb. Nie chcę niczego używać. Niczego.

— Bo chcesz pan wyswobodzić swoją wolę ze wszystkich pęt. Wszak prawda?

— Tak.

Nastało znowu długie milczenie.

— I pan nigdy także nie kochał? — spytał Gordon nagle.

— Nie, nigdy! — odrzekł obojętnie.

— Czy gardzi pan kobietami?

— Nie mogę nimi gardzić, bo nie uznaję różnicy płci, uznaję i znam tylko ludzi i kocham wszystkich ludzi.

<sup>24</sup> migotający — dziś popr.: migoczący a. migocący [przypis edytorski]



Hartmann pił herbatę powoli i z namysłem i zdawało się, jakby wcale nie czuł ochoty do dalszej rozmowy. Ale nagle twarz jego ożywiła się. Spojrzał ponuro na Gordona.

— Ja już wyszedłem z siebie. A tylko człowiek, który wyszedł z siebie, może spełnić ten czyn. Przed rokiem zabiłem kota, który zamordował młode ptaszęta w gnieździe. Wtedy po raz ostatni byłem nieszczęśliwy, bo czułem, że jeszcze mam z sobą do czynienia, że jeszcze nie wyszedłem z siebie, że jeszcze nie dojrzałem do czynu. Teraz już nie jestem nieszczęśliwy. Nieszczęśliwy człowiek nie dojrzał do czynu. Czyn musi w mózgu mieć swe korzenie, a nie w uczuciu. Gardzę anarchistami, bo u nich wszystko pochodzi z uczucia. Dla mnie czyn nie jest czynem, jeżeli ma źródło swoje w uczuciu litości lub zemsty. Nie! ja muszę *zrozumieć*, że coś jest dobre, i jeżeli coś zrobię, to właśnie dlatego, że *rozumiem*.

Gordon był tak wycieńczony, że tylko z trudem mógł zdążyć za tokiem myśli Hartmanna. Ale ostatnie zdanie zaciekało go.

— Czy pan niczego nie żałuje w swoim życiu?

— Tak. Mógłbym być bardzo wygodnie zabić kiedyś właściciela plantacji, który nie-  
ludzko bił swoich niewolników, i nie skorzystałem ze sposobności.

— Zresztą niczego?

— Nie!

— I nie czuje pan również nienawiści?

— Nie!

— I dlaczego chce pan spełnić ten czyn?

— Bo zrozumiałem i przekonałem się, że jest dobry.

Milczeli bardzo długo. Gordon pił szklankę herbaty jedną po drugiej i ponuro patrzył przed siebie. Nagle ostro spojrzał na Hartmanna.

— Panu pewnie z trudem przychodzi wyrazić swoje myśli?

— Dlaczego?

— Bo pan zawsze milczy.

— Czy ja milczę? Ja nie wiem o tym. Myśli moje są tak głośne, że rozmawiam z nimi.

— Pan pewnie bardzo dużo myśli?

— Ja zawsze myślę.

Zamilkł znowu. Ale nagle ożywił się.

— Czytałem pracę pana. Krytykę istniejących utopii ekonomicznych, jak je pan nazywa. Zajęła mnie bardzo, chociaż zupełnie się z panem nie zgadzam. Jesteśmy, że tak powiem, na dwóch krańcowych biegunach. Ja wierzę w potęgę mózgu, w potęgę uświadomionej i świadomej woli, która zdoła stworzyć nowe systemy ekonomiczne i wprowadzić je w życie. Pan w to nie wierzy?

Spojrzał pytająco na Gordona.

— Nie, nie wierzę — rzekł Gordon opryskliwie.

— Twierdzi pan więc, że mózg niczego zdziałać nie zdoła? — Hartmann nerwowo kręcił węża.

Gordon zauważył nagle, że Hartmann ma bardzo piękną rękę. Palce były długie i kończyste, a tak cienkie, że zdały się ogromnie wężymi.

— Tego nie powiedziałem — Gordon mówił bardzo wyraźnie, jakby chciał przemóc znużenie. — Powiedziałem, że mózg zdoła kombinować na podstawie niezliczonych doświadczeń, zdoła to, co nieznanne, sprowadzić, do tego, co znane i tworzyć nowe — nie, nie nowe, lecz bardziej skomplikowane połączenia i stosunki; ale twierdę stanowczo, że mózg żadną miarą nie zdoła objąć milionów bardzo drobnych i najdrobniejszych przyczyn. A zatem nie potrafi z góry przewidzieć, jakim się okaże najsubtelniej obmyślany system. Przypuściwszy nawet, że zdołałby uregulować niezliczone zewnętrzne przypadkowości i oznaczyć z góry np. konsumpcję za pomocą starannej statystyki, to przecież nie zdoła obliczyć i wtłoczyć w jakiś szemat<sup>25</sup> duszy, a więc tego, co przede wszystkim jest nieprzewidywane, przypadkowe. Że nasz ustrój psychiczny jest wytworem stosunków ekonomicznych, to głupstwo; i jeszcze większym głupstwem jest przypuszczenie, że ustrój ten zmieni się ze zmianą stosunków ekonomicznych. A że właśnie nie można oznaczyć jedynego czynnika wszelkich stosunków: duszy, więc każdy nowy system ekonomiczny jest dla mnie utopią, kwadratowym kołem, biczem z piasku.

<sup>25</sup>szemat — dziś popr.: schemat. [przypis edytorski]

- A więc stan istniejący jest dobry — wtrącił nerwowo Hartmann.  
— Nie! nie dobry, lecz konieczny.  
— Ależ przez miliony wieków uczono nas, że to, co konieczne, jest dobre.  
Gordon uśmiechnął się.

— Tego nas nie uczono. Ale niech i tak będzie. Przypuśćmy, że to prawda. Ale w takim razie trzeba je zniszczyć, właśnie dlatego, że jest dobre. Ja chcę je zniszczyć, bo jest dobre, a pan chce je zniszczyć, bo jest złe. Pan chce zniszczyć stan istniejący, bo ma pan nowy system w pogotowiu. A ja chcę niszczyć, bo na gruncie zniszczenia wykwitnie nowy stan rzeczy, zupełnie od woli niezależny, nieobliczony, ale nie mniej konieczny i uzasadniony. W gruncie to na jedno wychodzi. Skoro tylko zniszczymy stan istniejący, natenczas nie pozostanie mi już nic do roboty, a przyszłość może pan zbudować sobie według swoich zasad.

Hartmann długo spoglądał na Gordona.

— Dlaczego pan chce niszczyć?

— Bo nienawidzę.

— Nienawidzi pan? — uśmiechnął się.

— Tak, nienawidzę. A nienawiść moja świętsza jest od miłości pana, bo pan odczuwa miłość tylko mózgiem. Nienawiść moja jest starsza i głębsza, bo była przed wszelką miłością. Lucyfer jest starszy niż świat, bo świat jest dziełem miłości.

— Jesteś za bystry, panie Gordonie — rzekł Hartmann bardzo powolnie<sup>26</sup>. — Nie mogę podążać za myślą pana, mózg mój niewykształcony nie zdoła pojąć pańskich paradoksów. Zresztą nie wierzę wcale w to, co pan mówi. Wszak to tylko surogat pańskiego myślenia, wszak to drzazgi tylko, które mózg dokoła siebie rozrzuca. W tym tkwi zupełnie co innego.

— Tak pan sądzi?

— Ukrywa pan i chowa swoje wnętrze, tryskasz paradoksami i dowcipnymi słówkami, żeby tylko nie pokazać najgłębszego dna duszy. Pan bardzo nieprzystępny. Pan jest arystokrata. Może ostatni...

Urwał nagle i umilkł.

— Chcę z panem wspólnie pracować — rzekł po długiej chwili milczenia.

Po twarzy Gordona zamigotała jakby jasna iskra błyskawiczna, ale wnet znikła i twarz przybrała wyraz zwykłej obojętności.

— To bardzo rozsądnie — rzekł prawie niedbale.

— Wczoraj jeszcze się opierałem. Pobudki pana były mi niejasne. I teraz ich jeszcze nie rozumiem zupełnie. Ale ufam panu...

— Wszak mnie pan nie zna.

— Nie! Nie znam pana. Nie znam myśli pana, ale znam twoją duszę.

Uśmiechnęli się do siebie pełni zakłopotania.

— Mówił pan kiedyś w Londynie o wszystkich tych wydziedziczonych i zrozpaczonych, o wszystkich tych dzieciach Szatana, jak ich pan nazwał. Jest coś ponętnego w tej myśli, która nieustannie w ciągu wieków powraca. Wszystkie ludy i wszystkie czasy wierzyły w pierwiastek zła, a pan, wszak pan jest ojcem zła, a to dobrze.

— Czy to dobrze?

— Tak, to dobrze.

— Czy pan to dzisiaj dopiero zrozumiał?

— Tak. Na chwilę przed przyjściem pana. Wiele zastanawiałem się nad panem... Teraz już jestem gotów... Ależ pan drży. Napij się pan herbaty, naleję panu koniaku... Tak... Wystarczy?

— Czy pan jest pod dozorem policji?

— Nie. Nigdy nie brałem udziału w żadnym ruchu. Czekalem na Jedyne.

— A tym jestem ja?

— Tak. Pan.

Siedzieli długo w milczeniu.

Kiedy Hartmann znowu podniósł oczy, spostrzegł, że Gordon śpi.

Wstał cichutko, przyniósł koldrę z łóżka i przykrył go starannie.

<sup>26</sup>powolnie — tu: powoli, wolno. [przypis edytorski]

Twarz śpiącego jakby zastygła w najrozpaczliwszym smutku. Zdawało się, jakby ledwo oddychał.

Hartmann odwrócił oczy, ale wciąż musiał na nowo wpatrywać się w tę rozpacziwą twarz. Tak siedział blisko godzinę.

Nagle Gordon otworzył oczy. Całkiem spokojnie. Jakby je dopiero co przymknął.

— Muszę już iść — rzekł, odłożył koldrę i powstał. — Dziękuję panu. Pan jest dla mnie jedynym. Jutro znowu przyjdę, a wtedy omówimy szczegóły.

— Może napije się pan jeszcze herbaty?

Gordon spojrział na zegarek.

— Jest już po trzeciej, ale chętnie zostanę i chętnie z panem będę rozmawiał.

Usiadł znowu.

— Czy lubi pan filozofię?

— Lubię myśleć.

Hartmann chodził po pokoju, spoglądał od czasu na Gordona i zdawało się, że szukał słów.

— Co pan właściwie ceni, filozofię Nietzschego<sup>27</sup>? — spytał nagle.

— Filozofię? Wcale nie. Ale sztukę Nietzschego cenię bardzo.

— A filozofię jego pan ma za nic? — spytał Hartmann zdumiony i usiadł znowu.

— Tak jest. Filozofia jego nie zaciekawia mnie wcale. Bo cóż on stworzył lepszego lub gorszego od któregośkolwiek innego filozofa burżuazyjnego? Wszak Nietzsche-filozof to czysto burżuazyjny mózg... Czymże jest cała dotychczasowa filozofia? Marną etyką burżuazyjną, jedyną etyką, jaką w ogóle burżuazja posiada, a mianowicie etyką, która głosi świętość i nienaruszalność własności. I dlaczego, sądzi pan, zgodzono się wreszcie na to, że życie nic nie warto. Wszakże wszystkie powody, jakie filozofowie przytaczają na uzasadnienie tego poglądu, dadzą się ostatecznie sprowadzić do przyczyn ekonomicznych. Utopista, doszedłszy do tego poglądu, chce stworzyć inne warunki bytu, ale filozofowi burżuazyjnemu takiego wniosku wyciągać nie wolno, bo własność jest nienaruszalna. A więc gdzie szukać wyjścia. Bajeczny imiennik pana chce wyzwolić się przez samobójstwo. A Nietzsche? Wszakże i on wyszedł z pesymistycznego poglądu na życie, wszakże i on jasno zdawał sobie sprawę z tego, że życie nic nie warto; ale nie chciał zatrzeć granicy między „moim” a „twoim”, nie chciał uciec się do banalnego środka wybawienia przez śmierć, więc woła do ludzi: bądźcie nadludźmi! Ale dlaczego mamy stać się nadludźmi? Bo powinniśmy się wznieść ponad nędzę, która wytworzyła własność. He, he, he! Nie ma dobra ni zła, ale Nietzsche ciągle mówi o anarchistach jak o psach, które przebiegają wszystkie targi europejskie... He, he... Bądźcie nadludźmi, to znaczy, bądźcie szlachetni i mądrzy, pracujcie przy pomocy pojęć, nie dbajcie o burżuazyjny porządek społeczny, lecz druzgotajcie jego tablice, naturalnie na papierze i gardźcie nim... He, he, he... Nigdy jeszcze ta trwoga burżuazyjna, co drży przed możliwym naruszeniem własności, nie ukryła się tak dobrze. W gruncie, to przecież nic innego, tylko nauka chrześcijaństwa: nie troszczcie się o skarby, które rdza pożera... Ha, ha... Jedni udają się do Indii i wchłaniają w siebie naukę brahminów... drudzy chcą się oczyścić i uszlachetnić środkami czystego człowieczeństwa, inni stają się nawet nadludźmi!...

<sup>27</sup> Nietzsche, Friedrich (1844–1900) — jeden z najbardziej wpływowych filozofów i pisarzy końca XIX i początku XX w.; studiował filologię klasyczną, teologię, historię Kościoła i historię na uniwersytecie w Bonn i w Lipsku; po odbyciu obowiązkowej służby wojskowej w 1869 r. pozostawał „bezpamiętnym”; w 1869 r. objął katedrę filologii klasycznej na uniwersytecie w Bazylei; istotny wpływ na myśl Nietzschego miało zetknięcie się z filozofią Artura Schopenhauera oraz muzyką Ryszarda Wagnera (z którym blisko przyjaźnił się na początku lat 70 XIX wieku; później doszło do rozluźnienia stosunków ze względów światopoglądowych); charakterystyczne dla stylu Nietzschego jest pisanie aforyzmami (począwszy od dzieła *Ludzkie, arcyłudzkie* z 1878 r.), co po części wynikało z choroby, na którą cierpiał od lat młodzieńczych, a która objawiała się niezwykle silnymi, wielodniowymi atakami migreny; choroba zmusiła go do zrezygnowania z pracy uniwersyteckiej w 1879 r.; odbył wiele podróży po Włoszech, Niemczech i Szwajcarii, na przełomie 1888 i 1889 r. nasilenie choroby doprowadziło do obłądzenia; Nietzsche trafił na rok do kliniki psychiatrycznej, najpierw w Bazylei, a następnie w Jenie; w 1890 matka zabrała go w rodzinne strony, do Naumburga; ostatnie trzy lata życia spędził samotnie w Weimarze, został pochowany w Röcken, obok swego ojca, pastora luterkańskiego; Nietzsche jest twórcą koncepcji dwóch nurtów w sztuce: dionizyjskiego i apollinijskiego (*Narodziny tragedii* 1872); najbardziej znany jako autor przedstawiającego ideał nadczłowieka dzieła *Tako rzecze Zaratustra* (1883–1885); ostatnią książką Nietzschego jest autobiograficzna *Ecce Homo* (1888); pośmiertnie została wydana jeszcze z jego notatek *Wola mocy*. [przypis edytorski]

Gordon wpadł w niezwykłą wściekłość.

— Jaka ona śmieszna, ta drżąca trwoga, która teraz dla odmiany stworzyła sobie nadczłowieka. Ta trwoga, ta trwoga, rozumie pan — ta trwoga drobnego obywatela, który drży przed dynamitem anarchisty. Nienawidzę tych kłamliwych ideologów burżuazyjnych, bardziej nimi gardzę niż Napoleon...

Ustał nagle i niemal zakłopotany spojrzął na Hartmanna. Zdało mu się, że za wiele powiedział.

— Wydaje pan strasznie lekkomyślne i jednostronne sądy — rzekł Hartmann po długim milczeniu. — Obchodzi się pan z takim Nietzschem jak z żakiem szkolnym...

— Być może... Tak, istotnie. Jestem jednostronny, jestem fanatykiem... Ma pan słuszość... To zresztą moja rzecz... Jedyne filozof, którego czczę, to Napoleon. Szczęście nie nęci mnie wcale, nie troszczę się o nie. Cała etyka, wszelkie przyczyny i cele nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Ale znam i ubóstwiam jedną rzecz, jedną, która jest piękna — czy pan rozumie? piękna — a jest nią potęga, potęga, potęga!

Hartmann spojrzął nań ponuro.

— Wiedziałem, że pobudki pana są złe.

— Co to pana obchodzi, czy są złe czy dobre? Zresztą potęga nie jest ni zła ni dobra, jest tylko *piękna!* Napoleon sam był śmiesznym ideologiem, był małym człowiekiem, bo chciał zdobyć potęgę na to, żeby się nią rozkoszować, z potęgi chciał zrobić przedmiot własności...

— A pan?

— Ja chcę pić potęgę i upajać się nią w czynie, potęga jako przedmiot własności jest dla mnie śmieszna, tak śmieszna jak ta nędzna, obdłużona wioska, na której siedzę. Chcę być potężnym, ale nie chcę potęgi posiadać. Gdyby Napoleon zniszczył świat dla niszczenia, gdyby druzgotał trony i nie obsadzał ich na nowo, gdyby zniszczył był porządek rzeczy i nie przekształcił go na inny, natenczas byłby dla mnie Bogiem! Nie! nie Bogiem! Wszak Bóg istnieje tylko na to, żeby strzec własności mienia i życia... Ale byłby dla mnie Szatanem! Najwyższym! Ten, który niczego nie posiada, dla którego życie jest obojętne, nie potrzebuje Boga, Bóg jest dla niego zbyteczny, ale potrzebuje Szatana — Boga, który przemawia czynem, który do czynu pędzi... zresztą gardzę także Napoleonem...

Milczeli długo.

Hartmann wstał powoli.

— Teraz idź już pan. Był pan bardzo szczery. Nie mam dla pana ani odrobiny sympatii. Nie współczuję z panem, bo nie jesteś człowiekiem. Człowiek, który jest tylko czynem, nie jest człowiekiem.

Gordon uśmiechnął się wzgardliwie.

— Wiele pan ma przesądów burżuazyjnych, kochany Hartmannie. Zdawało mi się, że mózg pana lepiej wyszkolony. Musi pan długo jeszcze pracować nad mózgiem swoim.

Gordon posmutniał nagle, czoło pomarszczyło mu się niezwykle, a oczy mgłą się przesłoniły.

— Pan jeszcze korzyszczy się przed pojęciami, które burżuazja wynalazła dla ochrony własności. Pojęcie „ludzkość” ogrzewa ci serce. Ale czyż pan nie pojmuje, że to pojęcie, to tylko imię zbiorowe dla ochrony kolektywnej własności? Przecież ja właśnie gardzę anarchistami. Chcą usunąć własność, ale czczą ludzkość. Ludzkość jednak nie może istnieć bez własności. Tylko o tyle uważam się za cząstkę ludzkości, o ile mam z nią coś wspólnego: własność. Jeżeli mam własność, to i miłość odczuwam ku ludzkości i nie wolno mi niszczyć...

Zaśmiał się nagle.

— A skoro nie wolno mi niszczyć, to czymże jestem, jeżeli nie ideologiem i obywatelem. Bądź pan zdrow, i nie zapominaj pan o przyrzeczeniu.

— Nigdy nie zapominam tego, co przyrzekłem.

Hartmann spojrzął nań ponuro.

— Był pan bardzo szczery — rzekł powoli.

— Pan jest jedynym, który to wszystko ode mnie usłyszał.

Gordon podał mu rękę i uśmiechnął się.

— A kiedy wszystko będzie zniszczone, wówczas ja pójdę i zostawię panu miejsce do budowania.

V

Hela stała przy oknie i przyciskała rozpalone czoło do szyby.

Na dworze deszcz padał, padał nieprzerwanie.

Nie myślała o niczym. Był to stan obłąkanego i bezładnego pogmatwania, pogrążenia, z którego zrywała się od czasu do czasu.

Och, ona to знаła.

Zmierzch zapadał, zaczęło się szybko ściemniać.

Zaświeciła lampę, usiadła na fotelu i ukryła twarz w dłoniach.

Tak siedziała bardzo długo. Nagle zerwała się: ktoś pukał.

Wszedł Ostap. Zdawał się zmieszany, rozejrzał się lękliwie dookoła i usiadł, nie mówiąc ani słowa.

Hela stała i czekała.

Spojrzał ku niej z zakłopotaniem.

— Pewnie na mnie czekałaś. Z takim trudem wybrałem się z domu. Ból rozsadza mi głowę. Co masz mi powiedzieć? Wielki Boże, tak ponuro wyglądasz? Cóż to takiego?

— Czyś ty chory? — spytała.

— Nie, tylko pijany. Teraz zawsze jestem pijany — wykrztusił Ostap.

— A czy zrozumiesz przynajmniej, co ci powiem?

— Mów, mów!

— A więc słuchaj, nigdy nie chcę cię już widzieć. Postanowiłam zerwać z tobą.

Podskoczył i spojrzał na nią idiotycznie.

— Nie przerywaj mi, bo inaczej pójdę i nic nie powiem. Zresztą kłamiesz, nie jesteś pijany. Wcale nie jesteś pijany.

— Nie!

— Czyś ty chory?

— Nie, nie! Mów dalej, mów!

Spowaźniała jeszcze bardziej.

— Śmiejesz się! Myślisz, że mówię pod wpływem kaprysu. Nieprawda. Nigdy nie mówiłam tak szczerze. Teraz dopiero stałam się tak szczerą...

Przerwała, jakby jej sił zbrakło.

— Och, taka szczerą jestem — powtórzyła nieprzytomnie.

Nagle oprzytomniała i usiadła obok niego.

— Ostapie, okłamałam cię; ja nie mogę być twoją. Miłość twoja była tak gwałtowna, oszołomiłam się twoją miłością. Byłam tak szczęśliwa. Ty jesteś pierwszym, który mnie kochasz, ale ja cię nie kocham.

— Nie kochasz mnie?

— Nie! Sądziłam, że o wszystkim przy tobie zapomnę — o wszystkim... Ale ty jesteś zbyt słaby. Ja muszę czuć moc i straszliwą siłę dookoła siebie, inaczej upadam... tak, upadam — upadam... Och, nie ma dla mnie człowieka dość silnego. Muszę czuć dookoła siebie taką potęgę, żebym w niej stopniała jak drobny punkcik. Potęgę, która by mnie tysiącrotnie osłoniła tak, żebym o sobie zapomniała i czuła się bezsilnym dzieckiem i stała się znowu dzieckiem... Ty nie jesteś takim człowiekiem. Tyś sam słaby i zawsze się lękasz. Ty o wiele bardziej się lękasz niż ja...

Umilkła.

On chwycił ją za rękę, ścisnął ją boleśnie i rzekł ochrypłym głosem:

— Dalej, dalej!

— Och, puść, puść... To boli... Ja muszę czuć, jak mnie cudzą potęgą unosi, porywa, bo wtedy znowu czuję się dzieckiem i nie pamiętam odrazy... Ale i ty odczuwasz wstręt. Do siebie i do mnie...

— Kocham cię! — rzekł Ostap bezdźwięcznie. — Nigdy nie czuję wstrętu do ciebie.

— Kłamiesz! Kłamiesz! Często czujesz wstręt do mnie. Bardzo często. Czy powieścić ci, kiedy czuleś? Czy pamiętasz, kiedy staliśmy na peronie na stacji kolejowej? Jakiś mężczyzna całował dziewczynę, która z lękiem rozglądała się naokoło. Czuła tyle trwogi, tyle miłości i tyle bólu, bo on musiał odjeżdżać. Czy wtedy nie myślałaś: „Ach, tak ona stała niegdyś obok pierwszego kochanka, kiedy on musiał odjeżdżać? Lękała się, żeby jej nie spostrzeżono, i ogromnie była smutna, że on odjeżdża!”. Czy ty tak nie myślałaś o mnie?

Czy myślisz, że nie spostrzegłam, jak wzdrygnąłeś się z bólu? Najlżejsza drobnostka sprawia ci ból. Wszystko, co we mnie jest, co mnie otacza, sprawia ci ból. Każdy dom, każda ulica, każde wspomnienie staje się dla ciebie męczarnią. Gdziekolwiek spoglądam, prześladowuje cię myśl: „Och, czy to nie tu, czy nie w tym domu *ona* stała się kobietą? Czy to tu *ona* siedziała z nim i wspominała noc miłosną?”... Widzisz, ja tego znieść nie mogę. Ja taki bezmierny wstręt czuję dla mojej przeszłości... Nie chcę, żebyś mi ją nieustannie przypominał. Nie! Nie chcę... Och, jam taka znużona!

Opuściła bezsilnie ręce.

— Ty chwytasz się mojej istoty — rzekła po długiej pauzie. — Ciebie dręczy tak wielka trwoga. Chciałbyś zgłuszyć ją w miłości. Chciałam wziąć cię za rękę i stopić swój wstręt w twojej trwodze. Ale braknie mi sił...

Umilkła znowu, oczy jej zapełniły się łzami.

Ostap chciał coś powiedzieć, ale wykrztusił tylko ochryply jakiś dźwięk.

Spojrzała nań pytająco.

Oczy jego roztwierały<sup>28</sup> się pełne chorego lęku.

— Nie opuszczaj mnie! nie opuszczaj mnie... Bez ciebie zginę. Odkąd cię tu spotkałem... odkąd cię kocham, jestem inny, lepszy... Miłość twoja wzmocniła mnie... Już nie mam tych strasznych snów...

Porwał ją za ręce.

— Ty napoiłaś mnie nadzieją... a ja uchwyciłem jej się rozpaczliwie... Kocham cię. O wszystkim zapomnę. Stanę się siłą i potęgą, której ci trzeba, której pragniesz...

Plakał jak dziecko.

Hela niecierpliwiła się.

— Ty nie możesz być silnym<sup>29</sup>! Nie okłamuj się! Nie utrudniaj sobie tej bolesnej rozłąki. Teraz zapomniawszy już o tym, o czym jeszcze przed pięciu minutami<sup>30</sup> myślałeś... Czyż nie zdałeś sobie sprawy z tego, że byłam kochanką Gordona i jeszcze dawniej kochanką śmiesznego studenta? Tutaj, tak, w tym mieście! Chodź ze mną, a pokażę ci dom, w którym przeżyłam długie, długie godziny miłości.

Zaśmiała się szyderczo.

— Czyż nie możesz sobie wyobrazić, czy nie możesz odczuć całego wstrętnego brudu, którym się kalasz, kochając kobietę, której ciało oplecione było już rękami innego? Ha, ha, ha... Tylko namiętnością rozpalony, lubieżny chłopczyzna nie odczułby grozy i bólu w takich razach... Idź! Nigdy już nie chcę oglądać cię! Nie kocham cię!

Ostap jakby stracił równowagę. Porwał ją znowu za ręce i ścisnął je gwałtownie.

— Pozwól przynajmniej, abym cię widział, królowo. He, he... Tyś moja królowa! Czuję się tak silnym przy tobie. Czy przyprowadzić ci go, czy rozumiesz, *jego*, króla? Czy sprowadzić ci tu Gordona? Tylko mnie nie odpędzaj! Ja w tej chwili go tu sprowadzę...

Śmiał się jak obłąkany.

— Znam czarowne słowo! Natychmiast przyjdzie! Jego miłość dla potęgi większa jest niż jego miłość ku tobie...

Tupnęła nogą.

— Nie chcę go! Nienawidzę go!

— Bo go kochasz, królowo. Ja go także kocham... Będziemy go kochać oboje. Oboje będziemy szczęśliwi w jego potędze i drobnoci, ha, ha, ha... i nie będziemy lękać się... Ha, ha, ha... ja tak ogromnie się lękam...

Hela powstała.

— Idź! Wszystko już skończone! To moja ostatnia wola! Nie chcę was widzieć, ani ciebie, ani jego. Chcę być sama. Gordon jest kłamcą. On nikogo nie kocha. On tylko stara się wmówić w siebie, że kocha, ale on nie kocha.

— Tak on kocha, ciebie kocha, ciebie, bo ty... bo ty...

Powstał i zatoczył się.

— Słuchaj, Helu... Pozwól mi przynajmniej... Tak, o to jedno cię proszę... Pozwól mi czasem przyjść i widzieć cię...

<sup>28</sup>roztwierać — dziś: otwierać a. rozwierać. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>nie możesz być silnym — dziś raczej: (...) być silny. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>przed pięciu minutami — dziś popr.: przed pięcioma minutami. [przypis edytorski]

— Nie! Nie chcę! Kalacie mnie każdym uściskiem dłoni, kalacie mnie oczyma swoimi, dźwiękiem głosu... Wszyscy chwytacie się mnie z tą myślą, że łatwo mnie osiąść, bo mnie już posiadał ten i ów. Brzydzą się wami! Idź już! Idź!

On uśmiechnął się jak obłąkany.

Hela porwała się trwożnie. Obezwładniał ją dziki wyraz najrozpaczliwszej trwogi, który skrzywił mu twarz.

— Czego się lękasz? — szepnęła cicho i cofnęła się mimo woli.

On podszedł ku niej.

— Czego się lękasz? — powtórzyła.

Nagle Ostap spojrział na nią jasno i poważnie.

— Chodź do mnie. Powiem ci. Chodź, usiądź tu koło mnie.

Uśledzała.

On pochylił się nad nią.

— Lękam się, bo — bo...

W okamgnieniu objął jej głowę i ugryzł ją w szyję.

Hela krzyknęła z bólu.

Ostap ochłonął. Cofnął się w odległy kąt i stanął z bezwładnie obwisłymi ramionami.

Upłynęła długa chwila. Hela drżała i wcisnęła się trwożnie w kąt pokoju.

On ciągle patrzył na nią i uśmiechał się jak obłąkany. Po policzkach jego spływały nieprzerwanie wielkie łzy, a na twarzy nie zadrgał mu ani jeden mięsień.

W końcu opamiętał się. Zwrócił się ku oknu, stał długo nieruchomo i spoglądał na ulicę. Potem z wolna odwrócił się do niej.

— Pewnie cię przestraszyłem — spytał obojętnie. — Od czasu do czasu miewam takie napady... No tak... teraz oczywiście pójdę...

Usiadł, ale wstał znowu.

— Ale powiedz, czy istotnie nie sprowadzić ci tu Gordona?

Patrzył na nią przeciągle, potem uśmiechnął się.

— A więc, bądź zdrowa... masz słuszość... Ja wiele cierpiałem przez to... przez... przez — No tak...

Dotknął się jej ręki końcami palców.

Przed drzwiami zetknął się z Polą Wrońską.

Na dworze musiał się oprzeć o mur, żeby nie runąć.

Po chwili zaczął schodzić ze schodów, ale siły go opuściły.

Usiadł na stopniach, wszystko zaczęło dookoła niego krążyć, jakieś wielkie niebo stało w płomieniach, żółte błyskawice wpadały w słońce...

Zemdlał.

## VI

Kiedy się zbudził, spostrzegł Gordona siedzącego przy stole. Był zajęty samowarem.

Ostap natychmiast przymknął oczy, ale wnet usiadł na łóżku.

— Czy mnie znaleziono u niej?

Gordon spojrział nań uważnie.

— Wszak mówiłem, że to nic nie znaczy. Wszyscy byli tak zatrwożeni o ciebie. Jeżeli się nie mylę, to częściej już miewałeś takie napady.

Ostap spojrział nieufnie na Gordona. Zazwyczaj nie był skorym do rozmowy.

— Pamiętasz, wtedy na tej knajpie maturycznej także nagle runąłeś na ziemię. Po dwóch dniach wyzdrowiałeś zupełnie. Wszak ci już dobrze? Co? To coś w rodzaju febrы nerwowej, nieprawdaż?

— Czy mnie znaleziono u niej? — spytał Ostap niemal groźnie.

— Tak, oczywiście. Nastąpiło wielkie wzburzenie. Byłem właśnie w mieście i zaraz tu przyszedłem... Długo zresztą majaczyłeś...

— Majaczyłem?

W oczach Ostapa zadrgała trwoga.

— Tak. Mówiłeś bez związku, jak zwykle w febrze.

— O czym? o czym? — trwoga jego wzrastała niezmiernie.

— Oczywiście o utraconej miłości i o tym podobnych uczuciach.

Ostap odwrócił się do ściany, ale nie mógł znaleźć spokoju.

— Ty pewnie bałeś się, że zdradzę w febrze twoje bajeczne plany? — pytał ironicznie.

— Tak, oczywiście. Pijanemu i złożonemu febrą wszystko się wymyka.

— Ha, ha, ha... Twoje dziecinne plany... spiskowe.

Ostap śmiał się z coraz większym rozdrażnieniem.

— Czy ty istotnie myślisz świat zniszczyć przez kradzież kilku tysięcy marek?

— Nie, tego nigdy nie mówiłem.

— I dlaczego chcesz tych pieniędzy?

— Żeby ludzi kształcić, tworzyć.

Ostap ziewnął.

— Rób co chcesz. Ja nie ruszę palcem. Jutro zresztą wyjeżdżam.

Gordon uśmiechnął się.

Ostap starał się być jak najspokojniejszym.

— Ta historia z Helą dręczyła mnie bardzo. Teraz mam uczucie, jakbym stoczył sobie z serca kamień młyński. Wszak i to było sugestią — ty...

Ale nagle urwał i pogrążył się w głębokim zamyśleniu. Skurczył się całkiem i bezmyślnie patrzył na pokój.

— Mój ojciec wszak nie wie o tym? — spytał nagle.

— Nie! Ojciec twój wyjechał na kilka dni.

Upłynęła chwila. Ostap, zdawało się, usnął. Ale nagle spojrzał nieufnie na Gordona i znowu trwoga przemknęła mu przez twarz.

— O czym mówiłeś? — rzekł Gordon i spojrzał nań w zamyśleniu.

Ostap podskoczył przerażony.

— Czy ja się pytałem teraz, o czym mówiłem?

Drżał.

— Nie! Ale ja wyczytałem to pytanie na twojej twarzy.

Ostap opadł wycieńczony na łóżko.

Zmierch zapadł. Księżyc rzucał obraz okna na podłogę. Gordon wpatrzył się w wielkie czarne smugi ram, które dzieliły światło księżyca na wielkie kwadraty.

— Cieszy mnie — rzekł nagle Gordon — że ten atak tak szybko minął. Niewiele mamy czasu. Po pełni musimy rozpocząć.

Ostap wściekle uderzył pięścią w stół.

— Nie chcę! Nie poruszę nawet palcem! Przeklinam cię, Szatanie, ty, kacie ty! Zniszczyłeś mi życie, a teraz chcesz wtrącić mnie do więzienia.

Gordon jakby na to wcale nie zważał. Mówił dalej, jakby w głębokim zamyśleniu.

— Mam nadzieję, że jasno zdajesz sobie z tego sprawę, co masz zrobić. Za tydzień rozpoczynamy.

Spojrzał spokojnie na Ostapę.

Tymczasem światło księżyca przesunęło się. Widział twarz Ostapę skrzywioną trwogą i męczarnią. Usta jego drżały i poruszały się, wreszcie zdołał wybelkotać kilka słów.

— Co masz na myśli? Co? co?

Gordon nie od razu odpowiedział.

— Dziwne — rzekł w końcu — bardzo dziwne, że wszyscy ludzie w najwyższym wzburzeniu są do siebie podobni. Wyglądasz teraz zupełnie tak, jak ten mały Stefan, który umiera na suchoty.

— Czy istotnie chcesz mnie zmusić? — szepnął Ostap.

— Nie chcę cię zmuszać.

— Chcesz mnie zmusić!

— Nie! tylko ty musisz chcieć.

Długie milczenie.

Kiedy Ostap znowu potem zaczął mówić, zdawał się zupełnie spokojnym. Mówił też płynnie, jakby długo zastanowił się nad tym, co miał powiedzieć.

— Czy myślisz — szepnął — czy myślisz, że ja dam się omamić? Czy myślisz, że zmusisz mnie pogroźką skrytobójstwa? Czy ty istotnie tak myślisz? He, he... Teraz, kiedy wszystko, wszystko mi zniszczyłeś...

Urwał i spojrzał na Gordona z wyrazem najgłębszej nienawiści.

— A więc przecież to zrobiłeś! — wykrztusił z trudem.



— Tak! — Gordon zdawał się zupełnie obojętnym. — Nie mogłem ścierpieć, żeby głupia kobieta wodziła za nos takiego jak ty człowieka... Hela zresztą prawdopodobnie nie jest głupia, ale histeryczka... Nabierz przecież trochę rozumu... Co za śmieszne wzburzenie! Nigdy nie widziałem cię jeszcze w innym stanie... Zresztą muszę już iść. Zastanów się więc dobrze, za tydzień musimy rozpocząć.

— Idź do diabła!

Nagle opadło go straszne rozdrażnienie.

— Och, jak ja cię nienawidzę! Nie możesz wyobrazić sobie, jak ja tobą gardzę! Każdy mój mięsień, każdy włos na głowie gardzi tobą i nienawidzi cię! Mnie zgubiłeś i ją, tak, ją zniszczyłeś. Ją! Ją! Nie wierzę, żebyś ty miał przez nią cierpieć. To kłamstwo. Chciałeś ją tylko zniszczyć. Podrażniłeś ją udaną męczarnią, której nie odczuwałeś, przykułeś ją do siebie i zniszczyłeś każdy jej nerw. Teraz wreszcie poznałem cię. Wszczepiłeś jej w krew ten jad, który ją teraz rozsada. Twoje to dzieło, że dusza jej teraz zepsuje się i zgnije... Teraz możesz ją spokojnie porzucić — osiągnąłeś swój cel.

Milczał przez chwilę.

— Ja już skończyłem z życiem. Zrobię wszystko, gdybym nawet miał przy tym zginąć. Ale — nie chcę umrzeć w więzieniu, w domu poprawczym.

— Więzieniu? Dlaczego miałbyś umrzeć w więzieniu?

— Nie drwij ze mnie! Czy nie masz...

Ostap zastanowił się nagle.

— No tak — uśmiechnął się — czy nie ocieraliśmy się już często o więzienie? Ty i ja? He?

Gordon uśmiechnął się tajemniczo.

— Dlaczego się śmiejesz?

— Ty nie dlatego boisz się więzienia. Nie tego się boisz, co razem zawiniliśmy.

Przez chwilę zdawało się, że Ostap chce się rzucić na Gordona. Ale jakby pod nagłym uderzeniem mózgu jego stracił napięcie i Ostap położył się znowu.

Gordon nalał sobie herbaty.

— To fatalne — rzekł bardzo smutnie. — Nie wiedzieć nigdy, gdzie cię ugodzić.

— Nie drwij — rzekł Ostap znużonym głosem — wszak ty wiesz dobrze, że wszystko zrobię.

— To samo mówiłeś przed kilku dniami<sup>31</sup>.

— Teraz możesz być pewnym. Wydarłeś mi wszystko, wydarłeś mi Helę. Zresztą idź już. Nie chcę już patrzeć na ciebie.

Gordon smutnie nań spojrział.

— Bardzo mnie to boli, że mnie tak mało znasz. Zdumiony jestem, że żaden z was mnie nie zna. Wy pewnie za dużo się domyślacie we mnie. Inaczej nie mogę wyjaśnić sobie waszej nieufności. Albo jestem dla was królem i władcą, albo też ostatnim łotrem.

Ostap poruszył ręką.

— Idź już, idź! Zrobię wszystko, co mogę. Wszak wiesz od dawna, że można się zdać na mnie. Poślij mi tylko kogoś, z kim mam to zrobić... Ale nie chcę, żebyś mnie zawiódł do więzienia...

Gordon patrzył nań długo.

— Zresztą nie wierzę wcale w twoje idee. To wszystko doktrynerstwo...

Splunął.

— Tak, tak, wszak ty jesteś tylko stosem doktrynerskich gałganków, które zebrałeś na śmietnikach wszystkich stolic europejskich.

Gordon zaśmiał się głośno.

— Do diabła! Co za wściekłość w tobie siedzi!

— Klownem jesteś! Snobem! Bлагierem — krzyczał Ostap bez tchu.

Ale Gordon nie słuchał go. Stał we drzwiach i rzekł poważnie, bez śladu rozdrażnienia:

— Chciałbym na zawsze rozstać się z tobą. Gardzę tobą. Właściwie jesteś jeszcze żakiem. Wściekasz się na mnie, bo żądam od ciebie czegoś, co trwożę w tobie wzbudza, a jesteś zbyt tchórzliwym, żeby się mnie nie bać. Niestety, potrzebny mi jesteś. Niechętnie

<sup>31</sup>przed kilku dniami — dziś popr.: przed kilkoma dniami. [przypis edytorski]

używam cię do tej sprawy, ale musisz to zrobić. Musisz! Czy rozumiesz? Poślę ci zaraz tego człowieka, z którym musisz razem pracować... Bądź zdrow...

Ostap chwycił silnie głowę obiema rękoma i zdawał się nic nie słyszeć.

— Do widzenia! Odpocznij, jutro zobaczymy się znowu.

Kiedy Gordon był już u drzwi, Ostap wyskoczył nagle z łóżka i stanął przed drzwiami.

— Nie pójdziesz! Co, co ty wiesz? Co mówiłem w febrze?

Głos mu się załamał, dyszał.

— Czy jeszcze nie zauważyłeś, że wiem o wszystkim? — szeptał Gordon. — Ja już dawno wiedziałem, że i ty jesteś dzieckiem szatana. Nie trzeba tylko odwracać się od niego... To się mści.

## VII

Na ulicy Gordon zapomniał o całym tym zajściu. Poszedł szybko główną ulicą i wyszedł na drogę wiejską. Noc była tak jasna i Gordon słyszał skrzyp śniegu pod stopami. Myślał tylko o jasności nocy i o skrzypie śniegu. Nagle w niewielkiej odległości usłyszał dzwonki sanek, które się ku niemu zbliżały. Mimo woli skoczył przez rów i chciał iść potem na przełaj. Było zresztą bliżej tędy.

Ale już usłyszał wołanie: „Gordon! Gordon!”

Drgnął. Był to głos Heli. Chciał iść dalej, namyślił się jednak i odwrócił.

— Chodźże tu, Gordon!

Zbliżył się do sanek.

— Aha... chciałeś wymknąć się ukradkiem, jak złodziej, ale postać twoja cię zdradza...

Gordon uklonił się. Obok Heli ujrzał w saniach Polę.

— Byłyśmy u ciebie. Chciałyśmy sprawić ci niespodziankę... — Hela zaśmiała się nerwowo. — Widziałyśmy światło w twoich oknach i myślałyśmy, że się ukryłeś... Parobków pewnie wszystkich wysprzedales. Ani żywej duszy w całym dworze.

Gordon uśmiechnął się uprzejmie i przeczekał spokojnie nawałnicę słów.

— Dziwne, dziwne! — rzekł grzecznie.

— I jakże z twoją twarzą?

Gordon usłyszał złośliwy śmiech Poli.

— Nie nabrzmiała? Nie? No, to był tylko żart.

Znowu Pola zaśmiała się nienaturalnie.

— Nie! Uderzenie było za słabe. Jakżeby zresztą ta rączka, która dotychczas pieszczoty tylko tyłu szczęśliwym...

Spostrzegł, że Hela nagle wywinęła batem, cofnął się szybko i ominął cięcie.

— *Adieu*<sup>32</sup>! — rzekł i uchylił nisko kapelusza. Widział jeszcze tylko, jak sanie popędziły w dal w szalonym pędzie.

I Pola była w saniach. A więc wszystko składało się tak, jak sobie wyobrażał.

Czuł bezgraniczne znużenie. Rozpiął płaszcz i szedł, i szedł. Krótka droga z miasta do dworu zdała mu się nieskończenie długą.

Wreszcie zaszedł. W pokoju jego siedział jakiś człowiek.

Gordon bardzo się ucieszył.

— Skąd się tu bierzesz<sup>33</sup>, Botko?

Uścisnęli się serdecznie.

— Och, jak dobrze, żeś przyszedł.

— Pomyślałem sobie, że już wielki czas. Wracam wprost z Londynu. Ależ ty mieszkasz w tym wielkim domu jak pustelnik.

— Tak. Prócz mnie jest jeszcze stary Maciej z żoną. Oboje poszliby za mnie w ogień. Czczą mnie bardziej niż obraz święty.

— A więc ja — jestem tu jak kamień wrzucony w wodę.

— Najzupełniej. Dom jest pełen jam i skrytek. Dostaniesz pokój, w którym nikt cię nie odnajdzie. Zresztą oboje starzy dadzą się zarżnąć, a nie powiedzą ani słowa.

— Stara kobieta zdaje się bardzo dyskretną. Zachowywała się tak, jak gdyby mnie znała już od dziesięciu lat.

<sup>32</sup>*adieu* (fr.) — żegnam. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*skąd się tu bierzesz* — raczej: „skąd się tu wziąłeś” a. „jak się tu znalazłeś”; w oryg. niem. *Wie kommst du hier*. [przypis edytorski]

— Opisałem jej twoją postać... Ale powiedz, Botko, dlaczego... no, wszak to głupstwo, chciałem cię spytać, dlaczego tak późno przychodzisz, ale wszak przyszedłeś jeszcze za wcześniej...

— Czy sprawa nie postępuje?

— Och, postępuje, ale powoli, bardzo powoli...

— A kogo tu masz?

— Znasz Hartmanna?

— Widziałem go kilka razy w Paryżu, potem w Londynie.

— Tak. Widzisz. Sprowadziłem go tu z wielkim trudem. Jest niesłychanie zręczny. Kocha zresztą filozofię i swój mózg.

— Tak, tak... wiem... Kogo masz jeszcze?

— Ostapa. Tego przecież znasz. Już zupełnie zwariował.

Gordon pomyślał przez chwilę.

— Ja go właściwie bardzo lubię. On straszliwie się boi. Musiał coś straszliwego popełnić. Hm... Lęka się, bo myśli, że znam jego tajemnicę. To dobrze. I tylko tą jego trwogą przykuwam go do siebie. Miał w tych dniach napad, zdaje mi się, epileptyczny. Otóż teraz boi się, czy nie zdradził tajemnicy w gorączkowej paplaninie. On wie bardzo dobrze, że nie zrobiłbym użytku z jego tajemnicy, w żadnym razie, ale tej trwogi nie można odpędzić rozumowaniem. He, he... ty wiesz, jaką trwogę odczuwa wykształcony człowiek przed więzieniem... U parobka byłbym narażony na to, że sam by się zadenuncjował i zgubił siebie i wszystkich, ale taki popełni raczej dziesięć nowych morderstw, żeby tylko uniknąć więzienia. Mnie cała sprawa już ogromnie obmierzła, ale Ostap jest główną osobą...

— Kto jeszcze?

— Suchotniczy student, który chce podpalać. To niezwykle dobrze. Pożar, który wybucha równocześnie w trzech miejscach, jest w każdym razie bardzo skutecznym środkiem.

— I wszystko to chcesz wykonać przy pomocy trzech ludzi?

— Czy to nie wystarczy? Trzech! To już za wiele. Najchętniej zrobiłbym wszystko sam, ale muszę czekać. Mam coś większego wykonać, coś znacznie większego.

Gordon zapalał się.

— Zniszczę cały szmat ziemi. Ja sam. Może tylko z pomocą kilku ludzi. Spójrz tylko na tych ludzi, na tych nędznych trzech ludzi. Wszyscy oni moi. Ten chłopiec, który zamiera w zgniłym pokoju trawiony chorobą rozpaczą, że niechybnie umrzeć musi, i przepelniony dżiką, fanatyczną nienawiścią ku wszystkiemu, co go zniszczyło, jest *mój*! Ten drugi, który zbrodnię popełnił, i który chciał się uratować przez miłość, którą *ja* mu zniszczyłem, jest *mój*. Ten filozof, któremu myśl serce wygryzła, jest *mój*. Ta kobieta, która nagle kochać zaczyna i wstręt odczuwa dla własnej przeszłości, jest *moja*. Każdy trawiony lękiem, każdy zrozpaczony, co zgrzyta zębami w bezsilnej wściekłości, każdy, kto ociera się o więzienie, każdy, kto głód znosi i upokorzenie, niewolnik i pan syfilityczny, nierządnicą i zhańbioną dziewczyną, opuszczoną przez kochankę, więzień i złodziej, literat bez powodzenia i aktor wygwizdany — wszyscy oni, wszyscy są *moi*. Pomagają mi w pracy. Oni szerzą rozpacz, bunt i wzburzenie. Sieją za mnie, a ja zbieram ich żniwo. Nie potrzebuję ich wszystkich, ale wszyscy stoją za mną... Oni wszyscy, my wszyscy spojeni jesteśmy tym jednym łącznikiem, tą jedną zbrodnią: rozpaczą. Jeden nie zna drugiego, ale wszyscy jesteśmy braćmi.

Pił gorączkowo.

— Czy kłamię, czy może kłamię, kiedy zapewniam moich trzech niewolników, że ich jest legion, że pracuję po myśli olbrzymiego sprzysiężenia, które szerzy się po całym kraju? Czy kłamię? Nie! W każdej miejscowości, w każdym mieście mam swoich spiskowców. Jeden nie zna drugiego, ale *ja* ich znam wszystkich.

Zadręgnął<sup>34</sup> nerwowo.

— O Boże, jak oni pracują! Ten, który bluźni Bogu i szerzy ateizm, ten, który unieszczęśliwia człowieka i głosi przemianę wszelkich wartości, żeby uspokoić swoje sumienie, ten, który nie zna dość wielkiej przestrzeni dla swojej nadmiernej ambicji i obalić

<sup>34</sup>zadręgnął — dziś popr.: zadręgnął a. dręgnął. [przypis edytorski]

chce porządek rzeczy, skrzywdzony i niezadowolony — wszyscy oni pracują dla mnie! A kiedy wszystko będzie zniszczone i wszystko zatrute i zakażone, wtedy oddam świat Hartmannowi. Niechaj wprowadza swoje reformy. Hartmann sam będzie Likurgiem<sup>35</sup> i Drakonem<sup>36</sup>, Cromwellem<sup>37</sup> i Kalwinem<sup>38</sup> nowego świata. W imię swego rozsądku i swojej sprawiedliwości popełniać będzie morderstwa i zbrodnie, od nowa wszczepiać będzie w świat jad i zarazę. Hartmann to Saint-Just<sup>39</sup>, cnotliwy Robespierre<sup>40</sup>... Ha, ha, ha...

Botko przeciągle spojrzął na Gordona.

— Jesteś przedrażniony<sup>41</sup>. Uważaj!

— Nie, nie! ja zupełnie panuję nad sobą. Ale pomyśl, od roku nic nie mówiłem. Czy rozumiesz? od roku!...

— A potem, co? Kiedy się tu załatwisz, co zamierzasz?

Twarz Gordona zajaśniała ponuro.

— Mam księdza — szepnął tryumfująco. — Czy pojmujesz, co to znaczy? To najwyższa moja karta. To rozpasanie, to bunt i rokosz, to schizma, to nowe Avignon<sup>42</sup>!

Pił gorączkowo, ale nagle jakby się zapadł w siebie. Skurczył się, oczy mu się przymknęły. Usnął.

Botko długo nań patrzył i potrząsał głową.

---

<sup>35</sup>*Likurg* (IX a. VIII wiek p.n.e.) — staroż. prawodawca i twórca ustroju Sparty, której był regentem (tj. sprawował władzę w imieniu małoletniego króla); zbiór praw (tzw. Wielka Rhetra), którego autorstwo tradycyjnie mu przypisywano, powstał najprawdopodobniej później (w VIII/VII w. p.n.e.) i nie był dziełem jednej osoby. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*Drakon* (VII w. p.n.e.) — prawodawca ateński, twórca pierwszego pisanego kodeksu, zbierającego i porządkującego istniejące wcześniej prawa zwyczajowe; imię Drakona stało się synonimem surowości prawa (por. „drakońskie kary”); pełnił urząd archonta (jednego z dziesięciu najwyższych urzędników w staroż. Atenach) w 621 r. p.n.e. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*Cromwell, Olivier* (1599–1658) — polityk ang., jedna z czołowych postaci rewolucji ang. 1642–1646 i 1648–1649, dowódca antykrólewskich, parlamentarnych wojsk; w 1653 rozpedził parlament tzw. kadłubowy (tj. o liczbie członków zredukowanej z 200 do 50, po wykluczeniu rojalistycznych presbiterianów, co umożliwiło skazanie na śmierć króla Karola I w 1649) i jako lord protektor sprawował dyktatorskie rządy do końca swego życia. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*Kalwin, Jan* (1509–1564) — teolog, kaznodzieja, reformator religijny; ur. we Francji, działał w Szwajcarii; twórca doktryny rel. przyjętej następnie przez kościoły ewangelicko-reformowane i presbiteriańskie; jedna z najważniejszych, obok Lutra, postaci doby reformacji. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*Saint-Just, Louis* (1767–1794) — jakobin, jeden z przywódców rewolucji fr. 1789 r.; zasłynął z bezwzględności zarówno wobec przeciwników, jak i sojuszników rewolucji, czym zasłużył sobie na przydomki „Anioła Śmierci” i „Archanioła Terroru”; z wykształcenia prawnik (przed rewolucją asystent prokuratora); jako członek Gwardii Narodowej walczył z wojskami pruskimi w obronie rewolucyjnej Francji, dając przykład osobistej odwagi, ale też surowości wobec dezertersów i zdrajców; został najmłodszym członkiem Konwentu Narodowego (ciała prawodawczego); zasłynął mową przekonującą do skazania na śmierć Ludwika XVI jako tyrańca; doprowadził też do aresztowania, skazania i stracenia innej czołowej postaci rewolucji fr., Georges’a Dantona; w wyniku przewrotu 9 thermidora (27 VII 1794) został aresztowany, obwiniony za okrucieństwa okresu wielkiego terroru pod rządami jakobinów (czerwiec–lipiec 1794) i zgilotynowany w dzień po przewrocie, wraz z Robespierre’em. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*Robespierre, Maximilien* (1758–1794) — jedna z naczelnych postaci rewolucji fr. 1789 r.; adwokat (przed rewolucją zasłynął jako bezinteresowny obrońca biedoty w rodzinnym Arras), mówca, członek Stanów Generalnych i Konstytuanty, przywódca klubu jakobinów; słynął z niezwyklej uczciwości (dzięki czemu zyskał przydomek Nieprzekupnego) oraz ze skrajnego ograniczania własnych potrzeb (do końca żył w wynajętym pokoju, nie korzystał z żadnych przywilejów władzy), członek Konwentu Narodowego oraz Komitetu Ocalenia Publicznego; podobnie jak Saint-Just wygłosił płomienną mowę oskarżycielską w procesie króla; walczył się do wprowadzenia radykalnych reform społecznych (zniesienie pozostałości poddaństwa feudalnego, regulacja cen i płac, opodatkowanie osób zamożnych, uwłaszczenie chłopów na dobrach kościelnych, wprowadzenie ślubów i pogrzebów cywilnych oraz kalendarza rewolucyjnego, znalezienie środków na utrzymanie armii i wyprawowanie kraju z kryzysu); prowadząc walkę z opozycyjnymi frakcjami, uciekał się bez wahania do terroru, a ponieważ w jego rękach właściwie spoczywała władza w rewolucyjnej Francji od czerwca 1793 (ostateczne pokonanie umiarkowanych żyrondistów) do lipca 1794, jego nazwisko utożsamiane jest z okrucieństwem rewolucji; w wyniku przewrotu 9 thermidora (27 VII 1794) został obalony, aresztowany i zgilotynowany następnego dnia. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*przedrażniony* — dziś popr.: rozdrażniony a. przewrażliwiony. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*nowe Avignon* — aluzja do awiniońskiej niewoli papieży; w latach 1309–1377 papieże rezydowali w Awinionie i byli uzależnieni od królów francuskich. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ DRUGI. W PRZEDWIECZÓR<sup>43</sup>

### I

Wroński siedział przy piecu i z obłądną rozpaczą wpatrywał się w ogień. W pokoju zapadał zmierzch, jasny odbłysek śniegu spływał ze światłem płomienia w nastrój ponury i beznadziejny.

Oparł łokcie na kolanach i głowę ukrył w dłoniach.

Pola stanie tam — tam, przy moim łóżku. U wezłowia zapali świecę, może krzyż wcisnie mi w ręce... Ja na wszystko będę musiał zezwolić, patrzeć na nich będę w bezsilnej agonii, zduszę w sobie krzyk konwulsyjny, bo mi sił nie starczy, by mu się z piersi dać wydrzeć.

O, gdybym przynajmniej mógł krzyzczeć!

Może będę płakał — bezsilny, niedołężny.

Serce jego bić poczęło jak młotem, zadrżał dreszczem przejęty.

Mój Boże! mój Boże! — Wstał i chwiejnym krokiem chodzić począł po pokoju.

I tu, tu... właśnie tu, gdzie teraz stoję, za kilka tygodni stanie trumna.

Widział siebie wyraźnie: martwe, stężałe zwłoki, woskową twarz z niebieskimi wargami i czarnymi kręgami koło zapadłych oczu.

Chwyliła go chorobliwa, obłądna trwoga.

Słyszał, jak przemarzłe grudki ziemi padają na wieko jego trumny. Słyszał, jak po każdym uderzeniu cienkie ściany trumny odpowiadają łoskotem, gną się i łamią. Metr ziemi ponad sobą!... Hu, hu... Czuł, jak mu oczy z czaszki się wysadzają, pierś jakby sznurami skrępowana schwytać nie może oddechu.

Nagle wybuchnął śmiechem, chwycił za flaszkę i pił długim, chciwym haustem.

Byle tylko nie myśleć, tylko nie myśleć! — powtarzał mechanicznie.

Zatoczył się do okna i rozpalone czoło chłodził na szybie.

Władco mój, szatanie, powinieneś być zadowolonym. Ha, ha, ha... Tak jeszcze nikt nie umarł! Ja podpalaczem?! He, he... Ja jestem równającą wszystko sprawiedliwością. Oko za oko! Tak być musi! Tak być musi!

Wysilał się, by myśli dalej utrzymać. Starał się przedstawić sobie, jak czynu swego dokona. Nie! Nie dzisiaj! Tyle już o tym myślał. Nie mógł myśleć dłużej.

— Myśli to robactwo — powiada Schopenhauer<sup>44</sup> — one mogłyby stoczyć jego wołę...

Ha, ha... Umrzeć! Rozżalać się nad koniecznością śmierci, wzdychać, jęczeć, poddać się rezygnacji, do ostatniego tchnienia miłość w swym sercu zachować, leżeć bezsilnie i tkliwie ścisnąć ręce krewnych i przyjaciół... — zanosił się wściekłym wybuchem śmiechu — wypowiadać mądre i głębokie zdania o znikomości rzeczy ziemskich, może nawet nieśmiało wskazywać na przyszłość w niebie... och! och! Co za wspaniały ideał mieszczkańskiej śmierci!

Zgrzytnął zębami.

Nie chcę umierać po mieszczańsku, pragnę zemsty i zniszczenia... Czekaj ty psie! O sto marek cię błagałem, za sto marek mógłbym od razu być pójść do szpitala i nie musiałbym teraz umierać. Poczekaj, bezlitosny psie, krociami mi teraz za to zapłacisz. Wyprawię ci drogą iluminację!

Widział, jak straszliwe snopy płomieni wydzierają się z dachu, jak willa niknie w morzu ognia... Przez drzwi i okna dobywają się grube chmury dymu, przez chwilę ważą się ciężkim ruchem i nagle wybuchają ognistymi słupami płomieni.

<sup>43</sup>w przedwieczór — w oryg. niem. *am Vorabend*: w przededniu. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>Schopenhauer, Arthur (1788–1860) — filozof niem., przedstawiciel pesymizmu; twierdził, że cierpienie jest siłą napędową świata: zmusza do określenia potrzeby, która leży u jego podstaw, oraz uruchomienia woli pozwalającej zaspokoić potrzebę i ukończyć cierpienie; aby w pełni uwolnić się od władzy własnego cierpienia należy wyzbyć się własnej woli i poddać się woli zbiorowej, działając na rzecz społeczności i oddając się ascezie; pod wpływem myśli Kanta oraz filozofii indyjskiej sformułował swoje podstawowe twierdzenie, że „świat jest moim wyobrażeniem”: uważał, że wszelkie rzeczy same w sobie (poza własnym ciałem) są niepoznawalne dla jednostki ludzkiej, która poznaje jedynie swoje wyobrażenia; jego koncepcja fenomenu (tj. ustrukturyowanej formy poznania „udostępnianej” nam przez umysł po przefiltrowaniu doznań zmysłowych, do których właściwie nie mamy dostępu bezpośredniego) stała się podstawą nurtu fenomenologii w filoz. europejskiej. [przypis edytorski]

Gorączka szalała w jego ciele. To za mało, za wolno, za niedołążnie. Domy z ziemi wyrwać i rzucać je w ogień, świat cały objąć pożarem: wtedy dopiero serce jego czułoby się zaspokojonym!

Począł biegać po pokoju. Widział, jak miasto całe pożar ogarnia. Ziemia spękała się w tysiączne rozpadliny, z każdego kąta, z każdej szczeliny płomień wybuchały, potężniały, rozpadliny rosły w przepaście bezdenne, ziemia cała stała się kraterem wulkanu, w ciężkich masach płynęły potoki ognia, pożerały lasy, wsie, miasta, szum, huk, łoskot oszołomiły go, oczy jego ślepił huragan ognia: zamknął oczy i rozkoszował się bezbrzeżnym orkanem zniszczenia.

Wzdrygnął się. Wydało mu się, że serce oddzieliło się od jego organizmu. Czuł je wszędzie, słyszał jego bicie w każdej tętnicy, w każdej żyłce ciała: w skroniach, w czole, w gardle... Teraz znowu wróciło do piersi, tam... Nie! Znowu wrastało w krtań, mógłby je teraz wypluć.

Z rozpaczą rzucił się na łóżko i pierś gwałtownie obiema rękami przycisnął. Słyszał bicie swego serca, czuł, jak uderzało o jego dłonie, zdawało się, że trzyma w rękach coś, co żyje życiem zupełnie samoistnym, coś, co za chwilę wydrze się, uleci... i... może, może — krzyknie!

Myśl, że serce jego krzyczeć by mogło, wydała mu się nagle tak sama przez się zrozumiałą, że zerwał się z łóżka i stanął w środku pokoju.

Pij! Pij! — błysnęło mu w głowie.

I pił chciwie, zakaszłał się, siły go opuściły, upadł na łóżko.

Nagle uczył się dziwnie silnym. Od dwóch lat już nie czuł w sobie takiej siły. Dotykał się swego ciała, począł kaszleć, ale kaszel ten był swobodny, niebolesny. Kaszłał zresztą tylko dlatego, aby uświadomić sobie, że naprawdę jest teraz silnym i zdrowym. Wstał.

Dziwna rzecz, że wcale nie odczuwał swego szczęścia! Zdawało mu się, że trochę tęskni za swoją chorobą.

Czuł się tylko silnym, nic więcej: tylko silnym. Rozkrzyżował i wyciągnął ręce, począł wykonywać gimnastyczne ruchy. Ani śladu zmęczenia.

Ogarnęło go zdziwienie i wielki spokój.

Odczuwał w duszy niesłychane rozgoryczenie i wielką siłę. Chciałby wyjść, tak, wyjść gdziekolwiek bądź, nie wiedział tylko gdzie i dlaczego.

Wyszedł na ulicę, później na pole. Szedł bardzo długo i bardzo prędko, ale wcale nie był zmęczony.

Nagle zobaczył przed sobą wielki, stary budynek, który wydawał mu się dobrze znanym. Wytężył uwagę, aby go poznać. Chodził dookoła, liczył okna pierwszego piętra, zaglądał do zakratowanych okienek piwnicy i naraz przypomniał sobie: to był przecież ratusz!

Nerw każdy drgał w nim, a trwoga ścisnęła mu gardło: był u celu.

Oprzytomniał; przyszło mu na myśl, że łatwo go ktoś poznać może. Było tak jasno, śnieg lśnił się, a księżyc — nie! to nie był księżyc, tylko niebo płonęło, jak gdyby je ogarnął żar płomieni...

Szukał zacienionego miejsca, spostrzegł jednak z przerażeniem, że gmach cały cienia nie rzucał.

Błądził zrozpaczony tu i ówdzie, zewsząd słyszał czyjeś kroki, czuł wokół siebie niezliczony tłum ludzi, tłum, który się zacieśniał wokoło niego i jak dzikiego zwierza w matni chciał osaczyć. Ludzi jednak nie było.

Nie! nie było ludzi! To przecież tylko z trwogi zrodzona mara jego duszy. Naturalnie! Nagle się ściemniło, spostrzegł przed sobą grube drzewo. Ukrył się za jego pniem. Na wieży kościelnej zegar uderzył godzinę dziesiątą.

Teraz do czynu! Usłyszał gwizd nocnego stróża. Drżał tak silnie na całym ciele, że nie mógł ruszyć się z miejsca. Wreszcie opanował się i ostrożnie wkradł się do ratusza. Ukrył się za schodami. Wtem ogarnął go strach: zobaczył światło! Teraz schwycą go z pewnością! Przyparł się do ściany, ale ściana ustąpiła pod naciskiem jego ciała, usuwała się coraz dalej, otworzyła się i zamknęła za nim, słyszał zgrzytanie kluczy; ogarnęła go nieokielzana, zwierzęca rozkosz.

Teraz po cichu, z wolna wstępował po schodach. W końcu znalazł się w izbie pełnej papierów. Gdzie okiem sięgnął, wszędzie masy pożółkłych aktów<sup>45</sup>, stosami na sobie ułożonych. Na ziemi także było ich pełno, tak że ciągle się o nie potykał.

Zaśmiał się cicho. Miał ochotę wykrzyknąć radośnie, ale obawiał się, by go nie odkryto.

Nigdy nie czuł jeszcze takiej bezkresnej radości, dusza jego rozplywała się w ekstazie rozkoszy i tylko z wysiłkiem tłumił dziki krzyk tryumfu.

Przyniósł wielką konewkę nafty, wylał na papier, zakręcał nią i zakreślał szerokie luki. Czuł się kapłanem, który wodą święconą błogosławi gromadkę wiernych. Wzniósł w górę konewkę, gdy poczuł, że już była próżną, z szaloną radością cofnął się w tył<sup>46</sup> i rzucił na ziemię zapaloną zapalną.

W mgnieniu oka wszystko stanęło w płomieniach.

Fioletowy i zielony słup ognia począł go ogarniać.

Chwyliła go straszna trwoga. Chciał uciec, ale mu sił nie stało<sup>47</sup>. Słyszał huk i łoskot, ogień zajmować począł jego ubranie, belki waliły się na niego, wyciągnął w górę ręce, wydał przeraźliwy okrzyk i obudził się.

Rozejrzał się po pokoju.

Przy piecu siedział jakiś nieznany człowiek.

## II

Wroński przetarł oczy. Nie! To nie był sen. Tam naprawdę siedział jakiś człowiek. Był tak zmieszany, że nie mógł zebrać myśli. Wpatrywał się tylko w nieznajomego osłupiałym wzrokiem i wysiłał się daremnie, by skupić myśli.

Spojrzenia ich się spotkały. Nieznajomy wstał i zbliżył się do łóżka.

— Jestem Botko — rzekł przyjaźnie. — Pan wiesz przecie, kto ja jestem. Pukałem, ale pan zapewne nie słyszał. Musiał pan spać. Wszedłem bardzo ostrożnie!... Cóż słychać u pana? Mówiono mi, że pan bardzo chory.

Wroński drgnął, usłyszawszy nazwisko Botki. W mgnieniu oka wrócił do przytomności. Szczególna jasność rozpostarła się w jego mózgu i nagle trwoga go ogarnęła.

Zdawało mu się, że siedzi w celi więziennej, i że wnet go poprowadzą na stracenie. Czuł z niezachwianą, dręczącą pewnością, że upiorne mary jego fantazji stają się rzeczywistością.

— Zdaje mi się, że pan jest bardzo wzburzony, panie Wroński. Musiał się pan nagle zbudzić; nie może pan przyjść do siebie.

— Tak — ja... ja... wiem... Proszę... jestem chory...

Wroński mieszał się coraz bardziej.

Długa pauza.

Botko rozglądał się po pokoju, który zdawał się go niezwykle interesować.

— To mieszkanie jest bardzo wilgotne. Powinien się pan wyprowadzić. Grzyby na ścianach są już przecie dostatecznym powodem...

— Ten dom do mnie należy. — Wroński odzyskał zupełnie przytomność. — Jedyna to pozostałość po moim ojcu.

— Pan tu sam mieszka?

— Tak. Nikt by przecież mieszkać tu nie chciał. — Wroński machnął niecierpliwie ręką, podszedł do stołu i napił się wódki.

Nagle przyszło mu na myśl, że zachowanie się jego nigdy jeszcze nie było tak wymuszonym i nienaturalnym<sup>48</sup>. Przecież, do licha, nie potrzebował się obawiać! Z nieufnością spojrzął na Botkę. Botko jednak umyślnie nic nie widział i nie spostrzegwał.

— Ten rów przed pańskim domem, dochodzi prawie do ratusza? — zapytał Botko niespodzianie. — Zauważyłem mostek na jednej z bocznych ulic...

Wroński, bardzo niemile dotknięty, starał się ukryć drżenie, którego nie mógł powstrzymać.

— Tak, prawie do samego ratusza. Pan zapytywał o ratusz... Zauważył pan także zapewne, że rów ten gęsto zarośnięty jest krzakami...

<sup>45</sup>aktów — dziś w tym znaczeniu („dokumenty”) D.lm: akt. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>cofnąć się w tył — pleonazm, tj. powtórzenie tej samej informacji. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>nie stało (daw.) — nie starczyło; zabrakło. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>było tak wymuszonym i nienaturalnym — dziś popr.: było tak wymuszone i nienaturalne. [przypis edytorski]

— Tak, zauważyłem to. — nieznajomy spojrział życzliwie na Wrońskiego i uśmiechnął się.

— Można się tam dobrze ukryć... Zdaje mi się, że idąc wzdłuż rowu, można się nie lękać niczyjego oka...

— Tak, w istocie.

— W ten sposób można by dojść aż do mostu, o którym pan wspominał...

Wroński nagle się uspokoił. Fantazja jego poczęła pracować.

— Myślę, że najlepiej by było wejść pod most. Domy, które stoją nad rowem, nie mają okien wychodzących na rów. Z obydwu stron wysokie, nagie ściany. Zauważył pan?

— Zupełnie słusznie.

— A więc można, nie będąc widzianym, dojść aż do ogrodowego muru ratusza...

Botko przerwał.

— Zdaje mi się, że herbata już gotowa?

Nalał sobie herbaty.

— Pan byłeś na uniwersytecie w Zurychu?

— Tak, kilka lat.

— Obracał się pan zapewne w kołach rewolucyjnych?

— Tak, byłem sekretarzem „Wolności”.

Wroński powiedział to prawie z dumą, radośnie podniecony. Spozrzegł jednak, że dumę okazuje w sposób bardzo dziecinny. Nieufnie spojrział na Botkę. Botko zachował jednak niezmienną powagę i spokój.

— Widziałem pana raz w klubie.

— Tak?

— Mówił pan wtedy porywająco. Przedstawiłeś pan plan, który mi się niezwykle podobał. Mówiłeś pan, że należy zapisywać się do seminariów duchownych, gdyż tylko ksiądz może po wsiach uzyskać wpływ nad ludem i powoli szerzyć idee rewolucyjne. Tak, niezawodnie, środek doskonały. Nieprawdaż? Miałeś pan na myśli komunistyczne zasady pierwszych wieków chrześcijaństwa, które by można wpajać w lud? Wszakże o to chodziło?

— Tak.

— Powołał się pan także na przykład księdza Ściegiennego<sup>49</sup>, który w podobny sposób pracował...

— Tak. Ale Ściegienny był niezręczny. A zresztą cały ten pomysł nie był właściwie moim. Coś podobnego przychodziło mi wprawdzie do głowy, ale ten plan wziąłem od Gordona.

— Mniejsza o to. Z tego rodzaju pomysłami wszędzie spotkać się można. Sposób wykonania jednak tego planu i środki, na jakie pan wskazywał, przekonały mnie, że pan bardzo szczegółowo nim się zajmował.

— Tak, chciałem zostać księdzem.

— Trwa pan jeszcze w tym zamiarze?

— Jestem skazany na śmierć.

— Ależ to jeszcze nie jest tak pewne?

Wroński spojrział na niego niechętnie.

— Dajmy temu pokój! Przystąpmy do rzeczy.

— Ależ nie ma potrzeby. Widzę, że pan bardzo starannie nad wszystkim się zastanawiał.

Wroński znowu nieufnie spojrział na niego, ale twarz Botki pozostała spokojną, poważną, uczciwą.

— Pan zajmował się także archeologią — podjął Botko po chwili. — Widziałem u Gordona jedną z pańskich prac historycznych, o dziejach tutejszego klasztoru.

<sup>49</sup>Ściegienny, Piotr (1801–1890) — ksiądz katolicki, polski działacz niepodległościowy i przywódca chłopski, działał na Lubelszczyźnie i Kielecczyźnie; autor przeznaczony dla ludu *Złotej księżeczki*, będącej krótkim zarysem dziejów zawierającym wyjaśnienie przyczyn nierówności społecznych oraz ucisku zaborców wobec ludności polskiej; założyciel konspiracyjnego Związku Chłopskiego (1842–1844), dążył do wywołania powstania chłopskiego; aresztowany i skazany w 1846 r. na śmierć; wyrok w ostatniej chwili przed egzekucją zmieniono na chłostę i katorgę w kopalni; w 1871 r. powrócił z zesłania z Syberii, dożył sędziwego wieku i został pochowany w Lublinie; jego grób był w okresie międzywojennym miejscem manifestacji robotniczych. [przypis edytorski]



Wroński ucieszył się.

— Korzystał pan z tutejszego archiwum? Podobno jest bardzo bogate. Czy znajduje się ono w ratuszu?

— W ratuszu?

— No, jeżeli są tam cenne materiały...

— Nie! W ratuszu leżą tylko rzeczy bez wartości... Całe stosy papieru, tam, na górze...

Przyszła mi myśl, oblać to wszystko naftą...

Wroński powiedział to prawie złośliwie.

— Śniłem o tym... Czy tego się pan chciał dowiedzieć?

— Nie! Ale dobrze by było zanieść naftę na górę. Znajdzie ją pan naturalnie na miejscu.

Wroński zadrżał. Pewność, że sen jego ma się teraz stać rzeczywistością, przerażała go... Krew uderzała mu do głowy, czuł, że go ogarnia gorączka.

— Te psy mnie zabiły! — zawołał nagle. — Teraz się zemszczę. Muszę się zemścić! Nieprawdaż? Nieprawdaż? Czyż zemsta nie jest najszlachetniejszym uczuciem! Wprost przeciwnym naukom mieszczańskiej moralności? Jeszcze przed godziną doznawałem trwogi. Przekłeta społeczna moralność wżarła się w najgłębsze nerwy. Ale ten jest Bogiem, kto umie gardzić tym, przed czym czuje trwogę. Gardzić tak, że przestaje istnieć dla niego. To jest istnieć w tym znaczeniu, aby stąd rodzić się mogły uczucia. Widzi pan, ja teraz przetrwam myśli w sobie i walczę ze sobą. Nietzsche na papierze odwracał wartości, ja odwracam je w sobie. Chcę złego, tak zwanego złego, z tym samym naturalnym przeświadczeniem, z jakim Maciek lub Wojtek pragnie dobrego. I nie spocznę, aż tych kilku chałup nie spalę z takim samym spokojem, z takim samym czystym sumieniem, z jakim daję żebrakowi kęs chleba. Tak, tego pragnę, rozumiesz pan?

Usiadł na łóżku. Widział, jak około głowy Botki przesuwają się ogniste koła w coraz szybszym, szalonym ruchu. W końcu sam Botko wirować począł przed jego oczyma. Mózg jego się wyczerpał. Nie był w stanie myśleć.

— Czy panu niedobrze?

— Nie, nie! Ale jakie eleganckie ma pan ubranie.

— Nie powinienem zwracać uwagi. — Botko się uśmiechnął. — Człowiek elegancko ubrany nie zwraca uwagi. Zresztą pan jesteś wyczerpany, potrzebuje pan spokoju.

— Nie, nie!

Długa pauza.

— Czy zwrócił pan także uwagę na willę nad jeziorem?

— Na willę?

Wroński przetarł ręką czoło.

— Widzi pan... Nie wiem, skąd mi ta myśl przyszła. Wspaniała, niesłychana myśl! Myśl, której jeszcze żaden człowiek nie miał przede mną.

Chwyił Botkę za ramię.

— Wie pan, dlaczego muszę umierać? Pojmuj to pan? Dla stu marek! Dla stu marek muszę zdychać.

— Dla stu marek?

— Tak. Dostałem influenzy<sup>50</sup>, później zapalenia płuc. Byłem bardzo osłabiony i powinienem był iść do szpitala. Pisałem do tego człowieka, do którego willa należy. Wie pan, co mi odpowiedział? Że sam nie posiada stu marek? Ha, ha, ha! Teraz się zemszczę! Tam leżą jego skarby... Zemszczę się! Wszyscy powinniśmy uczyć się zemsty. Zemsta powinna stać się naszym najpotężniejszym instynktem. Utopiści pragną szczęścia! Ja chcę zemsty! Zemsta stworzy mi szczęście.

— I cóż się później z panem stało?

— Gordon przysłał mi pieniądze, ale wówczas już począłem płuć krwią.

Milczenie...

— Tak, w rzeczy samej! Mój pomysł... Mój wspaniały pomysł... Czy pan myśli, że ja tu gnić będę powoli? He, he... Dość mi tego! Jednym rzutem, tam w tej willi, w morzu płomieni.

Począł szeptać.

<sup>50</sup>influenza — dziś: grypa. [przypis edytorski]

— Pojmuje pan, co to znaczy, metr zamarzłej ziemi ponad trumną? Nie, wcale nie ponad trumną. Trumna pęka w kawały, ale... he, he... pojmuje pan, że te przemarzłe grudy zgniotą moje ciało?

Botko milczał.

— Pojmuje pan to?

— Tak, pojmuję.

Pauza.

— Więc pan chce spalić się sam we willi?

— Tak.

Botko wstał i uściśnął serdecznie rękę Wrońskiego.

Wroński zawrzał nagle. Ogarniała go wściekłość i wstyd, że tak odkrywał tajnie swej duszy. Nieufność jego do Botki wzrosła jeszcze. Gdyby chciał wreszcie odejść.

— O mnie nie ma się pan co lękać — rzekł szorstko.

— O, jak pan jesteś podejrzliwym! — Botko uśmiechnął się. — Gdybyśmy takich mieli więcej. Skoro śnieg stopnieje... śnieg listopadowy nigdy się długo nie trzyma. Zaczyna nawet już topnieć.

Wrońskiemu przypomniało się, że śnił o śniegu.

— Śnieg łśni! — rzekł głęboko zamyślony.

— To jeszcze najmniejsza. Ale pozostają ślady...

Wrońskiemu się wydało, że Botko spogląda na niego z ukrytym uśmiechem i pogardliwym wyrazem twarzy. Zupełnie jak na smarkacza.

— Czy pan mnie ma za głupca? — zapytał z wściekłością.

— Boże, jakże pan jesteś podejrzliwym. Bardzo się cieszę, że pana poznałem. Zresztą jestem zupełnie uczciwym człowiekiem. Do widzenia. Gordon wkrótce pana odwiedzi.

### III

Wroński był bardzo wzburzony.

Zdaje się, że ten człowiek naprawdę uważa mnie za smarkacza. To śmiesznie! Naturalnie oni nie wierzą, że jestem w stanie plan swój przeprowadzić. He, he... Przypuszczają, że chcę tylko wzbudzić zaciekawienie.

Zacisnął pięści z wściekłością.

Zobacz, przekonają się.

Popadł w gorączkowe rozdrażnienie. Głowa omal mu nie pękła od natłoku myśli, których nie mógł opanować, tak się rozdrabniały i rozpraszały. Wszystko, o czym myślał, wydawało mu się zdaniem nieskończonej długości, powikłanym tysiącnymi warunkami i względnościami. Treści zdania nie mógł uchwycić. Wiedział tylko, że ustawicznie czegoś szuka.

Stanął na środku pokoju i myślał długo, czego właściwie szuka.

Aha! Jeżeli ma się przedostać przez mur ogrodowy, musi mieć żelazo do wyważania lub coś podobnego.

Nagle zapomniał o wszystkim. Nie był już w stanie opanować swych myśli, podszedł do drzwi, zamknął je ostrożnie za sobą. Nieprzyjemne uczucie zimna w nogach oprzytomniło go.

Buty, buty! Musiał przecież włożyć buty, jeśli miał wyjść.

Poszukał butów, szyję okręcił szalem i począł zastanawiać się nad tym, co czyni.

Ależ do pioruna! czyż jestem obłąkany? O co mi właściwie idzie? Chcę zaczerpnąć świeżego powietrza... Tutaj duszę się, muszę odetchnąć z głębi piersi, raz z głębi piersi odetchnąć.

Powtarzał to bezustannie. Niezwykła radość, że raz przecie swobodnie odetchnie, oładnęła jego duszę.

Nagle zawahał się.

Tak, musi przecież zostawić parę słów Poli, że zaraz przyjdzie.

Poszukał papieru i atramentu i znowu dał się opanować roztargnieniu. Gdy przyszedł do siebie, siedział na stole z twarzą wciśniętą w dłoń.

Szał go ogarniał. Przecież nie jest wariatem! Tyle jeszcze kontroli ma nad sobą, że wie co czyni.

Wyszedł, skradając się ostrożnie po schodach i stanął w bramie. Na dworze powietrze prawie wiosenne, ciepłe i łagodne. Niedawno spadły śnieg topniał.

Wyszedł na ulicę, światło księżycza go drażniło. Nikt go nie powinien widzieć. Trwożliwie rozejrzał się dookoła. Nie ma nikogo! Nasłuchiwał: wszędzie cisza, żadnego szmeru.

Przeszedł w poprzek ulicę i szybko doszedł do rowu.

Tak, łożyna była dość wysoka. Mógł się zupełnie ukryć za nią. Musi się naturalnie trzymać miejsc zacienionych. Szedł z trudnością i uciążliwie<sup>51</sup> po gruncie stromym i rozmokłym odwilżą. Kilkakrotnie omal nie upadł, raz nawet położyć się musiał na ziemi, aby nie wpaść do rowu.

Trzymał się mocno prętów<sup>52</sup> w ciągłej obawie, że się złamią. Po chwili jednak przekonał się, że są dość silne i giętkie.

W ten sposób zbliżył się do mostu.

Nasłuchiwał. Jeśliby teraz ludzie szli przez most, spostrzegą go niewątpliwie.

Która też godzina być może? Chyba nie ma jeszcze dziesiątej. Tak, z pewnością nie ma.

Chciał iść dalej, ale nie miał odwagi ruszyć się z miejsca.

Nagle przysłała mu do głowy przerażająca myśl. Może go ktoś spostrzegł i teraz, po cichu za nim się skrada. Gorączkował, w głowie poczęło mu huczeć — nic nie słyszał.

Uspokoił się jednak natychmiast.

Przecież tak być nie mogło! Jeśli ma gorączkę, to nerwy jego podrażnione i przeczułone, a w takim razie musiałby wszystko widzieć i słyszeć.

Wielka, niespodziewana energia natchnęła go otuchą, dodała siły.

Przyczołgał się do mostu, wdrapał się po wiązaniu belek aż do samego środka, z małym wysiłkiem przedostał się na drugą stronę i spuścił się na dół. Teraz jednak droga stała się znacznie trudniejszą.

Brzegi rowu były zupełnie strome, dotykały z obu stron murów przyległych domostw, w skośnej równej linii.

Z trudem, powoli, obrócił się twarzą do muru i czepiając się rzadko tu i ówdzie rosnących krzewów, mozolnie posuwał się naprzód.

Począł z sił opadać, z każdą chwilą czuł się więcej osłabionym.

Jeśliby teraz omdlał, wpadnie natychmiast do rowu.

Wyteżył wszystkie siły i rozpaczonym<sup>53</sup> wysiłkiem dotarł wreszcie do muru ogrodu. Tam dopiero miał pewny grunt pod nogami, bo mur nie dotykał już bezpośrednio rowu.

Odetchnął, strasznie zmęczony. Drżał na całym ciele.

Nie, drugi raz już tej drogi nie przejdzie. Nie będzie w stanie, zabraknie mu sił. Przy takim zmęczeniu nie potrafi niczego dokonać.

Objął go głęboki smutek. Całą energią powstrzymywał lzy cisnące się do oczu.

Usiadł na kamieniu.

Nie, w ten sposób niczego nie zrobi. Lepiej niespostrzeżenie przejść przez miasto i dać się zamknąć w ratuszu. Pragnienie zemsty wzmoże jego siły... Tak, tak, siły będzie miał dosyć... he, he...

Wtem nagle dręczące myśli cisnąć mu się poczęły do głowy. Ależ na miły Bóg, czyż jestem szalony? Tysiąc ludzi stanąć może na moście i patrzeć, jak się będę skradał wzdłuż murów. Nie mam żadnej osłony, żadnego ukrycia. Każdy może mnie zobaczyć...

Boże! Boże! Czyż naprawdę jestem szalony, że mi to dotąd na myśl nie przyszło? Czyż mój mózg osłabł zupełnie? Ślepotą? I na cóż ta śmieszna ostrożność, jeśli cały świat widzieć mnie może!

Gwałtowny dreszcz wstrząsnął nim.

Historie rozmaitych przestępców, które niegdyś czytał, opowiadania o zbrodniach cisnąć mu się poczęły do głowy. A więc to prawda, że przestępcy, pomimo najbardziej drobiazgowej ostrożności, zdradzają się najwięcej blahymi, drobnymi szczegółami. A więc zbrodnia jest chorobą, bo człowiek o zdrowych zmysłach musiałby nasamprzód<sup>54</sup> obmyślić te drobne szczegóły.

<sup>51</sup>z trudnością i uciążliwie — w oryg. niem. *sehr mühselig*: bardzo mozolnie. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>prętów — w oryg. niem. *Weidenästen*: gałęzie wierzby. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>rozpaczny (daw.) — dziś: rozpaczliwy. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>nasamprzód — najpierw. [przypis edytorski]

Ale on będzie czuwał nad sobą. Sto razy nad każdym krokiem się zastanowi, najmniejszą drobnostkę dokładnej podda rozważeniu...

Skupił się w sobie.

Tak, trzeba działać z zimną krwią i jasnym zastanowieniem: farba cegieł, o którą otrze się jego ubranie, może być dostatecznym dowodem zbrodni.

Począł myśleć dwoma mózgami. Czuł, że obok jego mózgu, drugi jakiś mózg gorąckuje, prześladowany trwogą. Mówić począł sam do siebie, aby ten drugi mózg uspokoić i przemóc.

Trzeba zbadać mur i wypatrzyć miejsce, skąd by najlepiej można się na drugą stronę przedostać.

Tu i ówdzie macał rękami, starając się wyszukać jakiejś szczeliny.

Ale energia jego zaczęła się wyczerpywać, znowu dał się opanować roztargnieniu i osłabł tak dalece, że musiał usiąść.

Popadł w zupełną rozpacz.

Nie mogę wcale myśleć. Nie mogę opanować bezgranicznego roztargnienia. Zdradzę się pierwszym krokiem i będę schwytany, zanim czeokolwiek dokonam. Motłoch rozszarpie mnie w kawały!

Przypuszczenie, że zostanie rozszarpany, stało się nagle w jego umyśle zupełną pewnością. Widział, jak go otacza wściekły, dziki, drapieżny tłum. Uderzenia jak grad spadały na niego. Przypadł do ziemi, chciał uciekać, ale straszliwy cios powalił go na ziemię...

Zerwał się z miejsca, skąpany w zimnym pocie. Bezprzytomnie dopadł małej furtki w murze ogrodowym i zaczął się dobijać. Była zamknięta.

Musiał wracać! Tak. Wracać!

Stanął na miejscu. Teraz był odcięty. Po obu stronach muru ogrodowego widział szczyty i dachy domów. Nie miał już więcej siły, by wrócić tą samą drogą wzdłuż rowu. Teraz go ktoś z pewnością spostrzeże.

Począł się śmiać, pięść wetknął w usta, aby nie zawrzęszczeć i na nowo ogarnęła go straszna, przygniatająca trwoga i rozpacz.

Słyszał, jak zęby mu szczękają, wstrząsany dreszczem. Biegał bezradny tam i na powrót, wpatrując się w rów z przerażeniem. Nie, to niepodobna! Z pewnością spadnie i utonie.

Musi przeleźć przez mur. Musi! Zaciął zęby z wściekłością...

Musi!

Potknął się o wielki kamień leżący przy murze. Bez namysłu wstąpił nań, nadnaturalną siłą wydzwignął się w górę, pochwycił gąsior<sup>55</sup>... jeszcze jeden podrzut: siedział na murze i zeskoczył w ogród.

Nie mógł oprzytomnieć. Machinalnie szedł prosto przed siebie.

Musiał tylko stłumić dławiący go kaszel. Kosztowało go to wiele trudu. I nagle kaszel dławić go począł tak silnie, że nie był w stanie się przezwyciężyć. Wetknął sobie chustkę w usta, w strasznej męczarni wydało mu się, że wszystkie żyły pękają na skroniach.

Ale nie czuł już trwogi. Dusza jego stępała w rozpacz i przerażeniu.

Jeśli nie było jeszcze dziesiątej, to będzie mógł wyjść przez korytarz ratusza na ulicę. Jeśli już po dziesiątej, będzie musiał zapukać do bramy. Naturalnie, nie mógł przecież siedzieć przez całą noc w ogrodzie. A zresztą, wszystko jedno, co zrobi.

Mimo woli jednak był na tyle ostrożnym, że trzymał się w cieniu.

Brama ratusza prowadząca do ogrodu nie była zamknięta. Wydało mu się to zupełnie naturalnym, że nie była zamknięta. Ale kiedy wszedł w długi korytarz, opanowała go trwoga.

W suterrenach mieszkał przecież woźny sądowy...

Jeżeli teraz wyjdzie na korytarz, wszystko stracone...

Nagle przypomniał sobie, że Ostap mieszka w ratuszu, ale z Ostapem żył w nieprzyjaźni. No... w najgorszym wypadku mógłby się o niego zapytać.

<sup>55</sup>gąsior — tu: rodzaj półokrągłej dachówki układanej na kalenice (tj. grzbiety) i naroża dachu (w tym wypadku daszku okrywającego mur). [przypis edytorski]

Skradał się na palcach, tłumiał oddech, nowy atak kaszlu dławić go począł... Za drzwiami usłyszał głośną rozmowę, stracił nagle władzę nad sobą, zakaszał silnie, zląkł się, odgłos własnych kroków ogłuszał go, jak gdyby uderzenia maczugi...

W tej samej chwili drzwi się otworzyły. Z ulicy wpłynęła struga jasnego światła gazu. Z przerażeniem cofnął się wstecz<sup>56</sup>.

W drzwiach stał Ostap.

IV

Z osłupieniem spojrzeli sobie w oczy.

— Wroński! — szepnął wreszcie Ostap.

Wroński odzyskał przytomność.

— Tak... Ostap! Nieprawdaż?... Ja...

— Ale, cóż pan tu robi?

Wroński z trudem starał się zapanować nad sobą, czuł jednak, że głos jego drżał.

— Wyszedłem... na spacer... opanowało mnie zmęczenie...

— A więc chodź pan do mnie na górę — rzekł Ostap, zapalił zapalniczkę i szedł naprzód.

Wroński trzymał się poręczy i ciężko oddychał. Zdawało mu się, że mu ktoś pierś powrozem skrępował.

— Otóż i jesteśmy... Niech pan zechce chwilę zaczekać. Muszę jeszcze pomówić z moim ojcem.

Ostap wyszedł.

Teraz trzeba mieć się na baczności! Wroński zadrżał na myśl, że znowu ogarnie go chorobliwe roztargnienie. Starał się skupić swą uwagę na poszczególnych przedmiotach, przyglądał się z uwagą książkom na półce, z największym wysiłkiem dążył do równowagi, chciał być zupełnie swobodnym. Czytał tytuły książek, wziął nawet jedną z nich do ręki i zaczął ją przeglądać.

Ostap powrócił z maszynką do gotowania.

— Niech pan poczeka, napijemy się czego... Ja pić muszę i piję ciągle od jakiegoś czasu. He, he... Nie cierpię trzeźwości! Trzeźwości! Brr... A może tu iść o życie. Wie pan, byłem raz pijany, jeden z moich przyjaciół jeszcze więcej, mieliśmy pieniądze, umówiliśmy się, że pojedziemy do Australii... Pan nie wie naturalnie, że Australia dla takich jak my, jest ziemią obiecaną... Wszystko było umówione! Gdybyśmy wtedy wyjechali, wtedy zaraz! rozumie pan? W tej chwili trzeba było wyjechać, a byłbym dziś szczęśliwym człowiekiem. Ale zwłóczyliśmy odjazd, wytrzeźwiliśmy i wszystko wydało się nam awanturczym planem... Widzi pan, to jest ta przekłeta trzeźwość! Po pijanemu trzeba wszystko robić. Trzeźwy mózg odstąpić filistrom<sup>57</sup>, kramarzom, wolnomysłnym politykom...

Wroński spostrzegł, że Ostap był pijany. Uderzyło go jednak, że twarz Ostapa drgała nieustannie w linii prostej od kątów ust do czoła.

— Ale do diabła, jakże pan wygląda! Czy pan wpadł do jakiego rowu?

— Do rowu?

Wroński spostrzegł z rozpaczonym<sup>58</sup> przerażeniem, że całe prawie jego ubranie powalane było błotem i plamami z otarcia się o cegły.

— Tak, wpadłem do rowu.

Usiłował spojrzeć Ostapowi w oczy, czuł jednak, że tylko mruży oczami<sup>59</sup>.

Ostap zdawał się nie zwracać więcej na to uwagi, wstał nagle z miejsca i uśmiechnął się dziwnym, pełnym rozpaczy uśmiechem.

— Ależ, siadaj pan, panie Wroński, siadaj pan — mówił z serdeczną gościnnością. — Szczególny to wypadek, że pana spotkałem. Dawnośmy się już nie widzieli. Nieprawdaż? Pan myślał, że miałem niecne zamiary co do pańskiej siostry... He, he... Wypędził mnie pan z domu. Może pan dźwiga na sobie winę mego starganego szczęścia. Ale cóż to ja chciałem mówić? Tak, prawda! Słyszałem, że pan bardzo chory... Ależ do diabła! Woda

<sup>56</sup>cofnął się wstecz — pleonazm tj. powtórzenie tej samej informacji. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>filister — mieszczuch, koltun; prozaiczny materialista pozbawiony wyższych aspiracji; człowiek ograniczony, małostkowy. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>rozpaczny (daw.) — dziś: rozpaczliwy. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>mruży oczami — raczej: mruży oczy a. mruga oczami. [przypis edytorski]

się nie gotuje... Piję teraz koniak z gorącą wodą, to nowa metoda picia koniaku... Pan pije go zapewne z herbatą...

Wroński chciał coś odpowiedzieć, ale zmógł go ciężki kaszel.

Męczarnia jego zdawała się sprawiać na Ostapie wielkie wrażenie. Bezradny biegał tam i na powrót, jakby go nagle chwyciła trwoga.

— O, pan jesteś bardzo ciężko chory. Nie przypuszczałem, że do tego stopnia. I pomyśl pan, że byliśmy nieprzyjaciółmi...

Wroński spojrzał na niego z chorobliwym uśmiechem.

— O, nie śmieję się pan w ten sposób. Nie mogę na to patrzeć. Serce się rozdziera, uśmiechnął się pan tak jak dziecko, które ma umrzeć...

Wroński zauważył, że Ostap zbladł bardzo. Czuł się jednak tak zmęczonym, że patrzeć mógł na niego tylko z obojętną ciekawością.

— Ja wnet umrę — rzekł zupełnie mimo woli i dziwił się, że to powiedział.

— Pan umrze? — Ostap z przestachem spojrzał na niego.

— Tak... Wkrótce... Należy się przedtem pogodzić ze wszystkimi, umrzeć piękną, mieszczańską śmiercią.

Znowu się uśmiechnął cichym, rozpaczonym uśmiechem i wypił do Ostapa. Nagle zrobiło mu się zimno. Szybko wypił całą szklankę i otarł sobie pot z czoła.

— Nie, nie! pan nie umrze! — Ostap mówił z roztargnieniem, jak gdyby nie wiedział dobrze, co mówi... — Pan nie wie, jak to ciężko. Pochowałem przyjaciela. Umarł na suchoty... Idę ulicą, cichy, w sobie zatopiony, nagle słyszę, jak ktoś woła: „Ostapie! Ostapie!”. Dorożka staje i oto on w niej siedział z chustką przy ustach, mówić nie mógł, bo miał krwotok — patrzył na mnie tylko oczyma — oczyma... Widział pan oczy, które...

Zaciął się, dziwnie zaniepokojony, stanął przed Wrońskim i patrzył na niego z zakłopotania pełnym, niewyraźnym uśmiechem.

— Pan się nie boi oczu? — zapytał nagle. — Ale czemuż pan tak się we mnie wpatruje? Czy pan ma gorączkę? Pan naprawdę chory?

Wroński odzyskał równowagę, ale tylko na chwilę. Opadło go nagle nieprzeparne pragnienie zwierzenia się przed Ostapem, że ma zamiar podpalić ratusz. Czuł, że to powiedzieć musi. Walczył nieludzko z potęgą, która go do tego przymuszała, otworzył usta, ale słowa zamarły.

I zobaczył nagle, że usta Ostapa się otwierają, że twarz jego coraz gwałtowniej drgać poczyna. Oczy ich wzajemnie wżerały się w siebie, widział, jak Ostap się pochylił, lęk go straszny ogarnął, zerwał się z sofy.

Obydwaj odzyskali przytomność i bezustannie patrzyli na siebie.

Twarz Ostapa wykrzywiła się boleśnie, w gniewu oka jednak odzyskał spokój.

Usiadł.

— Ogromne to na mnie zrobiło wrażenie, gdy pan powiedział, że pan wkrótce umrze. Nie wiem dlaczego. Tylu ludzi umierających widziałem przecież dokoła siebie...

Namyślał się długo.

— A podejrzenia pańskie, że względem siostry miałem nieczne zamiary, były bezpodstawne, zupełnie bezpodstawne... Krzywdę mi pan wyrządził... No tak! A może i nie. Wtedy byłem rozpustnikiem. Nie znałem hamulca...

Umilkł i wpatrywał się w ziemię.

Wroński próbował rozumieć, co Ostap mówił, ale słyszał tylko dźwięk niektórych słów. Trwoga jego coraz się wzmagala. Był bliskim zemdlenia. A więc był naprawdę chory.

I nagle przypomniała mu się anegdota o dziewczynie spartańskiej, która odgryzła sobie język, aby nie zdradzić tajemnicy swego kochanka. Myśl ta uporczywie czepiła się jego mózgu. O niczym innym nie mógł myśleć. Musiał to głośno powiedzieć.

— Zna pan historię o dziewczynie spartańskiej, która sobie odgryzła język, by nie zdradzić tajemnicy, kiedy ją wzięto na męki?

Ostap ze zdziwieniem i przestachem spojrzał na niego.

— Co, co pan mówi?

Wroński patrzył się na niego osłupiałym wzrokiem.

— My także powinniśmy odgryźć sobie języki — rzekł zachrypłym głosem i zaśmiał się szyderczo.

W tejże chwili zerwał się z miejsca, chwycił za kapelusz i chciał wyjść.

— Nie chcę już dłużej siedzieć u pana. Pan mnie dręczy. Jestem chory. Muszę iść do domu.

Ostapa owładnęło nieopisane wzburzenie. Zastąpił Wrońskiemu drogę z rozkrzyżowanymi rękoma.

— Zostań pan! Nie odchodź — mówił niemal błagalnie. — Czy obraziłem pana? Powiedziałem coś takiego, co pana obraziło? Dziwna jakaś potęga spływa ku mnie od pana. Czy nie powiedział pan, że obydwa powinniśmy odgryźć sobie języki? Kiedy zobaczyłem pana, odczułem, że i pan pod ciężarem jakimś upada... Nie odchodź! To był cud, gdy pana tam na dole zobaczyłem, ja pana lubię, ja pana niegdyś kochałem...

Przyskoczył nagle do Wrońskiego i zmusił go do pozostania.

Wroński patrzył na niego ze zdziwieniem, jednocześnie zaś doznawał uczucia zimnego spokoju, którego dawno — dawno już nie pamiętał.

— Jeżeli panu co na tym zależy, mogę ostatecznie tu pozostać.

— Tak, zostań pan, zostań!

Ostap pić począł bezwiednie, nerwowo, coraz silniej wzburzony.

— Szczególne mam do pana zaufanie. Coś jest w panu takiego, co mi grób na pamięć przywodzi... Nie, nie! nie marszcz pan czoła... Pan sam powiedział przed chwilą, że pan musi umrzeć... Nie wiem, skąd to pochodzi, w ogóle z niczego sobie sprawy nie zdaję, ale gdy pana zobaczyłem tam na dole, drżącego na całym ciele — doznałem uczucia tak dziwnego spokoju — nie! to nie był spokój, to rozkosz! Nie, także nie rozkosz, może uczucie złośliwego zadowolenia... Wreszcie spotkałem człowieka, który cierpi, naprawdę, rzeczywiście cierpi! Rozumie pan? O! tyle jest rodzajów cierpienia... Nieszczęśliwa miłość rodzi cierpienie, rodzi je także podrażniona próżność... wreszcie cierpieć można także dlatego... że się ma nieprawie dzieci... He, he... Tak i to także sprawia cierpienie. Ale tego rodzaju cierpienia, tego szczególnego rodzaju, nie doznaje się tak łatwo. Ja u pana spostrzegłem je od razu, mam tak bystre oko w tym kierunku... Oczy moje mają niepojętą siłę odczuwania... He, he, widzi pan, odgadłem od razu to bezmierne cierpienie, gdy pan siedział na sofie i osłupiałym wzrokiem we mnie się wpatrywał, gdy usta pańskie drgać zaczęły, jak gdyby pan coś chciał powiedzieć, a nie miał odwagi. He, he, ja to znam, ja jedyny to znam... A później, gdy pan powiedział, że powinniśmy odgryźć sobie języki... Tak mówić może tylko ten, który... który jest moim bratem! Rozumie pan? A wściekłość pańska, gdy się pan zerwał z miejsca i chciał odejść...

Wroński słuchał ze skupioną uwagą. Nie doznawał jednak żadnej litości, był coraz więcej zimny, coraz bardziej spokojny.

— Nie byłem wcale wściekły — wtrącił.

— Naturalnie ma pan gorączkę — mówił Ostap dalej, wcale nie zbity z tropu. — Naturalnie! Ale to ten właśnie szczególny rodzaj gorączki, który rodzi także szczególne cierpienia... He, he, gdy chłop dostanie gorączki, przez parę tygodni leży w łóżku. A każdy z nas — z nas, dzieci Szatana, jak nas Gordon nazywa, chodzi, błąka się całymi tygodniami z tą gorączką i nic mu to nie szkodzi. Widzi pan, ja to wszystko czuję...

— Nie rozumiem, co pan przez to chce powiedzieć, nie odgaduję pańskich myśli. Słyszę tylko słowa...

Ostap wybuchnął głośnym śmiechem.

— Chce mnie pan koniecznie zbić z tropu? He, he, spójrz pan tylko na swe ubranie, przypatrz mu się dobrze: rękaw oderwany, wszędzie błoto, nie, nie błoto — plamy cegły, o którą się pan ocierał.

Wrońskiemu krew uderzyła do głowy. Z trwogą spojrzął na Ostapę, nie umiejąc ukryć przerażenia, Ostap jednak nagle upadł na krzesło.

— Nie patrz pan na mnie z takim strachem. Nie myślę wcale pana szpiegować, przypuszczałem tylko — nie! niczego nie przypuszczałem... To tylko urojenie. Ale gdy pana w takim stanie zobaczyłem, przyszło mi na myśl, że możemy być wzajemną dla siebie podporą...

Uśmiechnął się bolesnym grymasem.

Siedzieli długo, nie mówiąc ani słowa.

— Ale pan nie postępował względem mnie uczciwie — rzekł nagle Wroński — wcale nie. Mówił pan, że pan nie miał niecznych zamiarów co do mej siostry, a... — wstał z sofy. — Czy to prawda, że pan prowadził życie rozpustne?

Ostap uważnie spojrzął na niego.

— Tak, to prawda. Przeszedłem wszystkie granice. My wszyscy zresztą przekraczamy granice. Ciekawym, jaka między nami różnica? Są tylko estetyczne różnice; a estetyka... Pogardzam Gordonem dlatego, że jest tylko estetykiem. Dzieckiem jest, naiwnym dzieckiem. Ilekroć o nim myślę, śmiech mnie dławi... Wszyscy estetycy są śmieszni. Tak, w rzeczy samej — dodał, wykrzywiając się złośliwie i przysunął się do Wrońskiego. — Czy pan, pan także ma coś do czynienia z ratuszem? Hu! Jakże pan zbladł! He, he, nad mózgiem można zapanować siłą woli, ale się nagle tak blednie... Widzi pan, panie Wroński, to także szczególny rodzaj zblednięcia...

Wroński zaledwie mógł oddychać, ale największym wysiłkiem utrzymywał równowagę i spokój.

— Dziwny z pana człowiek, panie Ostap, tak dziwny, że... — zakrztusił się — że nie wiem, czy pan jest chory, czy — czy...

— He, he, drogi panie — poklepał Wrońskiego po ramionach — czy pan przypadkiem nie czołgał się wzdłuż rowu?

Spojrzeni sobie w oczy, nie widząc się wzajemnie. Wrońskiemu wydało się, że oślepl nagle, jednocześnie zaś ogarnęło go dziwne osłabienie. Odczuwał bolesne klucia w piersi.

— Daj mi pan szklanekę koniaku — szepnął cicho.

Spostrzegł nagle, że szeptali obydwaj prawie przez czas cały i czuł, że trwoga nie pozwoliłaby mu mówić głośno.

Ostap wstał i szedł chwiejnym krokiem. Wroński widział to wyraźnie, począł się zastanawiać, chciał się skupić, ale nie mógł. Zimny dreszcz nim wstrząsnął, mózg jego płonął gorączkowo. Wypił chciwie szklanekę koniaku i wstał z miejsca.

— Muszę już odejść — rzekł wreszcie. — Inaczej oszaleję u pana.

Czuł, że niezbyt pewnie stoi na nogach. I dziwił się temu, bo umysł jego był zupełnie jasny.

Ostap zdawał się wcale nie zwracać na niego uwagi. Z wyrazem tępej rozpaczki spoglądał przed siebie. W końcu wstał także.

— Tak, tak, idź pan do domu.

Zamyślił się. Jednym rzutem przyskoczył do Wrońskiego i chwycił go za ramię.

— Zobaczymy się jeszcze, zobaczymy się... wkrótce... musimy się zobaczyć...

Zgrzytnął.

Wroński cofnął się przestraszony. Zdawało mu się, że Ostap chce go ugryźć.

— Nigdy już nie przyjdę do pana — rzekł szorstko.

— Przyjdzie pan, przyjdzie pan z pewnością, albo ja przyjdę... To wszystko jedno... Zapomina pan o tej szczególnej gorączce, którą my, tylko my mamy... He, he... niech się pan ma na baczości. Jeżeli pan ma co do czynienia z ratuszem, niech pan panuje nad swą gorączką... Wyobrażał pan sobie, że Bóg wie, jak zręcznie pan cały plan ułożył, a począł się pan skradać z nieporównaną ostrożnością przez miejsca, na których całe miasto może pana widzieć... Ale pan przyjdzie albo ja przyjdę...

Wypchnął prawie Wrońskiego za drzwi.

Wroński utracił zupełnie władzę nad sobą. Chciał wrócić i usiąść znowu na sofie, ale rozmyślił się i poszedł.

Nagle wyszedł Ostap ze światłem. Sprowadził go po schodach, otworzył bramę i zamknął ją za Wrońskim.

Obydwaj nie przemówili ani słowa.

## V

Ostap wrócił na górę, postawił lampę na stole i położył się na sofie. Nigdy jeszcze nie czuł się tak bardzo smutnym i opuszczonym. Doznawał strasznego bólu osamotnienia, nie mógł pojąć, że w ogóle cośkolwiek wokół niego istnieje. Był zupełnie złamany i zgębniony. Pogrążył się w ponurych myślach.

Tak, nie ma chyba na całym świecie człowieka, do którego by nie czuł nienawiści! Świat cały i ludzie nie istnieli dla niego... Cóż by zresztą mógł mieć z nimi do czynienia? Dlaczegoż nie ma tego uczynić, czego oni od niego się domagają? Czuł, że z równą obojętnością potrafiłby zamordować Gordona, jak i dopuścić się kradzieży w kasie miejskiej...



He, he... Ten ostatni czyn wzbudzi jednak więcej gniewu w społeczeństwie! Gdybym zamordował Gordona, oddałbym ludzkości przysługę.

No tak!

Zauważył, że co chwila myśli swe przerywał tęym wykrzyknikiem: „no tak!”.

Nagle zadrżał. Przejmujący do głębi niepokój pozbawił go przytomności. Biegał jak szalony po pokoju. Wydawało mu się, że koniecznością nagłony musi o czymś myśleć, przed czym czuje strach nieokreślony.

Jakby wybawienie przyszła mu myśl do głowy, że był przecież zaproszony do burmistrza.

Właściwie nie miał zamiaru pójść tam, ale teraz czuł się z tego zaproszenia niemal szczęśliwym<sup>60</sup>.

Dopiero jedenasta godzina. Może jeszcze iść, zupełnie spokojnie.

Począł się zastanawiać, głęboko zamyślony. Dlaczegoż właściwie nie miałby pójść? Noc całą zabije w ten sposób, a to przecież najlepiej! Tak, to najlepiej! To nawet jest teraz dla niego dobrodziejstwem!

W zamyśleniu zeszedł ze schodów, stał jednak znowu przez długą chwilę, zanim otworzył bramę.

Czy może lepiej wrócić? Cóż będzie robić tam u tego głupiego burmistrza?

Ale przerażające uczucie osamotnienia gnało go naprzód. Tam będzie przynajmniej światło, będzie słyszał gwar rozmowy ludzi, tych głupich, dziwacznych ludzi!

Z daleka już widział dom burmistrza w świątecznym oświetleniu.

Gordon był naturalnie w liczbie gości!

— He, he, Gordon gościem swego wuja.

Zaśmiał się szydersko<sup>61</sup>.

— No! kochany wujaszek doczeka się pięknej pociechy ze swego siostrzeńca... ha, ha, ha...

Gdy wszedł, zauważył grupę kilku panów zawzięcie ze sobą rozprawiających. Burmistrz był bardzo wzburzony i gwałtownie wymachiwał rękami.

— Ach — otóż i pan Ostap. Dlaczegoż tak późno?

Ostap przeproszał, a burmistrz serdecznie ścisnął jego ręce.

— Właśnie mówiliśmy o panu. Mój siostrzeniec Gordon...

— Ależ, daj spokój kochany wuju — Gordon uśmiechnął się — Ostap wie doskonale, jakie mam o nim zdanie.

— Tak, tak, naturalnie! Przecież jesteście najlepszymi przyjaciółmi. Szczęście to dla naszego miasta, że taką młodzież potrafiło sobie, że tak powiem, wychować...

Burmistrz dobrodusznie poklepał obu po ramionach.

Wszyscy zebrali się około młodego księdza, który nie posiadał się z oburzenia.

— Tak, tak, moi panowie! — wskazywał na kartę zadrukowanego papieru. — Widzicie! oto ta wstrętna agitacja... W tysiącach egzemplarzy rozrzucono tu, po całym mieście tę odezwę... A zawiera ona najbezwstydniejsze kłamstwa, jakie kiedykolwiek czytałem... To hańba — to, to... Słuchajcie tylko! *List otwarty do robotników przez kapłana z ducha bożego, ks. Ściegiennego*. Wiecie zapewne, że ten nieszczęśliwy, zbłąkany człowiek wysłany został przez rząd rosyjski na Sybir... Tam też umarł przed dawnym już czasem... A teraz to łajdactwo fałszuje jego nazwisko... Posłuchajcie tylko dalej... Najbezwstydniejsze, najzuchwalsze podżeganie do nienawiści klasowej. Podburzają wprost lud roboczy do gwałtów i rozbojów... Robotnicy przemocą zdobyć sobie powinni to, co im się należy, nie cofać się przed żadnym środkiem, aby swych wyzyskiwaczy — mowa tu naturalnie o nas — raz na zawsze zgnieść i zgniebić... Księży nazywają tu kłamcami i darmozjadami, którzy robotników, jakby na rzeź, prowadzą w ręce nienasyconego kapitalizmu... Wystawcie sobie panowie, że te lotry z całą bezczelnością przysyłają mi to pocztą! Zresztą co dzień niemal otrzymuję listy anonimowe, w których grożą mi śmiercią i gwałtem, jeżeli nie zaprzestanę zwalczać tego zwierzęcego wyrodzenia się naszego społeczeństwa...

Odezwa przechodziła z rąk do rąk.

<sup>60</sup>czuł się z tego zaproszenia niemal szczęśliwym — dziś popr.: czuł się z powodu tego (...) szczęśliwy. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>szydersko — dziś popr.: szyderszo. [przypis edytorski]

— To bardzo niezręczna robota agitacyjna — zauważył Gordon obojętnie. — Nie sądzę, by choć jeden jedyny robotnik mógł ponieść z powodu tego świstka jaką szkodę na duszy.

— Pan nie docenia jego skutków — ksiądz mówił z wielkim zapalem — pan stanowczo ich nie docenia. Im więcej proste, grube są środki, tym większa ich skuteczność. Odezwe tę wszędzie poprzyklepiano. Ja sam zdarłem ją dzisiaj z bramy kościelnej.

— Tak, nie ulega kwestii, że szczególnie nasze miasto jest dotknięte tą zarazą... Na każdym kroku człowiek się z tym spotyka — zauważył jakiś młody adwokat.

Burmistrza ogarnęło przerażenie.

— No i cóż tu robić? Rozważcie tylko panowie, jak naprawdę rzeczy stoją. Należałoby przypuszczać, że w mieście o dziesięciotysięcznej ludności wszystkie stosunki tak są dokładnie znane, że bez trudu można by schwycić agitatorów... A tymczasem! Nikt nie widział winowajcy, raczej winowajców!

— Z zewnątrz nic nie dochodzi — zauważył poczmistrz. — Wszystkie podejrzane przesyłki kazałem otwierać.

Burmistrz zupełnie wyczerpany ocierał sobie pot z czoła.

— Jestem zrozpaczony, moi panowie. Lud podżegany i buntowany z dnia na dzień staje się zuchwalszym. Powołują się już na wynagrodzenie robotników w Szwajcarii. Lada dzień robotnicy porzucą warsztaty... Nie mają już szacunku dla przełożonych, dla religii, nie mają bojaźni przed karą... Wczoraj jakiś robotnik szpadlem roztrzaskał głowę dozorczy... Teraz znów przebakują o wielkim strejku<sup>62</sup> w cukrowni...

Burmistrz jęknął i usiadł, nie wiedząc, co czynić. Całe towarzystwo zdawało się żywić głębokie współczucie dla jego strapienia. Dopiero po chwili ksiądz przerwał pełną skupienia ciszę.

— Nawet młodzież w szkole podlega zgubnym wpływom zarazy. Co najmniej jedna czwarta część tych smarkaczy zarażona ateizmem. Najzuchwalszych wypędzono, reszta ostrożniejsza. Ale i tak wiem, że kilka egzemplarzy Büchnera<sup>63</sup>, Straussa<sup>64</sup> i Renana<sup>65</sup> przechodzi z rąk do rąk... Trudno sobie nawet wyobrazić, jakie te młokosy stawiają mi pytania z beczelnie niewinną miną... No, ale ja pierwej nie spoczne, aż odłączę kozły od owiec<sup>66</sup>!

— To jednak rzecz dziwna — rzekł Gordon — że niczego o źródłach agitacji dowiedzieć się nie można. Przecież ci burzyciele w ogóle bardzo głupio i niezręcznie zabierają się do rzeczy.

— W ogóle — tak! — adwokat przybrał minę bardzo poważną.

— Zechce pan jednak zwrócić na to uwagę, że prawdopodobnie mamy tu do czynienia z bardzo wytrawnymi i zręcznymi złoczyńcami. Przypuszczam, że tu w mieście jest kilku agitatorów, przebranych dla niepoznaki za robotników. Naturalnie umieją się oni doskonale maskować. Ja bym szukał winowajców właśnie między najgłupszymi na pozór robotnikami.

<sup>62</sup>strejk — dziś popr.: strajk. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>Büchner, Friedrich Karl (1824–1899) — niem. lekarz, fizjolog i filozof; jako jeden z czołowych przedstawicieli materializmu naukowego XIX w., w swoich pracach rozwijał m.in. teorię Darwina; twierdził, że materia i energia (siła) są wieczne i nieskończone, że natura jest całkowicie fizyczna, niepodporządkowana żadnemu celowi, woli czy prawom narzucenym przez jakąkolwiek ponadnaturalną władzę (istotę boską) i nie posiada żadnej zewnętrznej wobec siebie sankcji etycznej; był bratem sławnego dramaturga Georga Büchnera. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>Strauss, David Friedrich (1808–1874) — niem. pisarz, filozof i teolog; w swoim głównym dziele *Das Leben Jesu. Kritisch bearbeitet* (*Życie Jezusa. Opracowanie krytyczne*, 1835) dowodził, że Jezus najprawdopodobniej nie istniał, a Ewangelie to zbiór mitów powstałych w I i II w. n.e. na bazie starotestamentowych podań o mesjaszu; uważał jednak, że nie należy z tego powodu zrywać z chrześcijaństwem, które wypracowało wartościowy system moralny (z tym jego poglądem polemizował ostro Friedrich Nietzsche). [przypis edytorski]

<sup>65</sup>Renan, Ernest (1823–1892) — fr. pisarz, historyk, filolog, orientalista, filozof pozytywista, krytyczny badacz historii religii; znał biegle języki starożytne (łacine, grekę, staroarabski, hebrajski) i opierając się na swojej wiedzy prowadził drobiazgowo studia biblistyczne; jego najbardziej znane dzieło to *Życie Jezusa* (1863); Biblię Starego i Nowego Testamentu analizował jako zbiór mitów. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>odłączę kozły od owiec — nawiązanie do przypowieści z Ewangelii, zawierającej opis przyszłego Sądu Ostatecznego, podczas którego Chrystus oddzieli grzeszników, których skaże na potępienie, od ludzi sprawiedliwych, których wynagrodzi życiem wiecznym: „Gdy Syn Człowieczy przyjdzie w swej chwale (...) zgromadzą się przed Nim wszystkie narody, a On oddzieli jednych [ludzi] od drugich, jak pasterz oddziela owce od kozłów. Owce postawi po prawej, a kozły po swojej lewej stronie” (Mt 25, 31–33). [przypis edytorski]

— Tak, tak, to pomysł znakomity — zawołał Gordon.

— Ci właśnie głupi i najgłupszy robotnicy — ciągnął dalej adwokat — odbierają odezwy na z góry umówionych miejscach i niepostrzeżenie dalej je rozszerzają. Kazałem sobie przynieść metryki wszystkich robotników, niestety jednak nic z tego dowiedzieć się nie można. To hołota, ze wszystkich krajów zebrana...

Przyniesiono stoliki do kart.

Ostap przeszedł do drugiego pokoju. Zobaczył Helę i Polę obok siebie. Rozmawiały i śmiały się wesoło. Hela jednak zdawała się czekać na Ostapę, gdyż zaraz podeszła do niego.

— Słyszałam, że ciężko zapadłeś po tym wypadku u mnie.

— Nie! Nie byłem chory. To był jeden z tych zwyczajnych ataków, które ostatnimi czasy przechodziłem.

Nagle opanowała Ostapę nieprzewyciężona chęć ziewania, przemógł się jednak z największym wysiłkiem. Zresztą był bardzo roztargniony i ciągle szukał czegoś oczyma.

— Nigdy cię jeszcze takim nie widziałam — rzekła Hela. — Co ci jest?

— Mnie?... Nic! Jestem tylko bardzo zmęczony...

Spojrzał na nią obojętnie przygasłym wzrokiem.

— Tak w rzeczy samej! Nie gniewajcie się na mnie z powodu mej ostatniej wizyty. Mam nadzieję, że rozumiałaś moje chorobliwe podniecenie...

Milczał przez chwilę.

— Zresztą już cię nie kocham — rzekł nagle i ziewnął.

Nagle spojrzał na nią z przestraszaniem.

— Czy co powiedziałem?

Hela patrzyła na niego z rosnącym zdziwieniem.

— Idź do domu — nagliła. — Jesteś przecież chory. Jesteś blady, jak ściana.

— Jestem blady?

Spojrzał na nią nienawistnie, roześmiał się, odwrócił się od niej i usiadł w kącie.

Hela patrzyła za nim drżąca i pomieszana.

Ogarnęła go wściekłość. Zbliżył się do niej i szepnął złośliwie.

— Idź do Gordona. Stoi tam i czeka na ciebie.

Usiadł znowu i z roztargnieniem patrzył na gości. Nie widział nawet, że Gordon podeszedł do niego i potrącił go z niespokojem<sup>67</sup>.

— Idź do domu. Chwiej się! — Gordon był bardzo niespokojny. — Chcę ci coś bardzo ważnego powiedzieć. Czekał na mnie u Paetzla. Przyjdę najdalej za godzinę. Powiedz, że ci się słabo zrobiło i że musisz iść do domu.

Ostap złośliwie patrzył na Gordona. Nie odpowiedział ani słowa, ale po chwili wstał i wyszedł.

Doznawał uczucia, jak gdyby całe niebo spadło na niego i przygniotło go swoim ciężarem... uczucia śmiertelnej apatii.

Wreszcie wszystko mu było obojętnym.

Przez chwilę przypatrywał się jeszcze grze, chodził od jednego do drugiego, skoro zaś spostrzegł, że nikt na niego uwagi nie zwraca, wyszedł.

Gordon obserwował go niepostrzeżenie.

— Dlaczego go stąd wyprawiliś? — usłyszał nagle szept Heli. Oczy jej błyszczały z trudem powstrzymaną wściekłością.

— Niezdrowo dla niego przebywać koło ciebie.

Zaśmiał się cicho i spojrzał na nią przelotnie.

— Jest chory — dodał po chwili — jest daleko bardziej chory, niż przypuszczasz. Przestał się lękać, a to najniebezpieczniejsza choroba.

Nagle spojrzał na nią uważnie.

— Dlaczego mnie nienawidzisz? — zapytał. — Wyrządziłaś mi krzywdę, jaką w ogóle mężczyźnie wyrządzić można...

Odstąpił na bok, by nie stać w drodze tańczącym.

— Pokrzyżowałaś wszystkie moje plany co do Poli... U niej znaleźć mogłem spokój... Ty uczyniłaś to wszystko, a przecież nie mam do ciebie nienawiści...

<sup>67</sup>z *niespokojem* — dziś popr.: z *niepokojem* a. *niespokojnie*. [przypis edytorski]

Spojrzał na Polę stojącą przy drzwiach i wpatrującą się w niego z chorobliwym, bolesnym, namiętym uśmiechem.

Gordon zmieszał się. Głębokie uczucie litości przejęło jego duszę. Nigdy jeszcze widok Poli większego na nim nie sprawił wrażenia. Z wściekłością zwrócił się do Heli.

— Dlaczego zatrąłaś duszę tego dziecka? Dlaczego zламаłaś jej życie? Czy na tyle jesteś samicą, że to zrobić musiałaś?

Hela patrzyła na niego przez cały czas osłupiałym wzrokiem, nie mówiąc ani słowa. Nagle jednak wzruszyła ramionami i rzekła pogardliwie:

— Nudny gaduła!

Gordon skłonił się uprzejmie, odwrócił się i podszedł do Poli.

Pola bez przerwy wpatrywała się w jego oczy, nieufnie, odpychająco.

— Posłuchaj Pola, gdy będziesz wychodzić, pozwól mi sobie towarzyszyć. Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

— Nie chcę iść z panem. Nie chcę z panem mówić.

— Musisz!

Spojrzał na nią przeszywającym wzrokiem.

— Musisz! Nie będę ci się już więcej narzucał. Już nigdy. Ale tym razem jeszcze — a jeśli sobie tego życzysz, będzie to raz ostatni...

Dźwięk jego głosu brzmiał prawie błagalną prośbą. Widział, że twarz jej z lekka zadrgała, a usta się ściągnęły, jak gdyby u dziewczynki, która lada chwila płaczem wybuchnie.

— Błagam cię, Pola — mówił gorąco i namiętnie — muszę z tobą mówić.

Nerwowo poczęła się bawić wachlarzem, nagle jednak opanowała się i podeszła do grupy kilku młodych pań, żywo ze sobą rozmawiających, wśród wybuchów śmiechu.

Właśnie była długa przerwa w tańcu.

Gordon posmutniał i zbladł. Bezmyślnie patrzył w salę, ale naraz napotkał oczy Heli, wpatrującej się w niego ze złośliwą wściekłością.

Przeszedł do drugiego pokoju i usiadł obok swego wuja, który przyjaźnie do niego się uśmiechnął: dostał właśnie bardzo dobre karty.

Wtem usłyszał spazmatyczny śmiech. Powstało wielkie zamieszanie, kilka pań przybiegło z krzykiem... Zerwał się z miejsca: zobaczył Polę na kanapie wijącą się w histerycznym śmiechu, który wnet przeszedł w przytłumione, przzerwane łkanie.

Gordona ogarnęło straszliwe przerażenie. Wziął Polę na ramiona, chwycił podaną sobie przez kogoś szklankę wody, dał jej do picia i zwilżył jej czoło i skronie.

Pola zagryzła wargi. Zdawało się, że wysiłkiem rozpaczy pragnie powstrzymać nowy atak. Wkrótce jednak zrobiło się jej lepiej.

— Odwiozę pannę Polę w swych sankach do domu — rzekł stanowczo.

Było mu zupełnie obojętnym, co ludzie o jego stosunku do Poli pomyśleć mogą.

Pola ze zdumieniem spojrzała na niego, nie miała jednak odwagi się sprzeciwić.

Nikt zresztą nie zrobił żadnej uwagi, tylko Hela stała blada jak chusta.

Gordon czuł, że śledziła chciwie każde jego poruszenie, ale unikał jej wzroku.

## VI

Pola poddała się zupełnie woli Gordona. Zaniósł ją do sanek, czuła, jak ją otula futrem, z apatyczną ciekawością patrzyła, jak sanki z szybkością strzały ruszyły z miejsca, widziała, że wyjeżdżają za miasto, ale była zupełnie bezsilną i znękaną. Na samą myśl, że ma wypowiedzieć choćby jedno słowo, doznawała przenikliwego bólu.

Gordon z nerwową wściekłością smagać począł konie. Nie wiedział, dlaczego ją wiezie do swego domu, ulegał tylko bezwolnie głuchemu wewnętrzznemu popędowi.

Krótką przestrzeń wydała mu się niesłychanie długą i męczącą. Drżał z niecierpliwości, nie mógł doczekać się przybycia na miejsce.

Myśli jego płątały się, doznawał uczucia, że po raz pierwszy w życiu nie jest ich w stanie opanować.

Gdy wreszcie zajechali w obszerny dziedziniec, wziął ją pod rękę i zaprowadził, raczej zaniósł do swej pracowni.

Pola z przestachem obejrzała się dokoła. Teraz dopiero wróciła jej przytomność.

Wzdrygnęła się, padła na sofę i poczęła płakać.

Gordon chodził wielkimi krokami tam i na powrót<sup>68</sup>, stanął przed nią, patrzył długo w jej twarz i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Uspokój się, Pola, zrób to dla mnie, uspokój się! Uspokój się! Nie możesz sobie wystawić, jak strasznie cierpię! Nie masz pojęcia. Nie płacz. Słuchać nie mogę twego łkania...

Usiadła i nieprzytomnie spojrzała na niego.

— Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?

— Dlaczego? Zostań moją żoną, Pola. Na zawsze przy mnie możesz pozostać. Wszystko moje do ciebie należy. Zostań moją żoną.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc ani słowa.

— Czy chcesz, Pola, czy chcesz zostać moją żoną? Na rękach cię nosić będę. Dobrze ci będzie u mnie. Tobie i Stefanowi. Chcesz? Pojadę zaraz do Stefana i przywiozę go. Razem tu wszyscy żyć będziemy. Będzie nam tak dobrze.

Bezmyślnie patrzyła na niego. Usta jej drgały ciągłym bólem. Zdawało się, że przewijają się ciągle po nich uśmiech rozpaczny<sup>69</sup>.

Nie słyszała jego pytań.

— Wszystko uczynię dla ciebie, czego zapagniesz. Wystaram się o pieniądze i pojedziemy tam, gdzie ciepły klimat Stefana uzdrowi.

— Czy to prawda?

Uderzyła nogą o ziemię<sup>70</sup>.

Spojrzał na nią z wielkim smutkiem. Nigdy go jeszcze tak smutnym nie widziała. Bezkresna rozpacz nurtowała jej duszę. Nie odrzekł jednak ni słowa, opuścił tylko głowę i usiadł przy niej.

— Powiedz! Powiedz, że ona skłamała! — głos jej złamał się w spazmatycznym łkaniu.

— Chcesz być moją żoną? — zapytał tępym głosem.

— Nie! Nie! Ty ją kochasz, tylko ja! Jam tylko środkiem dla ciebie, byś o Heli zapomniał. Nie chcę! — poczęła głośno krzyczeć. — Okłamałeś mnie. Nie kochasz mnie... Ty — ty igrasz ze mną, by w niej wściekłość i zazdrość rozpętać. Nie chcę patrzeć na ciebie, ni na nią! — Idź do niej! To jest żona dla ciebie! Czego chcesz ode mnie?

Uspokoili się, znużenie poczęło ją ogarniać, mówiła cicho, łkając.

— Nie, nie... Nigdy tak wyraźnie nie czułam tego, jak właśnie teraz, że ty tylko ją kochasz. Oboje igracie ze mną, jestem dla was tylko pozorem, podnietą. Nie! zostaw mnie w spokoju! Pójdę teraz do Stefana. Zostanę przy nim dniem i nocą. — Tak bardzo go zaniedbywałam... A jeśli cokolwiek prośba moja u ciebie znaczy, przychodź czasem do niego! On cię kocha nade wszystko w świecie...

Surowo spojrzała na niego.

Gordon z rosnącym ciągle zdumieniem słuchał jej słów. Nową zupełnie kobietę widział teraz przed sobą. To już nie była jego dawna, bezsilna Pola. Czuł, że w jej duszy kurczowym bólem wije się dusza Heli. Chciał jej coś powiedzieć, czuł, że jej coś powiedzieć musi, ale słowa zamierały mu na ustach.

— Zostań moją żoną — rzekł w końcu.

— Nie! Nie chcę. Nigdy, nigdy... boję się ciebie. Ja... ja boję się ciebie. Boję się wszystkiego, co się ciebie tyczy... O, wy oboje tak mnie dręczyliście, tysiącem zagadek katowaliście mi duszę. — Boję się was obojga... A ten wstrętny brud, ta hańba życia! Wszystko, wszystko mi powiedziała... Nie, nie — pozwól mi odejść... Muszę iść do Stefana, Stefan jest chory...

Opanował ją straszliwy niepokój.

— Nie, nie... Nie chcę cię słuchać, daj mi pokój! Boję się... Och, idź do niej — ona tak pełna rozpaczy, tak bólem stargana...

— Pola!

Nie słuchała jego słów. Bezradnie biegła tam i na powrót po pokoju.

— Teraz już pójdę do domu! Do domu!

Zaczęła znowu płakać i pobiegła do drzwi.

Starał się przywieść ją do opamiętania, zbliżył się do niej i chwycił ją za rękę.

<sup>68</sup>na powrót — dziś popr.: z powrotem. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>rozpaczny — dziś popr.: rozpaczliwy. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>uderzyła nogą o ziemię — w oryg. niem.: *Sie stampte mit dem Fuß*: tupnęła nogą. [przypis edytorski]

— Poczekaj Pola, odwożę cię do domu, jeśli chcesz tego koniecznie.  
— Nie, nie! Pójdę sama! Muszę iść! Obecność twoja jest dla mnie męczarnią... Och, och — ona cię spoliczkowała, a ty nie odważyłeś się jednego słowa wypowiedzieć. Byłeś moją dumą, moim królem i kobieta cię spoliczkowała. W moich oczach smagała cię szpicrutą.

Gordon nie słuchał jej słów, z wściekłością wołając o sanki.

Stanęli przed drzwiami.

Deszcz padał.

— Daj mi odejść samej... Chcę teraz być samą... Będę ci bardzo wdzięczną, jeżeli mi samej odejść pozwolisz... Ręce twe całować będę, ale puść mnie, puść...

W tejże chwili wyrwała się z rąk jego, przebiegła podwórze i wydostała się na ulicę.

Gordon popędził za nią, pośliznął się, podniósł się znowu i dogonił ją, opadającą z sił.

Nie stawiała już więcej oporu. Zaniósł ją z powrotem. Czuł, że była zupełnie przemoczona i drżała gorączkowym dreszczem.

— Puść mnie! Zostaw mnie samą. Dręczy mnie twoja obecność.

Szła obok niego.

Kiedy wrócili na podwórze, parobek stał już przy koniach.

— Idź, przynieś futro! — krzyknął na niego Gordon.

Otulił ją futrem.

— Zamknij dom, idź do miasta po konie do Paetzla.

Przez całą drogę nie mówili ni słowa.

Przed domem Stefana Gordon stanął.

— Pola! — rzekł smutnie.

— Daj mi pokój...

Zniknęła w drzwiach domu.

Gordon uśmiechnął się, gardło jego ścisnęło się tłumionym łkaniem — doznawał uczucia niewysłowionej męczarni.

## VII

Zamykano już sklep, gdy przyszedł do Paetzla.

— Pan Ostap kazał powiedzieć, że poszedł do Hutha.

Subiekt uśmiechnął się spode łba<sup>71</sup>.

Gordon surowo spojrzał na niego.

— Jest tu mój parobek?

— Do usług.

— Zatrzymajcie konie, aż Maciej po nie przyjdzie.

Gordon dał mu pieniądze i poszedł do Hutha.

Ostap siedział w jednym z tylnych pokoi. Pił wino, na jego kolanach siedziała dziewczyna i śpiewała przy akompaniamencie gitary.

— No, jesteś nareszcie! Trzy godziny czekałem na ciebie... Nic nie szkodzi... Ale spójrz na nią: jeszcze nie ma siedemnastu lat, a już tak zepsuta, jakby trzydziestoletnia. Pełna doświadczenia we wszystkich sztuczkach nierządu... Nie masz pojęcia, jakie śpiewa piosenki.

Dziewczyna zuchwale spojrzała na Gordona...

*„Fischerin, du Kleine,  
Zeig mal deine Beine...”*

Była widocznie pijana. Śpiewała zachrypłym głosem.

Gordon usiadł i obojętnie na nich spoglądał.

— Typowe dziecko Szatana! — Ostap powiedział to prawie z nienawiścią... — Ale odejdz już, Kasiu. Jesteś pijana. Idź! Przynieś jeszcze wina.

Ziewnął przeciągle.

— No, tak! Jak ci się zdaje, Gordonie?

Spojrzał na Gordona i smutnie kiwnął głową.

<sup>71</sup>spode łba — w oryg. niem. *bedeutungsvoll*: znacząco. [przypis edytorski]

Gdy Kasia wyszła, spojrzeli na siebie prawie nienawistnie.  
— Dziwnie się jakoś zmieniłeś — rzekł wreszcie Gordon.  
— Dlaczegoż by nie? Zostańmy na powrót przyjaciółmi. Ty teraz sam jeden wreszcie mi pozostałeś, chociaż i ciebie już więcej znosić nie mogę.

Kasia przysła z winem.

— A teraz, Kasiu droga, idź spać, sama, zupełnie sama, jak obyczajnej dziewczycy przystoi. Masz tu wszystkie moje pieniądze. Wstaniesz o szóstej. Prawdopodobnie zastaniesz nas tu jeszcze. Tak, masz rację, przynieś jeszcze dwie butelki, ale prędko.

Gdy wszystkie jego polecenia spełniono, spojrzął znowu na Gordona, w połowie dobrodusznym, w połowie szyderskim<sup>72</sup> wzrokiem.

— Właściwie przeżyliśmy wielki szmat życia razem. Sądzę, że późniejsze pokolenia długo sobie jeszcze opowiadać będą o szlachetnej parze Dioskurów<sup>73</sup>...

Gordon patrzył na niego poważnie.

Był bardzo znużony.

— Słuchaj Ostapie, jeśli chcesz mi mówić rzeczy przykre, daj spokój. To nudne. Nienawidzicie mnie wszyscy i szukacie zemsty w obelgach. Niedawno Hela mnie spoliczkowała, przed kilku dniami uderzyła mnie szpicrutą. Nie wiem, czego chciała ode mnie.

Ostap zamyślił się.

— Wiesz co, ostatnimi czasy nieraz przychodziło mi na myśl, że właściwie wy oboje jesteście do siebie podobni. Tylko ty jesteś człowiekiem więcej wyrachowanym, a ona kobietą historyczną. Ale macie oboje te same przewrotne popędy.

Gordon spojrzął na niego pytająco.

— Oboje pragniecie cierpienia — rzekł Ostap z namysłem. — Fatalny jakiś popęd gna was, by stwarzać sobie cierpienia. Mam gdzieś jeszcze u siebie bardzo charakterystyczny wiersz twój z lat młodzieńczych. Błagasz w nim Boga, aby zesłał na ciebie ból niesłychanie dumny — takiego używasz wyrażenia — ból święty, więcej dumny i więcej święty od bólu jego wielkiego syna... W bólu tym jest poczyn i piękno. Ty kochasz piękno. Sam pięknym jesteś w twych marzeniach. Coś jest w tobie z Aleksandra Wielkiego, z Byrona, z Karola XII<sup>74</sup>.

Gordon milczał, bawiąc się mechanicznie butelką.

— No, więc pijmy — rzekł Ostap. — Dziwna rzecz. Zawsze czułem twą potęgę, a dziś nic już jej nie czuję... Tak, tak. Wydaje mi się, jakbym dziś dopiero dojrzał.

Gordon się zamyślił.

— Tak. Szczególna zmiana dokonała się w tobie.

Nagle ogarnął go niepokój.

— Straszne jakieś plany przechodzić ci muszą przez głowę — szepnął.

Ostap uśmiechnął się.

— Wszystko uczynię, co ci przyrzekłem. Nie wiem właściwie dlaczego, bo cała ta sprawa przestała już wzbudzać we mnie zajęcie... Tak, więc ten młody Wroński ma też tu coś do roboty?... No, ja nie chcę wglądać w twe zamiary... Ale tego malca powinieneś dobrze pilnować. Jest chory i z silną gorączką łązi po świecie — uśmiechnął się z lekka. — Sądzę, że to on właśnie dopomógł mi do tego szczególnego przełomu w mej duszy. Tak mnie zupełnie zrobił samotnym...

Zamilkł i wpatrywać się począł w Gordona.

— Nie znasz mnie. Patrzysz na mnie tylko przez twą nienawiść — rzekł Gordon cicho. — Nie wiesz nic o mnie. Wy wszyscy nic nie wiecie. Ja więcej od ciebie jestem

<sup>72</sup>szyderski (daw.) — dziś: szyderscy. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>Dioskurowie (mit. gr.) — Kastor i Polluks (a. Polydeukes), bracia bliźniacy, synowie Zeusa i Ledy, herosi, byli uczestnikami wyprawy Argonautów, walk Heraklesa z Amazonkami i in. słynnych czynów mitycznych; Kastor był śmiertelny i gdy zginął, nieśmiertelny Polluks postanowił zrzec się swojego boskiego daru i prosił o to Zeusa, który wzruszony braterską miłością postanowił, że po śmierci bracia na zmianę będą jeden dzień żyli, a jeden spędzali na niebie jako gwiazdy w konstelacji Bliźniąt. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>Karol XII Wittelsbach (1682–1718) — król Szwecji, wybitny dowódca wojskowy; objął tron jako nastolatek (1697), został zmuszony wkrótce do podjęcia wojny (tzw. III wojna północna, 1700–1721), podczas której prowadził bardzo zręczne działania i wielokrotnie rozbił przeważające wojska koalicji Rosji, Saksonii, Danii i Polski; zginął na polu bitwy. [przypis edytorski]

samotnym... No tak, Ostapie, wierzę, że gotów jesteś do wszystkiego, ale czuję także, że przeciw samemu sobie knujesz coś strasznego...

— Daj spokój, Gordonie, daj spokój — Szatanie! Twoje zdrowie! Nie mam już więcej nienawiści dla ciebie...

Zdawało się, że Ostap powiedział to zupełnie mechanicznie, myśląc o czymś zupełnie innym.

— Słuchaj, Gordonie, ja zamordowałem dziecko — krzyknął gwałtownie i ciężko odetchnął.

Gordon zerwał się z miejsca, ale siadł zaraz na powrót.

— Moje własne dziecko — szepnął Ostap i zaśmiał się idiotycznym, obłąkanym śmiechem.

Obydwaj z osłupieniem wpatrywali się w siebie.

## VIII

Pół godziny prawie przeszło wśród głuchego milczenia.

I znowu spojrział Ostap na Gordona z dziwnym, pełnym zakłopotania uśmiechem.

— Myślę o tym ciągle — rzekł — ciągle...

Zakrztusił się, chwycił za szklankę i zaczął opowiadać szybko i chciwie.

— Nikt tego nie widział. Żaden sąd nie byłby w stanie udowodnić mi zbrodni, a jednak mam uczucie, że każdy człowiek wie o niej. Widzę moją tajemnicę we wszystkich ogłoszeniach, czytam listy gończe w każdym dzienniku...

Spojrzał zmieszany dokoła, uśmiechnął się i bawił się nerwowo szklanką. Zdawało się jednak, że go ogarnia i przemaga chorobliwe pożądanie zwierzenia się, ogłuszenia swego bólu opowiadaniem.

— To z Helą... Nie! Nie chcę mówić o Heli — sprawia mi to ból tak straszny... jak gdyby kurcz chwycił za serce... Śmiejesz się?

— Nie, nawet mi przez myśl nie przeszło śmiać się teraz — odpowiedział Gordon bardzo poważnie.

— Tak? Zdawało mi się. Ale opowiadanie moje cię zajmuje? — spojrział złośliwie na Gordona. — Chyba ciekawy jesteś mego i Heli stosunku?

— Nie więcej, jak tylko tyle, ile to mym zamiarom służyć może.

Ostap wybuchnął śmiechem.

— Tak! Mówisz bardzo uczciwie. Tak, tak — i ja nie interesuję cię więcej. He, he — a jednak powinieneś się więcej mną interesować. Mógłbyś coś z twej natury we mnie odnaleźć.

Ziewnął.

— Słyszałeś może historię mordercy, który zamordował jakąś bogatą kobietę, zrabował jej kasę, umknął szczęśliwie i nagle przypomniał sobie kanarka, którego widział w jej pokoju? Wrócił z powrotem, narażając się na najstraszniejsze niebezpieczeństwo, wsunął do klatki pożywienie dla ptaszka, aby go uchronić od głodowej męki. Widzisz! to typowe dla nas wszystkich. Jesteśmy w stanie kraść i mordować, nie odczuwając żadnej innej rozkoszy, jak tylko bezkarności naszego postępku... Ale te rzeczy drobne, słodkie... He, he — te kanarki! Im nie pozwolimy umierać z głodu... Dzieci mordować nie wolno — szeptał drżącym głosem. Zimny pot w grubych kropkach wystąpił mu na czoło.

Pauza.

— Ty jesteś także zbrodniarzem, ale twoje instynkty zdołałeś w wyższym niż ja stopniu opanować. Nie zdobyłbyś się nigdy na tak małą, nędzną zbrodnię... Ty jesteś Karolem XII! Tak! właśnie Karolem XII!

Zaśmiał się tryumfalnie.

— Tak długo myślałem nad zagadką, której „Gordon” na imię i teraz dopiero zdołałem ją rozwiązać. Zastanów się tylko nad Karolem XII: wyrusza ze swej ojczyzny Bóg wie po co i na co, zaplątuje się w wojnę z całą Europą, z siłą ośmiu tysięcy ludzi uderza na pięćdziesiąt tysięcy Rosjan i odnosi zwycięstwo. Pojmujesz? Osiem tysięcy przeciwko pięćdziesięciu?! Następnie rozbija w puch Augusta Mocnego i — i... he, he... pozwala się wywabić w bagna głupiemu barbarzyńcy Mazepie, bo tak mu do smaku przypadły jego opowiadania pod gwiazdami usianym niebem... Ha, ha, ha... Biedny estetyk! A potem chroni się do Turcji, przesiaduje tam pięć lat, a wszystko dla jakiejś urojonej myśli —



rozumiesz? — dla jakiejś urojonej myśli, jak powiedziałem... I znowu ogarnia go gorączka, pędzi z Turcji do Stralsundu, w czternastu dniach<sup>75</sup> przebywa ogromną przestrzeń... He, he, he... Na co? Po co? Całe państwo mogłoby było rozpaść się w gruzy — nie byłby się nawet przez chwilę o nie zatroszczył, ale jego urojenia musiały znaleźć zaspokojenie...

Mówisz, że przykład źle dobrany? Nie, nie... Ty jesteś jednym z takich ludzi, jesteś Aleksandrem Wielkim, który każe się mianować synem bożym i zupełnie na serio wierzy w swe boskie pochodzenie. Jesteś Byronem, który pragnie zostać królem Grecji...

Dlaczego tak postępujecie? He? Otóż w tym właśnie leży cała wasza wielkość, że nie wiecie dlaczego, że nie macie żadnych zamiarów. Dlatego, tylko dlatego tak wielką, tak straszną macie władzę nad ludźmi. Ja to kocham, kocham nad wszystkie granice. Współprzestępcą waszym się stałem z miłości do tej mistycznej, awanturniczej natury, która się przez was objawia.

Zaśmiał się nagle wściekłym, złośliwym śmiechem.

— Tak, tak: wszyscy jesteście sobie podobni. Karol XII był bogobojnym człowiekiem, jednym z tych, którzy nade wszystko kochają sprawiedliwość, a jednak nie znał większej rozkoszy nad rozkosz mordy, rzezi, pożogi... Urodzony podpalacz. Podpalał domy, palił zboża na polach; nigdy nie czuł się tak szczęśliwym, jak wówczas, gdy z Stralsundu pisał do swej siostry, że usmażył kilka tysięcy ludzi... Widziałeś kiedy tę małą, ściągłą<sup>76</sup>, dziewczęcą twarz? Zupełnie podobną twojej!

Byron szydzi ze świata, pogardza wszystkim, co się na ziemi znajduje, ale sam chce zostać królem Grecji! A ty... ty wmawiasz w siebie, że musisz szerzyć zniszczenie, by zadośćuczynić jakiejś szatańskiej teorii. He, he... jak ty się okłamujesz! Przecież ty szerzysz zniszczenie jedynie tylko dlatego, że nosisz w sobie całe piekło nieszczęścia i obrzydzenia. Nie, nie obrzydzenia — obrzydzenie osłabia i pęta energię, ale nienawiść — nienawiść! Nigdy nie wyobrażałem sobie, by człowiek mógł tak chorobliwie nienawidzić...

Rzucił nagle szklankę na ziemię i począł łapczywie pić z butelki.

— Ty nie należysz do naszej epoki. Nie ma dla ciebie miejsca, przestrzeni. W innych warunkach mógłbyś zostać królem, mógłbyś rozgramiać rosyjskie wojska i z trzytysięczną drużyną krocie tysięcy Turków w puch rozbijać, i znowu w czternastu dniach tysiące mil przebywać, i spać na wałach Frederikehalli, i śnić o jasnych nocach... Teraz jesteś bezsilny, spętany i dlatego pożądasz zemsty...

Przypatrywałeś się kiedy charakterowi jego pisma? Jego, to jest naturalnie Karola XII. Podobny do twego. I czy wiesz, że on nigdy nie posiadał kobiety — mówię o fizycznym posiadaniu — wiesz o tym? Nie wiem, czy ty... Hela! He, he, Hela! To był rodzaj mistycznych zaślubin, poczętych w mózgu. Tak, rodzaj mózgowej ekstazy... Uważałem także, że nieraz zasypiasz i budzisz się nagle, nie wiedząc wcale o tym, że spałeś... Ty, ty jedynie wpośród nas wszystkich jesteś obłąkańcem. Ty jeden byłbyś w stanie z najzupełniejszym spokojem zamordować bogatą kobietę, a nie dozwoliłbyś za nic na świecie, by kanarek zdechł z głodu.

Gordon zmarszczył brwi.

— No, dość już tego! Dość tej pijanej rozmowy. Siedzę tu już od godziny i słucham bezmyślnej paplaniny, siedzę zupełnie spokojnie, ale teraz dość już wszystkiego!

— Dość ci? Idźże do diabła!

Ostap uderzył pięścią w stół.

— I dlaczego tu siedzisz? Czego chcesz jeszcze? Teraz mógłbyś doprowadzić mnie do kryminału, gdybyś zechciał... He, he.. Spróbuj tylko! Romantyk jest zawsze szlachetny, romantyk nie spełni nigdy brudnego czynu, a ty — Karol XII, król nowego Syjonu miałbyś zadenuncjować człowieka, że zamordował niewinne dziecko! He, he, he... Herod tysiące dzieci mordował i pożarło go robactwo.

Zmieszał się nagle.

— Czy sądzisz, że to robactwo trzeba przenosić sobie tłumaczyć? Zresztą nie chcę cię dłużej zatrzymywać...

Położył się na sofie i począł wpatrywać się w sufit.

<sup>75</sup>w czternastu dniach — dziś popr.: w czternaście dni. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>ściągły — dziś popr.: ściągnięty. [przypis edytorski]

— Psychologia jest jednak najgłupszą rzeczą na świecie. No tak... — usiadł znowu.

— Teraz możemy znowu mówić rozsądnie. A więc do interesu, nieprawdaż?

Stał się nagle poważnym i obojętnym.

— Proklamację pisał Wroński?

— Tak.

— Bardzo dobra.

— Tak, bardzo dobra. — Gordon w zamyśleniu przesunął ręką po włosach.

— Któż ją rozszerza<sup>77</sup>?

— Okonek.

— Ten, co przeszłego roku chciał sobie gardło poderznąć?

— Tak.

— I jego też oplątałeś? — Ostap ze zdziwieniem spojrzął na Gordona. — Winszuję ci, czasami jesteś rzeczywiście podziwienią godnym. Widziałem go przeszłego roku, był strasznie pijany, zdaje się, że miał już *delirium* i wtedy wrzeszczał: „Ja jestem ja...”. Od razu pomyślałem, że mógłbyś z niego coś zrobić... Ale wiesz co, mnie to wszystko w ogóle za mało obchodzi. Rozumiesz mnie: jestem tylko dyletantem — tylko dyletantem...

Wypił do dna butelkę i nagle uderzył się ręką w czoło. Był niezwykle wzburzony.

— Powiedz mi, Gordonie — przysunął się bliżej do niego i uśmiechnął się złośliwie — powiedz mi, czy Okonek i Sobek nie są przypadkiem jedną i tą samą osobą? Wiesz, ten sławny Sobek, co przeszłego roku podpalił twoją stodołę? Sławetny Sobek, co zastrzelił twego leśniczego? Ha, ha, ha... bardzo mnie ta sprawa zajmowała, poczyniłem badania i dowiedziałem się, że Sobek był w tym czasie niedołączny i chory... Zawsze mi się to wydawało podejrzanym, żeby Sobek miał się tego czynu dopuścić... He, he, he, jak ci twarz teraz drga, jak się błędnie we mnie wpatrujesz...

Ostap jeszcze bliżej przysunął się do niego.

— Czy przypadkiem nie mylisz się do osoby? He?

Gordon zaśmiał się cicho.

— Zgadłeś — rzekł nagle. — Okonek zamordował leśniczego. Sobek umarł w dwa dni potem. Nikt o tym nie wie i nigdy wiedzieć nie będzie. Skoro kto umrze, można wszystko pisać na jego rachunek. Ale Okonek był moim niewolnikiem, moim psem, a to znaczy bardzo wiele. Zresztą bardzo ważną rzeczą jest, by i teraz mogło być wszystko, co się stanie, przypisanym Sobkowi.

Ostap z rosnącym zdziwieniem patrzył na Gordona.

— Nigdy jeszcze tak otwarcie ze mną nie mówiłeś. Jaki jest cel twej szczerości?

— Nie ma żadnego. Ale sądzę, że teraz mogę już mówić otwarcie. Rozumiesz co to *teraz* znaczy?

Ostap spojrzął na niego nienawistnie.

— I teraz zmarły Sobek podpalił fabrykę Schnittlera?

Ostap zaśmiał się zachrypłym głosem.

Gordon zbladł nagle i nie odpowiedział ani słowa.

— Co? Nie taki twój plan? Jesteś tak wzburzony? Dlaczego mi nie odpowiadasz? Czy otwartość twoja do tego planu już się nie rozciąga?

Gordon uśmiechnął się pogardliwie.

— Na miły Bóg, Gordonie, jesteś naiwnym dzieciakiem. Mordu i pożogi dopuścić się może pierwszy lepszy parobek. Nie wpadłeś ty jeszcze na myśl hodowania zarazków cholery lub tyfusu? Jeszcze nie? Oto *środek fin de siècle*<sup>78</sup>... Prawdziwie wyrafinowany środek. W przeciągu jednego tygodnia zaraza wypełni całą prowincję...

Szeptął, ale nagle uderzył nogą o ziemię, usta ściągnęły mu się kurczowym uśmiechem, drżał na całym ciele.

Gordon wstał. Przez chwilę wpatrywali się uporczywie w siebie.

— Szatanie! — wrzasnęła Ostap.

— Zastrzelę cię jak psa na ulicy, w jasny dzień, jeśli odważysz się pisać choćby słówko. — Gordonowi wystąpiła pianina na usta.

<sup>77</sup>rozszerzać — tu: rozpowszechniać. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*fin de siècle* (fr.) — koniec wieku; termin stosowany na określenie ostatniej dekady XIX w. [przypis edytorski]

I wydawało się, że lada chwila rzuci się z wściekłością na siebie. Ręce Ostapa drżały w mimowolnych odruchach.

Gordon pierwszy opanował się i wyszedł, nie mówiąc ani słowa.

## IX

Brama frontowa była zamknięta, Gordon musiał więc przejść przez dziedziniec, by wyjść drogą prowadzącą przez wielki ogród.

Nie uszedł jednak jeszcze stu kroków, gdy Ostap dopadł go zziębnięty, zdyszany i konwulsyjnie uczeplił się jego ręki.

— Nie odchodź, na miłość boską! Zostań przy mnie! W tobie jest potęga. Przy tobie jestem spokojny, tylko z twojej potęgi mogę czerpać życie. Jestem tak słaby, ty możesz być mi podporą. Ściąga mnie trwoga, a ty jedyny ją rozpraszasz. Wróć, chodź ze mną, będę kradł, mordował, rabował, całą prowincję zarażę bakcyliami...

Nie mógł mówić dalej, powtarzał bezmyślnie te same słowa.

Gordon spojrział na niego. Ostap był zmieniony do niepoznania<sup>79</sup>. Twarz jego ściągnęła się konwulsyjnym kurczem, usta drgały gorączkowo.

— Nie, nie chcę! — rzekł wreszcie Gordon. — Dość długo słuchałem twojej gadaniny. Wysłasz się, by mnie jak najdotkliwiej obrazić.

— Nie, nie! — Ostap załamał ręce. — Nie chcę cię obrażać, ale ty dla mnie jesteś Aleksandrem Wielkim, Byronem, Karolem XII.

Gordon odwrócił się z niechęcią i chciał iść dalej. Ostap zatrzymał go przemocą.

— Nie odchodź! Będziesz żałował. Szaleje we mnie orkan trwogi, orkan, rozumiesz... He, he. Widziałeś kiedy trąbę powietrzną? Domy, wsie, drzewa jak ździebélka słomy znikają z powierzchni ziemi. Będziesz żałował... A zresztą na wszelki wypadek wziąłem ze sobą...

Pokazał Gordonowi rewolwer, ale ręka jego drżała tak silnie, że omal nie upuścił go na ziemię...

— Przez trzy miesiące piłem, piłem bez przerwy. A ty wiesz, że pić potrafię.

Gordon przypatrywał się długo Ostapowi i w milczeniu zawrócił z nim do Hutha. Gdy znowu usiedli w pokoju, spostrzegł Gordon zupełnie nową zmianę na twarzy Ostapa.

Miała ona wyraz bezgranicznej, psiej uległości. Oczy pały gorączkowo, rzucając wkóło przelotne blaski.

— Czego chcesz? Może wina? Patrz, mam tu jeszcze trzy butelki. A może zawołać Kasie? Całą noc będzie śpiewała, jeśli tego zażądaś... Ona cię kocha: powiedziała nieraz, że oddałaby trzy lata życia swego za jedną, jedyną noc spędzoną przy tobie...

— Dajże już raz spokój tej paplaninie!

Gordon poruszył się niecierpliwie na krześle.

Ostap patrzył długo na niego i wybuchnął nagle prawie spazmatycznym śmiechem.

Gordon bębnił palcami po stole.

Ostap uspokoił się od razu i z natężoną ciekawością patrzył wprost w jego oczy.

— Powiedz mi, Gordonie, zupełnie szczerze: dlaczego zachowujesz tak małostkowo twoje tajemnice? Mogę ci przecież być pomocnym w wielu rzeczach... A więc, powiedz mi, czy naprawdę myślałeś o tym, by zbuntować robotników fabrycznych i z ich pomocą zburzyć miasto?

— Nie.

— Naprawdę nie? Ależ to zdumiewające. Nie rozumiem cię. To przecież pomysł, który się sam nastrocza, jeśli się logicznie cały plan obmyśla! Zdumiewające! Zdumiewające! Ale przecież myślałeś o tym, by robotników pozbawić zarobku...

— Któż ci właściwie powiedział, że w ogóle mam zamiar podpalić fabrykę? Nawet we śnie nie przyszła mi ta myśl do głowy.

Ostap patrzył na niego z nieopisanym zdumieniem.

— Nie myślałeś o tym? Ależ to przecie rzecz najważniejsza. Czego dokonasz z tą drobną sumką pieniężną? Albo czego w ogóle w ten sposób dokazać możemy? Co najwyżej będziemy mieli do rozporządzenia z jakie pięćdziesiąt tysięcy marek<sup>80</sup>. A przecież

<sup>79</sup>do niepoznania — dziś popr.: nie do poznania. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>będziemy mieli (...) z jakie pięćdziesiąt tysięcy — dziś popr.: będziemy mieli jakieś pięćdziesiąt tysięcy a będziemy mieli z pięćdziesiąt tysięcy. [przypis edytorski]

najgłówniejszą rzeczą jest rozpaść olbrzymie ognisko buntu, oswoić z nim robotników, urządzić wszędzie małe ruchawki, rozbijać sklepy... Tak, przede wszystkim należy zniszczyć poszanowanie własności, pouczyć lud, że ma prawo sam sobie wszystko zabierać, nie czekając, aż mu władza zrobi jakieś ustępstwo... He, he, ty jesteś marzycielem, fantastą. Teoria twoja jest piękna, wspaniała — nigdy od czasów Katyliny<sup>81</sup> nikt jeszcze nie wpadł na lepszy pomysł, na pomysł skupienia wokół siebie dzieci szatana, by za ich pomocą dokonać dzieła zniszczenia. Ale rzeczą główną, rzeczą zasadniczą jest przede wszystkim dopiero wychować miliony ludzi na dzieci szatana, a o tym zupełnie zapomniałeś. Podpał fabrykę Schnittlera! Tysiące robotników pozbawisz w ten sposób chleba. Gdzież kto teraz w zimie znajdzie robotę? Przy najlepszej nawet woli nikt nie będzie w stanie, ani rząd, ani miasto zatrudnić na razie taką moc robotnika<sup>82</sup>. Tysiąc robotników, tysiąc robotników bez chleba!...

Ostap zakrzuszył się, oczy jego błyszczwały jakby rozżarzone węgle, na twarzy malował się fanatyczny tryumf.

— Tysiąc robotników bez chleba! To znaczy, stu umrze z głodu, stu pójdzie na żebrzy lub włóczęgę, ale to jeszcze bagatela! Stu chwyci się kradzieży i rozboju... uważaj! teraz rzecz poczyna być ciekawa. Z kobiet przeważna część<sup>83</sup> odda się prostytucji i za pomocą kiły zatruje zarazą tysiące mężczyzn... A wszyscy — wszyscy podpadną władzy szatana. Lud zawsze podpada władzy szatana, jeśli mu się odbiera możliwość zarobku.

Gordon siedział zamyślony.

— Właściwie nigdy o tym nie myślałem. Nie chcę się posługiwać motłochem, by dopiąć mego celu.

— Aha! Aha! Otóż i nasz sławny kanarek! Tak, tu go mamy!

Ostap udawał rozmyślnie, że się dusi od śmiechu.

— Romantyzm wychodzi na wierzch. Podobny jesteś do Fouriera<sup>84</sup> lub Babeufa<sup>85</sup>... Masz litość i współczucie dla uciemiężonych... Ha, ha, ha! Cierpisz razem z nimi! Tak, tu tkwi nasz sławny kanarek!

— Nie ma tu mowy o litości, ni współczuciu. Nie odpowiadało to tylko mym planom. Zresztą mały z takiej agitacji pożytek, bo za mało mamy tu robotników.

Ostap spojrział bystro i przenikliwie na Gordona.

<sup>81</sup>Katylina, Lucjusz Sergiusz (109–62 p.n.e.) — rzym. polityk, zubożały patrycjusz rzymski, utracił swój majątek i będąc pozbawiony możliwości ubiegania się o urząd konsula z powodu nadużyć, jakich dopuścił się piastując urząd namiestnika w Afryce (67–66 p.n.e.), postanowił poprawić swoją sytuację materialną przejmując władzę siłą; w tym celu zdobył stronników wśród zrujnowanych nobilów oraz najbiedniejszych obywateli i w 63 p.n.e. zorganizował spisek na życie konsulów (tzw. sprzysiężenie Katyliny); gdy spisek został ujawniony przez Cyncerona, spiskowców skazano na śmierć, zaś sam Katylina uciekł i w Etrurii stanął na czele oddanych mu wojsk (złożonych również z bankrutów politycznych i finansowych, weteranów Sulli); ostatecznie poległ w bitwie pod Pistorią. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>moc robotnika — dziś popr.: moc (tj. mnóstwo) robotników. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>przeważna część — dziś: przeważająca część. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>Fourier, Charles (1772–1837) — fr. socjalista utopijny, w swoim projekcie nowego, szczęśliwego świata, w którym ludzie byliby podzieleni na niewielkie wspólnoty (falanstery), zamierzał wyeliminować niesprawiedliwość, opierając się na idei wzajemnej troski i kooperacji, wynagradzaniu według wkładu pracy i zatrudnianiu ludzi zgodnie z ich wrodzonymi skłonnościami, a nie na zasadzie przymusu; głosił, że konieczną reformą jest równouprawnienie kobiet (jako pierwszy użył terminu feminizm w 1837 r.); uważał, że dobra organizacja społeczeństw i koordynacja działań powinna uwzględniać dobro świata przyrody; w czasie rewolucji 1848 r. i Komuny Paryskiej żywo odwoływał się do myśli Fouriera; jego krytykiem był Karol Marks (z powodu braku programu realizacji projektu oraz braku analizy przyczyn zła, jakie niesie z sobą kapitalizm); w XX w. do filozofii Fouriera odwoływali się socjaliści nieutożsamiający się z głównym nurtem marksizmu (surrealiści, sytuacjoniści). [przypis edytorski]

<sup>85</sup>Babeuf, François Noël (1760–1797) — radykalny polityk fr. pochodzenia chłopskiego; przyłączył się do rewolucji fr. 1789 r., zorganizował tzw. Sprzysiężenie Równych, działał na rzecz zradykalizowania rewolucyjnych przemian, wydawał radykalny dziennik „Trybun Ludu” („Le Tribun du peuple”), zyskał sobie przydomek Grakchusa (rzym. trybuna ludowego z II w. p.n.e., dbającego o dobro plebejuszy); egalitarysta, autor *Manifestu plebejskiego*, postulował uspołecznienie środków produkcji oraz podzielenie całej ziemi na równe działki i rozdanie jej obywatelom (istniejącą własność uważał za powstałą w wyniku przemocy i nieuczciwości; w przyszłości, w nowym, komunistycznym ustroju własność prywatna i prawo dziedziczenia miały zostać zniesione, wprowadzono by natomiast wspólnotę dóbr); zwolennik rewolucji proletariackiej, w wyniku której uciskani przejęliby władzę nad swymi wyzyskiwaczami poprzez zamach stanu przygotowany uprzednio przez szczupłą grupę konspiratorów; do jego poglądów (tzw. babuwizmu) nawiązywali zarówno socjaliści utopijni, jak i Marks. [przypis edytorski]

— I właśnie dlatego plan mój jest dobrym. Twoje pomysły za wielkie, za obszerne. Opierasz się zawsze na fantasmagoriach, budujesz plany na krociach tysięcy, na milionach. I to właśnie jest ideologią — w tym przypominasz Karola XII... Posługujesz się przecie Okonkiem; a lud cały jest tylko takim głupim Okonkiem, którym można kierować według upodobania.

Nagle ogarnęło Ostapa wielkie znużenie. Cały jego zapal zgasł od razu. Rzucił się na sofę i obojętnym, roztargnionym wzrokiem patrzył przed siebie.

— Ty w ogóle jesteś chory — rzekł wreszcie. — Słyszysz, jak trawa rośnie, masz olbrzymie pomysły, ale łączysz je z niepraktycznością dziecka.

— Może byś wreszcie zechciał przestać zajmować się moją osobą?

Gordon był silnie podrażnionym.

Ostap wstał z sofy i patrzył na niego ze złośliwym uśmiechem.

— I rzeczywiście nie myślałeś o hodowaniu nowych pokoleń zarazków? Rzeczywiście nie myślałeś?... No, no, dajmy spokój! Idź do domu, idź! idź! Ja natomiast zakłócę dziewicze sny Kasi. Idź, idź i nie zapomnij tego, co ci powiedziałem! He, he, jestem na twoje usługi, urządzę ci korowód z pochodniami, skoro fabryka spłonie — korowód z grabieżą, rabunkiem i z wszystkim, co do tego należy, by uświetnić pomysły Karola XII. Ale nie zapomnij, że jesteś człowiekiem chorym. Nie ufaj sobie zbyt mocno. Miewasz znakomite pomysły, ten np., że wszystkie dzieci szatana nie powinny się znać wzajemnie, a przecież kierować się tą samą myślą przewodnią, czyli innymi słowy powinny mieć sugestię sprzysiężenia rozgałęzionego po całym świecie. To wszystko jest bardzo misterne, bardzo psychologiczne, ale ty jesteś za bystry, nie zwracasz uwagi na rzeczy najprostsze... He, he, najprostsze, najsubtelniejsze, na najwykwintniejsze rozwiązanie kwestii społecznej: hodowlę zarazków cholery i tyfusu.

Gordon patrzył na niego długo i uśmiechnął się ironicznie.

— Czemu się śmiejesz? Czemu? — Ostap porwał się.

— Słuchaj, Ostapie, ten wieczór był dla mnie nader pouczający. Dzisiaj poznałem cię lepiej niż w ostatnich dwunastu latach<sup>86</sup>. Słuchaj no! Ten plan, by spalić fabrykę i pozabawić robotników chleba obmyśliłeś przecież tylko dlatego, aby moje sumienie obciążać zbrodnią? He?

— Do diabła, jakis ty bystry! Wszakże mówiłem, że słyszysz, jak trawa rośnie.

Gordon spowaźniał nagle.

— Zresztą wzięłeś tę ideę ode mnie, a raczej pośrednio z broszur, jakie czytałeś w ostatnim czasie.

Ostap uniósł się.

— Więc rzeczywiście sam wpadłeś na ten pomysł? Pierwej, nim ja ci powiedziałem?

— Tak, pierwej! Powziąłem ten plan już w Londynie i obmyśliłem go w najdrobniejszym szczególe. Słuchałem cię spokojnie, bo byłem ciekawy, czy nie powiesz mi czegoś nowego, o czym przypadkiem zapominałem... Bądź zdrow! Jutro o szóstej po południu bądź w domu. Hartmann cię odwiedzi.

— Kto?

— Hartmann! Inżynier z fabryki Schnittera... He, he, widzisz, nie mam już tajemnic przed tobą...

Ostap chodził w milczeniu po sali.

— Tak, Gordonie... — zatrzymał się przed Gordonem. — Ty jesteś największym zbrodniarzem, jakiego kiedykolwiek widziałem. Jesteś tak wielkim zbrodniarzem, że nie jesteś już nawet łajdakiem... Teraz rozumiem, czemu jestem tak silny przy tobie: w twojej zbrodni zanikają wszystkie inne bez śladu... Ale ty kłamiesz, kłamiesz i ten pomysł, by spalić fabrykę, pozabawić robotników chleba i zmusić ich przez to do zrabowania miasta, to wszystko dopiero ode mnie usłyszałeś. Byłeś zadziwiony, nie myślałeś nigdy o tym. Jutro, pojutrze przeprowadzisz ten pomysł, ale pomysł jest *mój*! Rozumiesz? *Mój*! Przyszaj nareszcie!

Krzyczał jak szalony.

— Okradłeś mnie z moich pomysłów! Zawsze brałeś je ode mnie! A ja, śmieszny głupiec, musiałem być twoim sługą!

<sup>86</sup>w ostatnich dwunastu latach — dziś: w ciągu ostatnich dwunastu lat. [przypis edytorski]

Zapomniał się zupełnie, krzyczał głośno i z wściekłością bił pięścią w stół. Gordon spojrział na niego z pogardą, roześmiał się prawie wesoło i wyszedł. Ale zaledwie stanął w drzwiach, Ostap cisnął za nim pełną butelkę. Jednak nie miał już władzy nad swymi członkami; butelka przeleciała za wysoko i rozbiła się o ścianę.

X

Na dworze padał deszcz. Gordon był bardzo zadowolony. Ten przeklęty śnieg budził w nim tyle trosk. Ale teraz już niedługo stopnieje. W dwa dni...

Spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta. Mógł jeszcze iść do Hartmanna. Ale nie! Botko miał to załatwić. Zresztą był bardzo zmęczony.

Szedł bezmyślnie, prawie mechanicznie, nie troszcząc się o deszcz. Skoro doszedł do domu i wszedł do pracowni, rzucił się śmiertelnie znużony na łóżko, nie rozbierając się i zasnął natychmiast. Już po upływie godziny zbudził się i przeszedłszy kilka pokoi znalazł się w małym gabinecie.

— Botko!

Żadnej odpowiedzi.

Gordon zapalił światło.

Botko spał.

Gordon potrzebował wiele czasu, nim go zbudził.

— Można by ci nad uchem z armat strzelać, a ty jeszcze spałbyś spokojnie.

— Wróciłem dopiero przed dwiema godzinami. Jestem tak strasznie znużony<sup>87</sup>.

— No?

— Byłem wszędzie.

— I?

— I? Poczekaj chwilę. Muszę wstać, inaczej zasnę znowu. Musimy się spieszyć. Ten Wroński może łatwo umrzeć. Zresztą ma gorączkę, ale to nie szkodzi, owszem, daje potrzebny fanatyzm. Widzisz więc, Gordonie, teraz nie wolno ci dłużej zwlekać. Wroński jest ważny, cały ratusz musi być spalony, bo inaczej mogliby odnaleźć nasze ślady. Przede wszystkim księgi rachunkowe... oprócz tego numery banknotów są zapewne dokładnie zapisane.

— Tak, tak, to najważniejsze.

— Potem byłem u Hartmanna. — Botko mówił ożywionym głosem i zapalił papierosa. — Ten jest pewny. Ja ich znam, tych ideologów. Gdy o to chodzi, to zamordują człowieka z tym samym spokojem, z jakim się zmienia<sup>88</sup> pieniądze... Ci nie znają sumienia, nie znają trwogi.

Gordon zamyślony patrzył w ziemię.

— Najważniejszą jest rzeczą, aby ratusz spalił się doszczętnie — rzekł z namysłem. — Zresztą jest to niesłychanie dobry środek propagandy rewolucyjnej. W przeciągu roku będą się palić wszystkie gmachy państwowe na okół<sup>89</sup>. Dotychczas żaden jeszcze człowiek nie wpadł na tę myśl. Bakunin<sup>90</sup> żądał tylko palenia dokumentów publicznych. Ja będę palił gmachy publiczne.

— Kogo jeszcze widziałeś?

— Mówiłem długo o Okonkiem. Jak na robotnika jest niezwykle inteligentny. Znakomicie wywiązuje się ze swego zadania. Tłum fabryczny jest strasznie wzburzony. Jest to mniej więcej pewne; skoro fabryka spłonie, lud w szale zrobi wprost wszystko. Zresztą dyszą pragnieniem zemsty na właściciela<sup>91</sup> fabryki — no, jakżeż się nazywa?

— Schnittler.

<sup>87</sup>tak strasznie znużony — w oryg. niem. *Ich bin zum sterben müde*: jestem śmiertelnie zmęczony. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>zmieniać — tu: rozmieniać. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>na okół — dziś: wokół a. naokoło. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>Bakunin, *Michaił Aleksandrowicz* (1814–1876) — ros. rewolucjonista, jeden z twórców koncepcji anarchizmu w jego wersji kolektywistycznej; sprzeciwiał się istnieniu relacji rządzący-rządzony we wszystkich sferach, od religijnej, poprzez państwową, do prywatnej; niezłomny bojownik o wolność, całe życie żarliwie wspierał też dążenia Polaków do odzyskania niepodległości. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>zemsty na właściciela (daw.) — dziś popr.: na właścicielu. [przypis edytorski]

— Tak, Schnittler. Ten poczciwy<sup>92</sup> człowiek zapłodnił połowę dziewcząt fabrycznych. To nadzwyczaj korzystny zbieg okoliczności... Okonek ma do pomocy jeszcze dwu młodych łotrów. Jeden podobno ma pewne wykształcenie, dopiero od niedawnego czasu jest tutaj. Twierdzi, że we trzech sami wszystko potrafią zrobić.

— Czy Okonek dostał najnowszą proklamację?

— Rozszerza<sup>93</sup> ją z pomocą kuzyna Wrońskiego.

Botko zapalił nowego papierosa.

— Jak właściwie przedstawia się sprawa z Sobkiem? — zapytał ciekawie.

— Umarł we dwa dni potem, kiedy Okonek zastrzelił mojego leśniczego. Leży w głębokim torfisku<sup>94</sup>, teraz już zasypanym.

— Ale jak zdołałeś zataić jego śmierć?

— Było to dość trudno.

— I rzeczywiście nie pomogłeś mu na drugi świat?

— Nie! Umarł w korzystnym czasie, a śmierć przyszła bardzo szybko. Właściwie tylko dwa dni leżał w łóżku.

— Sumienie jego już pewno od tego czasu niesłychanie obciążone? — Botko śmiał się dobrotliwie<sup>95</sup>.

— O tak, robi mniej więcej wszystko.

Obaj śmiali się serdecznie.

— Wyznaczono tysiąc marek nagrody za jego schwytanie. — Gordon śmiał się jak dziecko<sup>96</sup>. — Naturalnie widują go często. Przed trzema dniami widział go parobek w moim lesie. Przysięga, że to był Sobek. Ha, ha, ha... kazałem mu zrobić doniesienie...

Znowu śmiali się. Ale nagle Botko stał się bardzo poważny.

— Nie boisz się o siebie? Nie sądzisz, że mogą odnaleźć twoje ślady?

— Nie... nie, nie sądzę. Wszystkim tym ludziom zamknąłem usta jakąś zbrodnią, o której ja wiem... Co najwyżej można by się obawiać Okonka. Nie można nigdy zawierzać tym parobkom, jest on wprawdzie inteligentny, ale mógłby się przecież zdradzić, mówi za wiele, miał dawniej delirium.

Przez chwilę milczeli.

— A jakże z Wrońskim? — zapytał Botko, marszcząc czoło. — Mógłby w febrze<sup>97</sup> wszystko wygadać.

— Sądzisz?

— Ma wprawdzie zamiar spalić się w willi. Ale ja temu nie wierzę; to tylko chwilowy, histeryczny napad.

Gordon zamilkł.

Botko zdradzał nagłe rozdrażnienie. Chodził niespokojnie tam i na powrót<sup>98</sup>.

— Czy zresztą<sup>99</sup> jesteś zadowolony? — spytał Gordon.

— *All right!* Ale teraz zostaw mnie samego, muszę jeszcze obmyślić to i owo. Obudź mnie wcześniej.

## ROZDZIAŁ TRZECI. CZYN

### I

Burmistrz był w najwyższym stopniu rozdrażniony. Bezaradny biegał dokoła, przerzucał papiery; pot spływał mu z czoła.

Gordon starał się go uspokoić.

— Ależ wuju, nie powinieneś tracić przytomności. To przecież śmieszne, że te drobnotki tak cię poruszają.

<sup>92</sup>poczciwy — w oryg. niem. *brave*: zacy, dzielny, waleczny. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>rozszerzać — tu: rozpowszechniać. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>torfisko — dziś: torfowisko. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>dobrotliwie — w oryg. niem. *vergnügt*: zadowolony, wesoły, szczęśliwy. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>śmiał się jak dziecko — w oryg. niem. *wurde ungewöhnlich fröhlich*: był niezwykle wesoły. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>w febrze — tu: w gorączce. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>na powrót — dziś: z powrotem. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>zresztą (daw.) — co do reszty, poza tym. [przypis edytorski]

— Drobnostki! Drobnostki! Boże, czyś ty oszalał? To nazywasz drobnostką? Pomyśl tylko, piąta proklamacja w tym miesiącu. Piąta! Jedna niebezpieczniejsza od drugiej. To jest u nas coś niesłychanego!

— Musisz się do tego przyzwyczaić. W innych prowincjach przyjmują to z zupełnym spokojem. Ty myślisz zaraz o rewolucjach, mordach, podziale własności. Nie, kochany wuju, tak źle nie jest...

Burmistrz patrzył na niego niedowierzająco.

— Sądziś więc, że rzeczywiście nie ma żadnego niebezpieczeństwa?

— Niebezpieczeństwa? Ależ zmiłuj się! W takim razie musiano by zamknąć do więzienia najmniej dwa miliony socjalistów, anarchistów i jak się tam wszyscy nazywają. Tego się nie robi. Rząd nie może tego zrobić. Musi uznać każdą partię polityczną, a każda partia polityczna ma swobodę agitacji. Ale w każdym razie musisz taki ruch zdusić w zarodku i postępować z możliwą surowością...

— Tak! nieprawdaż?

— Naturalnie! Ale musisz to czynić na własną odpowiedzialność. Wzywać pomocy rządu, to nic innego, jak wystawiać sobie świadectwo ubóstwa. A cóż dopiero wzywać wojsko na pomoc, to mogłoby zachwiać twoim stanowiskiem. Tak źle sprawa się jeszcze nie przedstawia. W kołach rządowych powiedziano by tylko, że się nie zorientowałeś dostatecznie. Pomyśl tylko! Wojsko! To znaczy przecież zaprowadzić stan oblężenia!

Burmistrz chodził niepewny tam i na powrót<sup>100</sup>.

— Tak, tak. Masz słusność. Ja też nie myślę wcale chwycić się ostatecznych środków. Ale zupełnie nie mogę sobie dać rady. Schnittler przylatuje tu każdego dnia i żąda pomocy, bo robotnicy mu się buntują... Patrzaj! Znowu list od niego.

Gordon czytał list z zacięciem.

— Zdaniem moim list jest bezwstydnym. Cóż cię to może obchodzić? Jeśli robotnicy Schnittlera się buntują i są niezadowoleni, to tylko jego własna wina. To prosty lotr<sup>101</sup>. Każdą dziewczynę, która mu się spodoba, bierze do kantoru i gwałci. Niechże teraz sam przekona robotników, że wszystko, co robi, nie przekracza zakresu praw każdego pracodawcy. Gdybyś się ty tą sprawą zajął, wywołałbyś jeszcze większe rozgoryczenie: znaczyłoby to, że się z Schnittlerem solidaryzujesz.

Burmistrz rozwarł szeroko oczy.

— Więc to tak się sprawa przedstawia! Słyszałem wiele o tym, ale nie chciałem temu wierzyć.

Gordon uniósł się.

— Jego powinien być zamknąć. On zatruwa całe miasto. Wszystko, co się tu dzieje i tyle troski ci sprawia, to wszystko rozpustny wpływ Schnittlera. On jeden jest winien temu, że właśnie ta agitacja znalazła tak wspaniały grunt.

— Tak! Masz z pewnością słusność. Dam mu porządną nauczkę. To przecież bezwstydne, pisać mi odgrająjące listy.

— Jeśli się jeszcze raz poważy, ja odpowiem mu w twoim imieniu!

Burmistrz był zupełnie wzruszony.

— Kazaleś zamknąć głównych krzykaczy z jego fabryki? — zapytał Gordon po chwili.

— Tak. Czy może niedobrze zrobiłem?

— Owszem. Dobrze. Ale teraz postępuj ostrożnie, pogorszyłbyś tylko położenie, a mógłbyś się pozbyć stanowiska. Majątku nie masz, a ja najpóźniej za rok zbankrutuję.

Burmistrz biegał niespokojnie po pokoju.

— Tak, tak, masz słusność. Jakie szczęście, że mam cię przy sobie. Pomyśl tylko, chciałem już pisać do Berlina po kilku zdolnych agentów politycznej policji...

— Ładnie byś się skompromitował. Czy znasz odpowiedź? Znasz? Nie, więc słuchaj: skoro burmistrz miasta z dziesięciu tysiącami mieszkańców może się tak przerazić kilku politycznymi proklamacjami<sup>102</sup>, w takim razie nie zna zupełnie politycznych stosunków naszego czasu... To mogłoby się źle skończyć.

<sup>100</sup>na powrót — dziś: z powrotem. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>To prosty lotr — w oryg. niem. *Er ist ein Schwein*: to świnia. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>burmistrz z dziesięciu tysiącami mieszkańców może się tak przerazić kilku politycznymi proklamacjami — dziś popr.: (...) z dziesięcioma tysiącami (...) kilkoma (...). [przypis edytorski]



— Tak, tak, teraz rozumiem dobrze. Nie mogę teraz wcale zrozumieć, jak mogłem tak się przerazić; ale te wieczne listy, te anonimowe listy.

Gordon śmiał się.

— Na Boga, jakis ty naiwny, wuju! Wszakże to najpospolitsza i najgłupsza taktyka na świecie. Anarchiści zowią to: wzbudzeniem trwogi. Czy wiesz, dlaczego anarchiści rzucają bomby? Tylko po to, aby mieszczaństwo utrzymywać w ciągłej śmiertelnej trwodze. Ten środek straszących listów jest we Francji np. tak zużyty, że żaden człowiek nie zwraca na niego uwagi. Prezydent francuski otrzymuje codziennie setki podobnych listów, co jednak mu zupełnie nie przeszkadza chodzić swobodnie po ulicach...

— Tak, tak, wiem... — burmistrz zdawał się wstydzić swego nieuctwa... — Ale jestem tak nerwowo, spać nie mogę...

— Pokaż mi zresztą te listy. — Gordon wzruszył wzdargliwie ramionami.

Burmistrz podał mu całą paczkę listów.

Gordon przejrzał je uważnie, nagle zmarszczył czoło.

— Dziwne, dziwne — przemówił bardzo poważnym tonem.

— Co jest dziwne? — burmistrza znowu obejmował wielki niepokój.

— Ten list... Wiesz, zupełnie taki sam otrzymałem trzy miesiące temu, kiedy spłonęła moja stodoła.

— Tak, przypominam sobie.

— A teraz chce spalić starostwo.

— Co? Co mówisz?

Gordon siedział zamyślony i bawił się listem, nagle zerwał się, jakby mu przyszła dobra myśl.

— Co? Co mówisz? — burmistrz chwiał się na nogach.

Gordon uderzył się w czoło. Nieco po aktorsku, jak mu się samemu zdawało.

— Teraz mam. Dziwna rzecz, że pierwaj na to nie wpadłem. Mój leśniczy, którego zastrzelono przeszłego roku, mówił także o listach anonimowych...

— Ale co — co?

— Więc nie domyślasz się jeszcze? kto pisał te listy?

— Nie!

— Naturalnie, kłusownik Sobek!

— Ale wczoraj dostałem wiadomość, że przeszedł granicę.

— W takim razie jest chytrzejszy od nas wszystkich. Każe nam wierzyć, że uciekł, a może siedzi tu w jakiejś dziurze. Moją stodołę spalił, mszcząc się za to, że doniosłem do sądu, iż on jest mordercą, teraz chce spalić starostwo, bo starosta naznaczył tysiąc marek nagrody za schwytanie go.

Burmistrz stał z otwartymi ustami.

— To się zgadza. Ale czemu zawiadamia nas ten łotr?

— To jest jego niesłychanie bezczelna brawura. Zresztą wszyscy oni tak robią. Zapewne stary zwyczaj, jeszcze z czasów sądów tajemnych.

— Tak, prawda, tak...

Gordon stał zamyślony przy stole.

— Łotr ma odwagę. Ale to odwaga rozpaczy. Tym razem się nam nie wymknie.

Nagle zatrzymał się.

— Słuchaj, wuju. Jeżeli ten łotr pisze, że chce spalić starostwo, to ma naturalnie na myśli opactwo.

— Dlaczego?

— Bo starosta tam mieszka i opactwo leży za miastem.

— Tak jest! Naturalnie! — burmistrz obcierał pot z czoła. — Tak jest rzeczywiście! Nie mogłem uwierzyć, aby jeden człowiek się odważył... Starostwo leży przecież w środku miasta.

— Chciał cię naturalnie w błąd wprowadzić; ale to mu się nie uda.

— Nie, nie! Każę opactwa strzec dniem i nocą.

— Ale masz dosyć służby na to? Musisz całe opactwo otoczyć strażami możliwie najgęściej i to dziś jeszcze. Sobek nigdy nie zwleka.

— Naturalnie, natychmiast!

— Ale masz dosyć policjantów?

— Wezmę wszystkich ludzi do pomocy. Trzech służących z ratusza, sześciu policjantów, razem dziewięciu. To wystarczy.

— Tak, to wystarczy. Musisz naturalnie nakazać im najsurowiej milczenie, przedstawić im to jako głęboką tajemnicę urzędową, inaczej by się miasto zaniepokoiło.

— Naturalnie, naturalnie!

— Teraz godzina trzecia. O siódmej każ im udać się na miejsce. Muszę teraz odejść...

— Tak, Gordonie, przyjdź do mnie dzisiaj wieczorem na partię wista.

Gordon namyślił się.

— Z przyjemnością.

— Ale przyjdź trochę wcześniej, może o ósmej.

— Dobrze.

— I nie zapomnij przynieść twego szczęścia do kart.

— Nie, nie...

## II

Skoro<sup>103</sup> Gordon wyszedł na korytarz, spotkał starego Ostapa, niosącego plikę<sup>104</sup> aktów<sup>105</sup> pod pachą. Był tak zamyślony, że go<sup>106</sup> wcale nie spostrzegł.

Zdaje się, że liczy, pomyślał Gordon, doznając przy tym nie milego uczucia. Serce biło mu szybciej.

Na ulicy obejrzał się. Przeciwniegiem chodnikiem szedł powoli Botko.

Diabeł poznałby go teraz z tą brodą! Gordon uśmiechnął się zadowolony.

Zamienili przelotne spojrzenie. Gordon szedł naprzód. Botko postępował za nim w pewnym oddaleniu.

W środku miasta był park. Tu wszedł Gordon. Zmrok zapadł. W parku nie było nikogo. Gordon przeszedł cały park i nawrócił się<sup>107</sup>. Na środku spotkał Botkę.

— O jedenastej godzinie możesz zacząć z fabryką — szepnął mu Gordon. — Daj się widzieć możliwie w wielu miejscach. Przede wszystkim idź do Hutha i spój Kasię. Można jej podsunąć najdziwniejsze sugestie.

Rozeszli się.

Zaledwie Gordon wyszedł z parku, zderzył się z młodym księdzem.

Uśmiechnął się w duszy.

— A! Ksiądz dobrodziej!

— Dobry wieczór, panie Gordon.

Podali sobie dłonie.

— Słyszałeś pan już, że w Schnittlerowskiej fabryce kipi?

Gordon pokiwiał smutnie głową.

— Temu winien jest sam Schnittler. Obchodzi się źle z robotnikami, a oprócz tego demoralizuje ich. On jest ojcem połowy nieprawych dzieci, które księdzu do chrztu przynoszą. Należałoby zamknąć tego człowieka. Jego fabryka stała się wulkanem, który lada chwila wybuchnie.

Ksiądz ponuro spojrział przed siebie.

— To ręka Boga! Nigdy w moim życiu nie widziałem takiej zgnilizny moralnej, jak tu właśnie.

— Tak, niestety... — Gordon był bardzo strapiony. — Z góry lud bierze zły przykład. Nie ma jednego tygodnia bez jakiegoś skandalu w towarzystwie. *À propos*: czytałeś pan ostatnią proklamację? Widziałem ją u mojego wuja. Oburzające!

— Sam antychryst ją pisał. Tylko antychryst może pobudzać lud do gwałtów w imieniu Zbawiciela.

— Tak, źle jest — rzekł Gordon.

— Teraz jednak nie będąc się powodował żadnymi względami! — kapłan gorzał fanatyzmem. — Publicznie z kazalnicy napiętnuję te gniazda zarazy, w których szatan święci swe orgie. Tu — wokoło: złota młodzież!

<sup>103</sup>skoro (daw.) — gdy tylko, kiedy. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>plikę (daw.) — dziś r.m.: plik. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>aktów — dziś w tym znaczeniu („dokumenty”) D.lm: akt. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>go — Gordona. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>nawrócił się — tu: nawrócił a. zawrócił. [przypis edytorski]

Zamilkł, oburzenie nie pozwoliło mu dalej mówić.

— Spotkamy się dzisiaj zapewne u mojego wuja? — zapytał Gordon.

— Tak, właśnie otrzymałem zaproszenie.

— Więc do zobaczenia.

Ścisnęli sobie serdecznie dłonie.

Gordon spoważniał. Było mu zimno, niemiły wiatr ciał go po twarzy.

Jakie szczęście, że śnieg stopniał! pomyślał.

Teraz musiał iść do Wrońskiego.

Uczucie trwogi i litości przepelniało jego duszę. Ale nie dał się owładnąć.

Wroński musiał przecież umrzeć, bądź co bądź.

Przeszedł wzdłuż rynku. Czuł się samotnym i opuszczonym.

Myślał o Ostapie. Dlaczego ten człowiek tak strasznie go nienawidzi?

Ale myślenie sprawiało mu ból. Odruchowo spojrzął ku oknom Heli.

Uśmiechnął się smutnie.

Kiedy zboczył w uliczkę prowadzącą do mieszkania Wrońskiego, poczuł straszny ciężar. Był cały jak ubezwładniony<sup>108</sup>, uczucie niewysłowionego smutku wessało mu się jak trucizna w każdy nerw.

Poszedł na górę i wszedł do pokoju, nie czekając odpowiedzi na zapukanie.

Wroński wyszedł naprzeciw niemu. Twarz jego była zmieniona od czasu, kiedy go Gordon widział raz ostatni. Gordon zadziwił się. Nie mógł sobie wyobrazić, że twarz w ciągu kilku dni może się tak zmienić.

Zresztą<sup>109</sup> Wroński zdradzał pewność siebie.

— Więc cóż, Stefanie?

Gordon spojrzął na niego badawczo.

— Co?

— Jesteś pan gotowy?

— Tak.

— Więc dzisiaj!

— Dzisiaj?

Wroński cofnął się bezwiednie i zadrzał.

— Dzisiaj?! — powtórzył bezdźwięcznie.

— Tak. Dzisiaj. Nie czujesz się pan na siłach? — spytał Gordon i spojrzął na niego z uśmiechem.

Wroński z trudem przychodził do siebie.

— Tak. Naturalnie... Tylko przyszło to tak niespodzianie... Ja — nie spałem kilka nocy... jestem bardzo nerwowy.

Kaszłał.

— Dzisiaj więc! — Gordon mówił tonem rozkazującym, prawie surowym. — O dziesiątej godzinie musisz się pan dać zamknąć, a potem czekać, aż pan usłyszysz bicie dzwońców.

Wroński drżał jak osika. Nie mógł się utrzymać na nogach i byłby upadł, gdyby go Gordon nie podtrzymał.

— Boisz się pan? — spytał Gordon z wyrazem najwyższego zdziwienia.

Wroński nie odpowiedział. Ukrył twarz w dłoniach, ale ramiona drgały mu tak gwałtownie, że twarz zdawała się kołysać.

Gordon zaniepokoił się.

— Co panu brakuje? — szepnęła wzruszonym<sup>110</sup> głosem.

Wroński zerwał się, rozejrzał się błędnie dookoła, wpatrzył się przez chwilę w Gordona. Usta jego poruszały się gwałtownie, skrzywiały<sup>111</sup>, ale nie mógł słowa powiedzieć.

— Nie mogę! — wyjęknął<sup>112</sup> z trudem po chwili.

Gordon drgnął. Zdało mu się, że cały jego plan runął i zagrzebał go pod gruzami.

Spojrzął z uwagą na Wrońskiego.

<sup>108</sup>ubezwładniony — tu: obezwładniony. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>zresztą (daw.) — tu: poza tym, co do reszty. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>wzruszonym — w oryg. niem. *erregter*: podniesiony. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>skrzywiały — dziś raczej: krzywiły a. wykrzywiały. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>wyjęknął — dziś raczej: wyjąkał a. jęknął. [przypis edytorski]

— No, jeśli pan myślisz, że nie masz dość odwagi, to...

— Nie mów pan dalej — wykrzyknął nagle Wroński — nie mów!

— Wybacz, sprawa jest za poważna, mój kochany Wroński...

Gordon zadawał sobie wiele trudu, aby ukryć silne drżenie.

— Bardzo poważna! Na niej opiera się cały plan.

Wroński rozgorączkowany biegał wkoło.

— Uspokój się pan, nie unoś się tak... Zresztą, dajmy pokój.

Gordon zabierał się do odejścia.

Wroński przyskoczył do niego.

— Zrobię! Zrobię to! Mów pan tylko ze mną... Mów... Tylko w tej chwili, kiedy powiedziałeś pan tak niespodzianie: „Dzisiaj!”... wtedy zdało mi się, że piorun we mnie uderzył. Teraz odzyskuję panowanie nad sobą... Jest we mnie coś innego, co powiedziało to „nie”...

— Nie, Wroński, nie mam czasu. Nie mogę się na to narażać, że w rozstrzygającej chwili powiesz pan *nie*.

Wroński milczał. Owładnęła nim głucha wściekłość. Piana wystąpiła mu na usta.

Gordon patrzył na niego niespokojny i zdziwiony.

— Jeżeli ja — ja... — głos Wrońskiego drżał tak, że jękał się całkiem niezrozumiale

— jeżeli mówię: zrobię to — to zrobię!

Gordon usiadł znowu.

— Słuchaj pan, panie Stefanie, jeżeli pan tego nie możesz zrobić — Gordon mówił bardzo łagodnie — to ja sam zrobię... nie unoś się pan. Mówię do pana całkiem spokojnie. Nie wezmę tego panu wcale za złe.

— Dość tego! Zrobię!

Oczy Wrońskiego miały ogień.

— Masz herbatę Wroński? Mam czas do siódmej, do wpół do ósmej; chętnie posiedzialbym i pogawędził z panem.

— Chciałbyś pan? — Wroński odetchnął swobodniej. — To dobrze, bardzo dobrze. Widzisz pan, znowu jestem jak dawniej. Po prostu nie rozumiem tego nagłego osłabienia. Nie spałem tak długo, a Pola także chora...

— Pola chora?

— Tak, zaziębiła się silnie, ale to nic złego... Mnie także lepiej... He, he... oczywiście, bo marznie. Wilgoć mnie zabija. Ale to głupstwo.<sup>113</sup> Umierać muszę, tak czy owak.

Gordon spojrział na niego łagodnie<sup>114</sup>.

— Słuchaj pan, dzisiaj nie pan jeden będziesz pracował... Stanie się coś, przy czym wszystkie dzwony zajączą... Niedaleko za miastem... Wszyscy ludzie pobiegną tam... całe miasto...

Wroński słuchał. Odczuwał dziwną lekkość.

— I przysięgam, że nawet cień podejrzenia nie padnie na pana... Zresztą będę pana oczekiwał za mostem.

Wroński doznał uczucia serdecznej wdzięczności. Pochwycił dłonie Gordona i ścisnął je gwałtownie.

— Nie masz pan dzisiaj febry<sup>115</sup>? — pytał Gordon. — Nie kaszlesz także.

— Nie, nie... Zażyłem bardzo wiele kreozotu... Febry nie mam także... Nie, nie... — Wroński promieniał radością.

— To będzie iluminacja. Tylko ja tak straciłem odwagę. Przed kilku dniami zrobiłem próbę... która się nie powiodła... Ale wówczas miałem silną febrę. Przecież mi pan ufasz.

— Otóż, Wroński, wąpiłem tylko chwilę, ale wiedziałem, że nawet sam nie zdawałeś sobie z tego porządnie sprawy.

Wroński wpadł w dziwny zachwyty. Wszystkie jego członki drgały, jakby były samodzielnymi organizmami.

Gordon z niepokojem patrzył na niego.

<sup>113</sup> *Wilgoć mnie zabija. Ale to głupstwo.* — w oryg. niem. *Ich lasse mich nicht dadurch düpiieren* (Nie dam się temu [polepszeniu] nabrać); red. WL. [przypis edytorski]

<sup>114</sup> *łagodnie* — w oryg. niem. *lange*: długo. [przypis edytorski]

<sup>115</sup> *febra* — tu: gorączka. [przypis edytorski]

— Nie masz pan trochy<sup>116</sup> koniaku?  
 — Mam, mam...  
 Wychylili pełne szklanki.  
 Wroński znowu się uspokoił.  
 — Wszystko tak urządziłem, że nie mogą pana schwytać — mówił Gordon. — Nawet włos panu z głowy nie spadnie.  
 — Dobrze, dobrze... ale czekaj pan na mnie! muszę czuć obecność pańską... Muszę czuć; rozumiesz pan?  
 — Tak.  
 Milczeli chwilę.  
 Wroński zapadał powoli w apatię.  
 Gordon znowu spojrział na niego z niepokojem.  
 — Myślisz pan jeszcze o willi? — zapytał.  
 — Willa?  
 Wroński spojrział na niego, jakby zbudzony ze snu.  
 — Tak, willa!  
 — Ach, tak! Oczywiście. Przygotowałem wczoraj wszystko. Wszystko w porządku. Przygotowałem wspólnie z moim kuzynem. Będzie dużo, dużo światła. Stary Goethe byłby zadowolony<sup>117</sup>.  
 Wstrząsnął się nagle jak w febrze.  
 — Co panu jest?  
 — Nic, nic! Już przeszło. — prawie gwałtownie zerwał się. — Widzisz pan, jest mi lepiej dzisiaj, ale — ale czuję ją coraz bliżej i bliżej. Nigdy nie czułem jej tak blisko.  
 — Kogo?  
 — Śmierć! Śmierć! Czuję mojego trupa, widzę, jak się rozkłada, przechodzi w zgniliznę.  
 Rosła w nim śmiertelna trwoga.  
 — A dzisiaj ostatnia radość... Zapominam czasem na kilka chwil, że mam umrzeć i wtedy boję się, że to lub owo mogłoby mi zaszkodzić. Ale mi przecież już nic zaszkodzić nie może...  
 Opadł znowu na krzesło.  
 — Człowiek nie jest w normalnym stanie, jeżeli wie, że musi umrzeć — rzekł z cichym, chorobliwym uśmiechem.  
 — Mogę się zobaczyć z pańską siostrą?  
 — Nie, nie, śpi. — Zostaw pan w spokoju to biedne kurczę... tak, kurczę... Widziałeś pan kiedy chore kurczę? To straszny widok! Serce może człowiekowi pęknąć... A ona chora. Jej serce chore. Zdaje mi się, że to Hela Mizerska wywarła na nią straszliwy wpływ. Nie mówi nic, tak nagle schudła...  
 Wroński wybuchnął spazmatycznym płaczem, ale tylko na chwilę.  
 — Kocham ją — powiedział i spojrział na Gordona z dziecinnym, bojaźliwym uśmiechem.  
 Gordon czuł znowu, jak rozciągnęła się nad nim bezbrzeżna samotność i tęsknota, ale otrząsnął się i wypił szklankę do dna.  
 — Masz pan silny<sup>118</sup> koniak — powiedział.  
 — Nieprawda<sup>119</sup>? Mój kuzyn mi go przynosi.  
 Nagle wpadli obaj w wyborny humor całkiem bezpośrednio<sup>120</sup>.  
 — Mój kuzyn jest zwolennikiem podziału własności.  
 Śmiali się serdecznie.  
 — Jest śmiały<sup>121</sup> jak kot, wdrapuje się po ścianach.  
 Znowu śmiali się ze znakomitego dowcipu.

<sup>116</sup>trochy — dziś popr.: trochę. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>Będzie dużo, dużo światła. Stary Goethe byłby zadowolony — nawiązanie do słów „Więcej światła!”, jakie miał wypowiedzieć Goethego na łożu śmierci. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>silny — tu: mocny. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>Nieprawda? — raczej: „Prawda?” a. „Nieprawda?”. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>bezpośrednio — w oryg. niem. *unvermittelt*: znienacka, nagle. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>śmiały — w oryg. niem. *geschickt*: zręczny, zwinny. [przypis edytorski]

— Rozlepia odezwy po gmachach publicznych — Wroński promieniał radością... — Wczoraj omal go nie schwytano. Uciekał, jak mógł najszybciej. Zwinny policjant tuż za nim. Nagle mój kuzyn przykucnął na ziemi, policjant przeleciał z całym rozmachem przez niego i całym ciałem runął na chodnik, jak ropucha.

Śmiali się tak, że Wroński zaledwie mógł mówić dalej.

— Całą skórę zdarł sobie z twarzy o bruk.

— Czy nie poznano go?

— Zaledwie wiedzą o jego istnieniu. Prowadzi żywot ukryty w cieniach. Zresztą czemu kam na niego, ma mi przynieść ostatnią wiadomość.

— Więc teraz nie mogą widzieć Poli? — zapytał bezpośrednio<sup>122</sup> Gordon.

— Nie, nie... teraz nie... śpi.

Nagle roztwarły<sup>123</sup> się cicho drzwi, siedmioletni chłopiec wsunął się do pokoju, stanął przy piecu i patrzył na obydwóch z zakłopotaniem.

— Co to jest? — zapytał Gordon.

Wroński się zmieszał.

— Znalazłem go kilka miesięcy temu... Matka mu umarła, a ojciec wygnał go na żebrzy...

Gordonowi przyszedł na myśl kanarek. Zaniepokoił się. Sam nie wiedział, dlaczego. Czyżby Ostap rzeczywiście miał słuszną?

Powstał.

— Więc do widzenia, Stefanie... po dokonanych czynie...

Uśmiechnął się, wyjął z kieszeni garść pieniędzy i dał chłopcu.

— Lubisz pan dzieci? — spytał Wroński.

— Tak. Bardzo. Chciałbym chętnie<sup>124</sup> mieć dzieci... Pozdrów pan ode mnie Polę...

I... — kończył szeptem — nie zapomnij pan, że masz czekać bicia dzwonów...

— Nie! nie!

### III

Ale zaledwie Gordon wyszedł, ogarnął Wrońskiego na nowo straszny niepokój.

Chciał się rozerwać, bawił się i rozmawiał z chłopcem, ale nic nie pomogło.

Wreszcie zaczęła go dręczyć obecność chłopca. Musiał być sam, musiał mówić z samym sobą. Kazał chłopcu odejść.

Położył się na łóżku.

Obawiał się napadu gorączki i nastawił budzik na dziewiątą godzinę.

Gdyby mu tylko mógł zbudzić ze snu śmierci, pomyślał i uśmiechnął się. Potem myślał, jaka to będzie iluminacja! Szkoda, że dzisiaj nie są Gordona urodziny. Szkoda! Ale dobrze, że Gordon będzie tam stał: skoro odczuje obecność jego, wszystko będzie dobrze... Widział już teraz, jak się ostrożnie czołgał ku Gordonowi, jak Gordon spojrział z podziwem na niego; serce mu rosło.

Ale dreszcze wróciły. Był zdumiony.

— Skąd te przekłete dreszcze? Myślałem przecież o czym innym... Nie! Tylko leżeć spokojnie, a wszystko przejdzie...

Ale nie przeszło, owszem, pogorszyło się.

To przecież nie była trwoga. Nie, ani śladu. Wczoraj jeszcze drżał z radości, myśląc o wspaniałej iluminacji... Gdyby tylko mógł odnaleźć wczorajszy szal swojej nienawiści!

Przeszedł myślą uważnie całe swoje życie, rok za rokiem, jeden rok nędzy, głodu i choroby za drugim; myślał o tysiącnych upokorzeniach, jakie musiał znosić, żebrząc o chleb codzienny dla siebie i dla Poli. Myślał o bezgranicznej nędzy i ohydzie, szalał, ale wczorajszej nienawiści nie mógł odnaleźć.

— No! W takim razie będę się uczył nienawidzić! — krzyczał jak szalony. — Sam wytworzę sobie potrzebną nienawiść!

To świństwo! Został upokorzony, wyśmiany, wzgardzony słowem i spojrzeniem, a teraz nie czuł nawet nienawiści. Czyż już to żebractwo całkiem jego dumę przeżarło? He,

<sup>122</sup>bepośrednio — w oryg. niem. *unvermittelt*: zniemacka, nagle. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>roztwarły — dziś popr.: rozwarły a. otwarły. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>chętnie — tu: bardzo (kalka językowa z niem.). [przypis edytorski]

he, be... Po co to śmieszne gadanie? Czyż w ogóle potrzebował się przygotowywać? po prostu zrobi, musi wszystko zrobić!

Ogarnęła go taka wściekłość, że z trudem tylko powstrzymał się, aby się nie bić po twarzy.

A jak się pięknie Gordonowi przedstawił! Zdruzgotany, złamany. A potem ta jękliwa i płacziwa odpowiedź: „nie mogę!”.

Nie powinien dalej o tym myśleć. Zresztą kaszel odwrócił jego uwagę.

— Teraz już ani słowa więcej.

Wkrzykiwał to w siebie.

Zresztą było już za późno na namysły. Za późno. Nie wiedział, dlaczego było za późno, nie było żadnych przyczyn. Teraz musiał działać, choćby mu serce miało wyskoczyć z piersi ze strachu.

Wstał, napił się i położył się znowu.

Nagle nie czuł już trwogi. Był szczęśliwy, że nie potrzebował więcej myśleć o swoim czynie. Postanowienie było powzięte. Więc po co jeszcze myśleć?

— Dziwna rzecz, przez czternaście dni jest człowiek zdecydowany coś zrobić, a potem nagle w ostatniej chwili zaczyna się wahać...

To była ta tchórzliwa natura psa, jaką zrodziła w nim nędza i upokorzenie... Upokorzenie, na które musiał się narażać dla Poli. Czyż mógł pozwolić, aby Pola umarła z głodu?

Najważniejszą jest rzeczą — mówił do siebie — powziąć zamiar i tak potężnie go rozwiniąć, aby mógł człowieka unieść w powietrze... Przypomniał sobie czarownika Szymona Maga, który także mógł się unosić w powietrzu. Dlaczegoż by nie?

Wyraźnie przecież czuję w sobie dwu ludzi, dwu ostro odgraniczonych ludzi, różniących się o całe niebo. Dlaczego człowiek, który powziął zamiar, nie mógłby nosić na sobie innego człowieka, drżącego z trwogi? Jednym z tych ludzi jest oczywiście wola Gordona, rozkaz Gordona: ale to przecie obojętne.

Leżał na łóżku. Chwilami strach go przejmował. Zdawało mu się, że od czasu do czasu krew w jego żyłach zatrzymuje się i dopiero po chwili odnajduje dalszą drogę. Ale to nie niepokoilo go nadzwyczajnie, był przecież przyzwyczajony do tego.

Wsluchiwał się w tykotanie zegara, gniewał się, bo uderzenia wydawały mu się nieregularne, starał się sprostować swój błąd i zapadł znowu w stan apatii.

Nagle przyszła mu dziwaczna myśl.

A gdyby nie potrafił podnieść się? nie potrafił wyjść z pokoju, przekraść się chyłkiem ulicami do ratusza?...

Zdawało mu się, że rzeczywiście nie potrafi. Pasował się rozpacznie<sup>125</sup> sam z sobą. Członki jego obezwaładniały<sup>126</sup>. Miał wrażenie, że mu nogi zamierają. Nie mógł podnieść ręki. Powąła<sup>127</sup> zniżała się powoli, stawała się niby płynną masą metalu, która kołysała się tu i tam, zbijając w olbrzymią kulę i podniosła się nagle w górę, jakby do rozmachu, aby ze straszną siłą zwalić się na niego i zmiażdżyć go.

— Szaleństwo! — krzyknął. — Wszakże to tylko maligna.

Uśmiechnął się pogardliwie.

Ale nie mógł leżeć. Musiał wstać i zbudzić Polę... Ale któż mu powiedział, że Pola śpi? Skąd przyszła ta myśl obłądna, że Pola śpi? Naturalnie nie śpi...

Pozostał jednak na łóżku, w tej samej chwili zapomniał, że chciał iść do niej.

Odwrócił się do ściany, ściana była wilgotna.

— Aha! pleśnie, pleśnie!

Przyglądał się uważnie drugie ścianie.

— Teraz czwarta część ściany jest zapleśniała. Po miesiącu pleśń dosięgnie brzegu tapety, jeszcze za miesiąc dojdzie do wzorów kwiatowych...

Zerwał się przestraszony.

— Ach, to ty, Franek.

Franek zamknął przezornie drzwi.

— Nikt tu nie wejdzie?

— Nie!

<sup>125</sup>rozpacznie (daw.) — dziś: rozpaczliwie. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>obezwaładniały — dziś popr.: stały się bezwładne. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>powąła — sufit. [przypis edytorski]

Franek przysunął się do Wrońskiego i szeptął:  
 — Wszystko w najpiękniejszym porządku. Wejdiesz przez furtkę ogrodu zimowego. Ogrodnik i woźnica są na weselu. Tylko Ulicha jest w domu. Z powrotem możesz wyjść drzwiami od werandy. Będę czekał na ciebie i wszystko ci dokładnie pokażę.  
 — Dobrze, dobrze! — Wroński mówił z zupełną apatią.  
 — Czy ty rzeczywiście to zrobisz? — szepnął Franek z niedowierzaniem.  
 Wrońskiego ogarnął szal<sup>128</sup>, rzucił Frankowi piorunujące spojrzenie, ale nie rzekł ani słowa.  
 — Nie... nie szalej — myślałem tylko... Zresztą to tylko zabawka dziecinna<sup>129</sup>.  
 — Jakże z odezwą?  
 Franek klasnął<sup>130</sup> językiem i uśmiechnął się.  
 — Teraz rozlepię ją po wieżach kościelnych... Masz co do picia?  
 — Tam!  
 Po chwili Wroński spojrział na niego podrażniony.  
 — Przecież to nie do wiary, jak taki smarkacz umie pić.  
 Franek obraził się.  
 — Ciekawy jestem, co byś począł bez tego smarkacza. Możesz ledwie łązić! Ale daj mi koldrę lub coś podobnego, marznę... Kiedy śnieg padał, zacinął do wnętrza, podłoga zamokła, a teraz zamarzła. Można by się ślizgać...  
 — Nie kłam tak bezwstydnie!  
 — Jesteś dzisiaj zuchwały, Stefanie. Masz pewnie znowu jakiś napad... No, nic nie szkodzi. Znamy się przecież dobrze... Ale jeżeli ty nie będziesz mógł tego zrobić, to ja sam zrobię. Będę czekał na ciebie do pierwszej. Potem sam zrobię. Do widzenia!  
 — Idź do diabła! — krzyknął za nim Wroński.  
 Zatrzymał się zamyślony w środku pokoju. Jak długo tak stał, nie wiedział. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby o czymś myślał.  
 Rozejrzał się, poszedł do kuchni i nadśluchiwał, potem otworzył ostrożnie drzwi i wszedł.  
 Pola nie spała.  
 Siedziała na łóżku i wpatrywała się w Stefana.  
 — Jak się czujesz, Pola?  
 — Och, lepiej, lepiej... Pragnę tylko spokoju... Stefanie<sup>131</sup>.  
 Błagalnie patrzyła na niego.  
 — Tak, tak... Ale słuchaj, muszę odejść... niech cię to nie niepokoi... za godzinę lub za dwie powrócę.  
 — Idziesz teraz? W nocy?  
 — Nie, nie... tylko na drugą stronę ulicy. Przyjechał jeden z kolegów i przysłał po mnie. Stoi<sup>132</sup> w hotelu na rynku...  
 Usiadł odruchowo i patrzył na nią błędnie.  
 — Co ci jest, Pola? Dlaczegoś taka smutna?  
 Nie odpowiadała.  
 — Nie chcesz, nie możesz mi odpowiedzieć?  
 — Nie pytaj! Nie pytaj!  
 — Czy to o Gordona? — zapytał z zapartym oddechem i powstał.  
 Spojrzała na niego z przestraszeniem.  
 — Czy to o Gordona? — zapytał drżącym głosem.  
 — Co, co mówisz? — patrzyła na niego z rosnącą trwogą.  
 — Nie rozumiesz?  
 — Nie!  
 Usiadł znowu, ujął jej ręce, gładził je pieszczotliwie, potem wstał i, nie mówiąc słowa, wyszedł.

<sup>128</sup>ogarnął szal — w oryg. niem. *wurde rasend*: był wściekły. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>zabawka dziecinna — tu: błahostka, bułka z masłem. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>klasnął językiem — w oryg. niem. *schnalzen*: mlasnąć językiem. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>Pragnę tylko spokoju... Stefanie — w oryg. niem. *Lass mich in Ruhe, Stefan* (Zostaw mnie w spokoju, Stefanie); red. WL. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>stoi w hotelu — tu: zatrzymał się w hotelu. [przypis edytorski]



Na schodach całkiem odruchowo pomacał kieszenie.

— Dla Boga, nie mam zapalek!

Wrócił i znowu stał długo na środku pokoju.

Przeraził się.

Jeśli tak dalej pójdzie, pochwyć mnie, nim dojdę do ratusza, myślał z rozpaczą. Muszę teraz wyczerpać wszystkie siły, muszę czuwać na sobą.

Ożywił się, szukał niepotrzebnie bardzo długo zapalek i zdawało mu się przy tym, że pokonał już szczęśliwie kilka przeszkód, włożył je do kieszeni, przekonawszy się dokładnie, że nie jest dziurawa, potem chciał zgasić lampę, ale namyślał się bardzo długo, chociaż nie wiedział, czemu by jej nie miał zgasić, i wyszedł.

Dopiero później dręczyła go myśl, że zapomniał zamknąć drzwi.

IV

— Boże, Boże, jak ty wyglądasz?

Hela podniosła się, ale musiała się znowu położyć. Wydawała się bardzo chora.

Ostap chciał się uśmiechnąć, ale uśmiech zamarł mu na wargach, twarz skrzywiła się bolesnym grymasem.

— Jakiś ty znękany! — jękała<sup>133</sup>. — Jak ty wyglądasz?

— Hela, jestem ci wdzięczny. Myślałem, że mnie wcale nie przyjmiesz, a ty litujesz się nawet nade mną.

Nie odpowiedziała. Nastąpiło długie milczenie.

Ostap gryzł nerwowo papierosa. Nagle spojrzął na nią bardzo spokojnie.

— Przypominasz sobie, Hela? — mówił głosem zachrypłym i bardzo cichym. — Przypominasz sobie te czasy, zanim ten Belzebub, ten Gordon cię odwiedził? Nie kochałaś mnie, ale było ci przy mnie dobrze. Szukałaś u mnie obrony<sup>134</sup>, a ja dałem ci ją. Byłaś także dumna: czułaś, że wyratowałaś mnie z przepaści, i to dawało ci siłę, zmniejszało rozpaczę. Przypominasz to sobie?

Chwyliła się obiema rękami za głowę.

— Nie mów o tym! Nie mów. Chciałabym ci dać całe moje serce, gdyby ci to mogło co pomóc; ale ten człowiek mnie zniszczył, poszarpał moją duszę. Krwawie, krwawie! Nie mogę myśleć o niczym innym, nie mam innego uczucia, ja — ja...

Wybuchnęła płaczem.

Ostap nigdy przedtem nie widział jej płaczącej.

— Czemu przyszedłeś do mnie, Ostapie, czemu? Czemu właśnie do mnie?

Spoglądała na niego, łkając.

Nie odpowiedział. Bardzo dokładnie widział zniszczenie na jej twarzy. Oczy zapadnięte głęboko, schudła straszliwie... Zapomniał o wszystkim, badał prawie jej zniszczoną twarz... Jakież zniszczenie może sprawić boleść na nędznej ludzkiej twarzy!

— Czemu przyszedłeś do mnie? — powtórzyła i ujęła go za rękę.

Namyślał się. Ale nie mógł zebrać myśli.

Wstrząsnęła<sup>135</sup> nim.

— Co ci jest Ostapie? Boże, co ci jest?

Spojrzął na nią rozpacznie<sup>136</sup>.

I znowu począł mówić cicho.

— Tam, wśród rozpusty<sup>137</sup>, opanowała mnie myśl, że w końcu przecież mogłabyś mnie uratować. Zdawało mi się, nie, rozmyślałem nad tym, że jesteśmy oboje najniezwyklejsi, że my oboje...

Zamilkł nagle.

— Ale tego nie da się zrobić — przemówił po chwili. — Teraz widzę, że się nie da...

Usta jej drgały, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie mogła.

Zaczęła na nowo łkać i dopiero po długim czasie zdołała się uspokoić.

— A co teraz? — spytała nagle.

<sup>133</sup>jękała — dziś popr.: jęknęła. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>obrony — w oryg. niem. *Schutz*: schronienie, opieka, osłona. [przypis edytorski]

<sup>135</sup>wstrząsnęła — tu raczej: potrząsnęła. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>rozpacznie (daw.) — dziś: rozpaczliwie. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>wśród rozpusty — w oryg. niem. *in dem Bordell*: w domu publicznym, w burdelu. [przypis edytorski]

— Co teraz? — powtórzył poważnie<sup>138</sup> i uśmiechnął się boleśnie<sup>139</sup>.  
 — Ostap! Zerwała się i chwyciła go za ramiona... Słuchaj... Ty nie myślisz przecie...  
 Wsparł głowę na rękach.  
 Wstrząsnęła<sup>140</sup> nim.  
 — Ostap!!  
 Spojrzał na nią i uśmiechnął się.  
 — Kocham cię, Helu. Nigdy nie kochałem cię tak, jak teraz. Zapomniałem o wszystkim. O niczym nie myślę. Widzę tylko ciebie w świętej potędze bólu i rozpacz. Mam cię w sobie, noszę cię w moim sercu, oderwaną od wszystkich twoich stosunków<sup>141</sup>, ale teraz mam cię<sup>142</sup>, *teraz* nagle zrozumiałem, że myliłem się, sądząc, że możemy przy sobie znaleźć spokój.  
 — Nie! Nie! Nie my... nie my!  
 — Och! — ja nie wiem, czyja rozpacz jest większa, twoja czy moja?  
 Powstał, ukląkł przed nią, ujął jej ręce i całował długo i gorąco.  
 — W imię mojej wielkiej zbrodni rozgrzeszam cię ze wszystkich win! — przemówił nagle uroczyście, na wpół w obłędzie.  
 Ale w tej chwili oprzytomniał, powstał szybko, i nie patrząc na nią, wyszedł z pokoju. Była zupełnie oszołomiona.  
 — Ostap! Ostap! — krzyknęła po chwili i wybiegła za nim.  
 Ale on był już na ulicy.

## V

Skoro<sup>143</sup> wrócił do domu, zaczął chodzić po pokoju w gorączkowym rozdrażnieniu. W duszy jego zagościła błędna samotność<sup>144</sup>. Serce uderzało gwałtownie i nieregularnie.

Tą przekłętą rozpustą zniszczyłem sobie serce<sup>145</sup>!

Nieco alkoholu, a zaraz doprowadzę cały organizm<sup>146</sup> do porządku.

Pił z flaszki. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie używa kieliszka. Dziwna rzecz, teraz zawsze musiał pić z flaszki.

To należy także do psychologii dzieci szatana. Uśmiechnął się pogardliwie.

Alkohol sprowadził senność. Nie! wcale nie alkohol, tylko orgie, orgie, przyjacielu Horatio! Dwie bezsenne noce w objęciach Kasi! Hu! jakież jestem znużony... Kości jak rozbite! No, czcigodny panie Ostapie Posthumus<sup>147</sup>, daj mi teraz spokój. Pocziwy pan ojciec chce spać.

Ale nie mógł spać. Nie mógł.

— To ostatecznie nic złego. Alkoholicy zapadają nagle, od razu, w sen, zupełnie jak taki Aleksander Wielki, taki Byron, taki Gordon...

Uśmiechnął się złośliwie.

— Czy też Karol XII był alkoholikiem?

— Ha, ha, ha — a mistyczny Sobek, idealny Sobek, który od roku ziemię gryzie! Ha, ha, ha... Cześć ci, królu Syjoński! Sobek jest dobry... pieniądze będą. Dziesięć miast można by za nie w popiół obrócić. Brawo, Gordon! Zapisalem ci ciało i duszę, służę ci z rozkoszą, z rozkoszą he, he, he...

<sup>138</sup> *poważnie* — w oryg. niem. *nachdenklich*: zamyślony. [przypis edytorski]

<sup>139</sup> *boleśnie* — w oryg. niem. *schiefen*: krzywo. [przypis edytorski]

<sup>140</sup> *wstrząsnęła* — tu: potrząsnęła. [przypis edytorski]

<sup>141</sup> *stosunki* — tu: stosunki miłosne, miłostki (w oryg. niem. *Verhältnissen*). [przypis edytorski]

<sup>142</sup> *teraz mam cię (...)* *zrozumiałem* — niem. *ich habe jetzt verstanden*: teraz zrozumiałem. [przypis edytorski]

<sup>143</sup> *skoro* — tu: gdy tylko, kiedy. [przypis edytorski]

<sup>144</sup> *błędna samotność* — w oryg. niem. *in seiner Seele war es finster*: mroczno było w jego duszy; pominięto w tłumaczeniu następne zdanie, w oryg. niem. *Eine fressende Verzweiflung brachte ihn dem Wahnsinn nahe* ([Czuł] żrące zwątpienie, które doprowadzało go niemal do obłędu; red. WL). [przypis edytorski]

<sup>145</sup> *Tą przekłętą (...)* *serce* — w tłumaczeniu opuszczono następne po tym zdanie, w oryg. niem. *Er lachte boshaft und legte sich aufs Sofa* (Zażmiał się złośliwie i położył się na sofie); red. WL. [przypis edytorski]

<sup>146</sup> *cały organizm* — w oryg. niem. *Geschichte*: historia, opowieść; tu raczej: sprawę, wszystko (w zdaniu w oryg. niem. *Ein wenig Alkohol wird die Geschichte gleich in Ordnung bringen*: Odrobina alkoholu od razu doprowadzi wszystko do porządku; red. WL). [przypis edytorski]

<sup>147</sup> *posthumus* (łac.) — pośmiertny; o dziecku urodzonym po śmierci ojca: pogrobowiec. [przypis edytorski]

Ujrzał się nagle u Kasi w lokalu Hutha... Kasia! To najwspanialsza kobieta<sup>148</sup>, jaką widział kiedykolwiek...

— Zejdź do mnie, madonna Teresa...

— Ha, ha, ha! sama siebie przewyższała w rozpasaniu... Napisać filozofię rozpasanej cnoty, to byłoby...

Ostap śmiał się błędnie<sup>149</sup>, podniósł się ociężale, siedział jeszcze chwilę, patrząc nieruchomo przed siebie, ale potem naraz zapadł w ciężki sen.

Nagle zbudził się, zapalił zapałkę; spał przeszło godzinę. Położył się znowu. Był strasznie znużony. Głowa go bolała. Zdawało mu się, że doznawał bardzo miłego wrażenia, czując, jak połowa jego mózgu rozpułyła się w ropiącą<sup>150</sup> masę.

Myśl ta wydawała mu się nadzwyczaj genialną.

Znowu pogrążył się w głuchym, sennym dumaniu. Tylko chwilami czuł, jak myśl jakaś powoli przekradała się przez mózg... zupełnie jak pęknięty balon, który chwilę wlecze się po ziemi, aby potem znowu na jakimś miejscu się zakołysać.

Przeszła chwila.

Nagle wchodził po starych schodach. Schody wydawały mu się dziwnie znane. Czytał nazwiska kart<sup>151</sup> przybitych na drzwiach i te także wydawały mu się znane. Musiał je już dawniej czytać...

W sercu miał bezgraniczną rozpacz; nie rozumiał, dlaczego tak rozpacział, czuł tylko ból i nienawiść, czuł, jak rosła potężniej i potężniej. Zatrzymał się, nie wiedział, gdzie się znajduje... Wtem naraz: był naturalnie w swoim własnym domu!

Przeraził się. Po co szedł do domu? Ale zdawało mu się, że jakaś obca moc go pędzi. Krok za nim wyrastał jakiś mur w nieskończoność, tuż za jego plecami szedł krok w krok za nim niebotyczny mur.

Musiał iść wyżej, a mur zdawał się iść za nim krok w krok.

Stał na olbrzymiej wieży. W dole zionęła otchłań. Zejść nie mógł. Nagle uświadomił sobie, że wieża nie miała schodów; błyskawicą wystrzeliła z ziemi<sup>152</sup>, a on stał teraz w najwyższym pokoju, w pustym, samotnym<sup>153</sup> poddaszu. Niebo paliło blachy dachu tak, że nie mógł oddychać, potem znowu się oziębiło; marzył, drżał jak osika, zęby szczękały mu z zimna.

Nagle usłyszał krzyk dziecka... Niósł je w ramionach. Dziecko krzyczało, zdawało mu się, że gardło<sup>154</sup> musi mu pęknąć. Krzyk wiercił mu boleśnie uszy; cierpiał, jak nigdy jeszcze w życiu...

Chciał uciec, nie mógł; doznawał wrażenia, że nigdy nie pozbędzie się tego dziecka, nigdy, nigdy... Krzyk stawał się coraz jaskrawszy<sup>155</sup>, coraz ostrzejszy, dziecko ciężało<sup>156</sup> bardziej i bardziej, zaledwie<sup>157</sup> mógł je jeszcze utrzymać...

Wtedy błyskawicą przebiegła mu głowę myśl: „Zabij je! Zabij!”

Obejrzał się wkoło, szukając czegoś, czym by je mógł zabić: nic nie znalazł. Rzucił się ku dziecku; chwycił je ze zwierzęcą wściekłością, podarł mu koszulkę, zimno w jednej chwili zmroziło małe ciało.

Dziki tryumf huczał w jego nerwach; pochwycił dzban zimnej wody i wylał ją na dziecko.

Dziecię przestało krzyczeć. Zapanowało palące, szatańskie milczenie<sup>158</sup>, tylko dwoje oczu zamierającego dziecięcia żarzyło się; widział jego śmiertelny<sup>159</sup> uśmiech.

Nagle dziecko skoczyło w górę... Nie... dziecko... dziki kot. Rzucił się na niego, wpił mu się pazurami w gardło... Ostap oderwał go, czując, że rwie kawały własnego ciała,

<sup>148</sup>kobieta — w oryg. niem. *Mensch*: człowiek. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>błędnie — w oryg. niem. *irr(e)*, tu: jak szalony. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>ropiącą — dziś popr.: ropiejącą; w oryg. niem. *jauchige*, od *jauche*: gnojówka. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>kart — w oryg. niem. *Schild*: szyld, wizytówka, tabliczka. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>błyskawicą wystrzeliła z ziemi — w oryg. niem. mowa jest o Ostapie, który nagle został wyniesiony do góry. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>samoimym — w oryg. niem. *kahlen*, raczej: огоłocony. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>gardło — w oryg. niem. *Lungen*: płuca. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>jaskrawszy — w oryg. niem. *gellen*: przenikliwy. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>ciężało — dziś popr.: ciążyło. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>zaledwie — tu: ledwo. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>szatańskie milczenie — niem. *höllisches Schweigen*, raczej: piekielna cisza. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>śmiertelny — niem. *krampfverzerretes*: konwulsyjnie zniekształcony. [przypis edytorski]

uchwycił kota rękami, rzucił go na ziemię, deptał nogami, ale rozszalałe zwierzę kasało, drapało, rozdzierało mu ciało...

Wtedy chwycił skądś w ręce żelazną sztabę i bił zwierzę z rozpaczliwą siłą. Kot krzyczał i jęczał jak dziecko... Ostap bił jak szalony, nic nie widział, nic nie słyszał, czuł tylko, że kot jeszcze żyje, że nigdy się go nie pozbędzie: już na nowo skoczył na niego, wgryzł mu się silnie w twarz...

Zbudził się. Zęby szczękały mu gwałtownie. Słyszał przeciągłe, gardłowe tony, nie mógł zapanować nad swoją twarzą: każdy mięsień, każdy nerw rwał się wśród straszliwej boleści.

Skoro<sup>160</sup> oprzytomniał, siedział skulony w kącie, tuż przy piecu.

Porwał się z dziką rozpaczą.

Aha! Teraz zbliża się obłęd! Aha! Aha!

Chciał zapalić lampę, ale ręce drżały mu tak, że klosz wypadł mu z ręki i rozprysnął się w tysiące kawałków.

Aha! teraz się zbliża! teraz nadchodzi! — powtarzał bez przerwy.

W końcu udało mu się zapalić lampę... i zapadł w dziwny, bezmyślny stan.

Nagle ktoś go potrącił.

Powoli spojrzął w górę.

— Nie znasz mnie pan?

— A, to pan, Hartmann. Czy spałem?

— Zdaje mi się, że nie. Był to raczej rodzaj letargu — odrzekł Hartmann całkiem spokojnie. — Widziałem raz coś podobnego u jednego z moich przyjaciół w Londynie. Przesiedział w ten sposób przeszło dwadzieścia godzin.

— Rzeczywiście? I cóż to ma znaczyć właściwie? — spytał Ostap roztargniony. — Jak pan sądzisz?

— Co to ma znaczyć u pana, nie wiem... Mój przyjaciel obwiesił się<sup>161</sup> we dwa dni później.

— Obwiesił?!

— Tak. Utrzymywał zawsze, że to najłżejszy rodzaj śmierci, bo wiąże się z przyjemnymi wrażeniami. Wiesz pan pewnie, w ostatniej chwili występuje podrażnienie płciowe. Ja zresztą nie wierzę w to.

Hartmann spojrzął na zegarek. Ostap zamyślił się głęboko.

— Jeszcze mamy trochę czasu. Z pańskiego okna można widzieć<sup>162</sup> fabrykę?

— Fabrykę?

— Tak!

— Czy ma być spalona? — Ostap uśmiechnął się złośliwie. — Więc poszedł przecież za moją radą? He, he, he...

— Skoro pożar wybuchnie, musimy się zabrać do pracy — rzekł Hartmann bardzo poważnie.

— Aha!

Długa pauza.

— Pański ojciec odjechał zapewne?

— Przypuszczam; nie widziałem się z nim.

Znowu długie milczenie

— Pańskie wytrychy były znakomite — Hartmann spojrzął uważnie na Ostapę... Zapewne używałeś ich pan już dawniej?

— Tak! — Ostap odpowiedział z dziwnym roztargnieniem. Milczeli długo.

— Nie masz pan ochoty przekonać się, czy przecież ktoś nie został w ratuszu?

Ostap powstał odruchowo.

— Zrób pan tymczasem herbatę. Tam stoi whisky...

Chciał zapalić latarnię<sup>163</sup>.

Hartmann spojrzął na niego z przestraszeniem.

— Co pan robisz? Chcesz się pan zdradzić?

<sup>160</sup>skoro — tu: gdy tylko, kiedy. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>obwiesić się — dziś raczej: powiesić się. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>można widzieć — raczej: można zobaczyć; widać. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>latarnię — w oryg. niem. *Licht*: światło. [przypis edytorski]

Ostap patrzył na niego bezmyślnie.  
— Tak, prawda... Jestem tak roztargniony...  
Wyszedł.

VI

— Trzy lewy! — rzekł Gordon i rozdał nowe karty.  
— Pomyślcie tylko moi panowie, że rachunki, które stary Ostap przedłożył prezydentowi, są podobno sfalszowane!  
Burmistrz szeptał i rozglądał się wkoło.  
— To naturalnie tajemnica urzędowa. Musiał natychmiast jechać do prezydenta. Agent policyjny<sup>164</sup> odwiózł go.

— Już odjechał? — spytał Gordon z roztargnieniem.  
— Oczywiście! Stary był w rozpacz. Nie rozumiem tego, zaszło jakieś nieporozumienie. Ostap był zawsze naszym najsumienniejszym urzędnikiem.

Panowie wzięli karty do rąk.

— Ale dzisiaj nie można się spuścić<sup>165</sup> na nikogo — westchnął burmistrz, zagrywając.

Panowie grali w najgłębszym milczeniu.

Nagle wdarł się do pokoju dziki okrzyk: „Ogień! Ogień!”

Jakiś człowiek zadyszany wpadł do pokoju!

— Panie burmistrzu... fabryka się pali... fabryka...

Na ulicy panowało niedające się opisać zamieszanie. Straż pożarna ochotnicza biegła bezradna tu i tam.

— Woda zamarza! — wrzasnął ktoś na burmistrza, jakby mu chciał robić wyrzuty.

Burmistrz stał śmiertelnie błądzący na ulicy, bez kapelusza; stracił zupełnie przytomność.

— Tutaj, wuju... bierz moje konie i jedź prosto do fabryki... Ja...

Gordon pobiegł do magazynów gminnych, gdzie leżały przybory do gaszenia.

Tutaj skłębili się tłumy ludzi. Jedni drugim stawiali w drodze. Właściwi strażacy ledwie mogli się przecisnąć.

Gordon rozwinął zadziwiającą energię.

Udało mu się zaprowadzić porządek, rozdzielał rozkazy, natychmiast sprowadzono konie, w kilka minut później straż pędziła ku fabryce.

Niezliczony tłum otaczał miejsce pożaru. Fabryka stała w płomieniach. Paliła się na wszystkich rogach. Wciąż nowe słupy ognia wybuchały na najrozmaitszych miejscach. O zlokalizowaniu ognia nie było mowy. Odrobina sprowadzonej wody wyczerpała się w jednej chwili...

— Wody! Wody! — krzyczał podniecony tłum.

Zamieszanie rosło z każdą minutą. Wszyscy biegali tu i tam, krzyczeli, rozkazywali, lżyli się wzajemnie. Na próżno starał się Gordon otrzymać<sup>166</sup> przewagę. Żaden człowiek nie słuchał go więcej<sup>167</sup>.

W końcu udało się sprowadzić większą ilość wody, ale nie było już co ratować. Olbrzymi gmach fabryczny stał cały w płomieniach. Ogień podłożono widocznie równocześnie w kilku miejscach.

Obok właściwej fabryki stały wielkie składy drzewa, nieco dalej leżała gorzelnia. Składy były już objęte płomieniami i spaliły się prawie w okamgnieniu. Musiano pozostawić fabrykę jej losowi, a wszelkie siły wyłożono na gorzelnię, aby ją zabezpieczyć przed ogniem.

Żar był tak straszny, że nie można się było prawie zbliżyć; prócz tego okazało się, że większa część narzędzi ratunkowych była nie do użycia. Węży były widocznie rozcięte lub polane gryzącą cieczą, bo pękały jeden za drugim, a małe sikawki, które przybyły na pomoc z sąsiedztwa, niewiele mogły pomóc.

Między robotnikami biegał zrozpaczony Schnittler. Łamał ręce, zaklinał ludzi, aby ratowali, przyrzekał im złote góry, ale tłum patrzył na niego głuchy i obojętny: przecież nie dało się nic uratować. Cóż miano ratować?

<sup>164</sup>agent policyjny — w oryg. niem. *Detektiv*: detektyw; tu: oficer śledczy. [przypis edytorski]

<sup>165</sup>spuścić się na kogoś (daw.) — zdać się na kogoś. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>otrzymać — w oryg. niem. *verschaffen*, tu: zyskać. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>więcej — tu: już. [przypis edytorski]

Nagle rozniosła się wieść między robotnikami, że Schnittler sam podpalił fabrykę, aby uzyskać ogromną sumę ubezpieczenia.

Jak ta pogłoska powstała, nikt nie wiedział. Prawdopodobnie już dawniej opowiadano, że Schnittler nosi się z tym zamiarem, bo pogłoska stała się nagle pewnikiem. Dawniej szeptało tylko przypuszczenia, teraz nikt już nie wątpił.

Tłum robotniczy oszalał.

— Ten pies chce uciec do Ameryki ze swymi nałożnicami — krzyczał silny<sup>168</sup>, zdzi-  
czyły<sup>169</sup> robotnik. — Teraz możemy tu zdychać z głodu.

— Gdzie znajdziemy teraz pracę? — wrzasnął inny. — Teraz, w środku zimy?

To pytanie stało się okrzykiem bojowym: kobiety zaczęły wyć, mężczyźni klęli i grozili zaciśniętymi pięściami.

Schnittler nadbiegł znowu, błagał i łamał ręce, ale tłum spoglądał ponuro na niego.

Młody robotnik podbiegł i potrącił<sup>170</sup> go z wściekłością.

Schnittler oniemiał.

W tej samej chwili<sup>171</sup> robotnik, zachęcony okrzykami, uderzył Schnittlera w głowę.

Schnittler upadł, ale zerwał się zaraz.

— Zabijcie go, tego psa! — ryczał tłum.

Kilku rzuciło się ku niemu, ale w tej samej chwili nadbiegł Gordon.

— Co robicie? — krzyczał. — Chcecie się dostać do więzienia?

Gordon cieszył się widocznie wielką życzliwością tłumu, bo tłuszcza się cofnęła.

Schnittler patrzył na robotników z niewypowiedzianą wściekłością. Nie panował już nad sobą. Piana wystąpiła mu na usta. Odtrącił Gordona na bok, ale Gordon chwycił go z tyłu i trzymał silnie.

— Czyś pan oszalał? Chcesz pan, aby cię zamordowali?

Schnittler pasował się z Gordonem, chciał się wyrwać, aby się rzucić na robotników.

— Dalej! Ratujcie gorzelnię! każdy dostanie talara! — zakrzyknął Gordon.

To pomogło. Robotnicy pobiegli, w jednej chwili plac się opróżnił.

Gordon starał się uspokoić Schnittlera.

— Modele! Modele! — krzyknął nagle Schnittler, jakby nieprzytomny i pobiegł ku drugiemu skrzydłu fabryki, gdzie znajdowały się laboratoria.

Tu stało kilku robotników, przypatrując się beczynnemu pożarowi.

— Teraz zawali się fabryka! — zauważył jeden.

— Teraz! Teraz! — Wszyscy wyczekiwali z natężoną uwagą.

— Gdzie Hartmann? — krzyczał nieprzytomny i zrozpaczony<sup>172</sup> Schnittler.

Zapomniał, że na dwa dni zwolnił Hartmanna od służby.

Rozejrzał się błędnie dookoła<sup>173</sup>.

W tej chwili poczęły eksplodować szopy ze spirytusem, należące do gorzelni.

Morze płomieni rozlało się na szerokości kilkuset metrów.

Trwoga i przestrasch<sup>174</sup> ogarnęły tłum. Wszyscy biegli ku gorzelni.

Gordon spojrział na zegarek. Powoli i niepostrzeżenie oddalał się, przechodził od jednej gromady robotników do drugiej, słuchał przekleństw i wyzwisk, słuchał wycia kobiet, widział trwogę i rozpacz.

Teraz będę zbierał plony! pomyślał i uśmiechnął się smutnie. Litował się nad robotnikami pozbawionymi pracy.

Poszedł do miasta, aby rozkazać bić w dzwony.

<sup>168</sup>silny — w oryg. niem. *starker*, tu: krepny. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>zdziczyły — raczej: nieokiełznany; w oryg. niem. *verwildeter*. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>potrącił — w oryg. niem. *stieß (...) weg*; odepchnął, popchnął. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>W tej samej chwili (...) — w tłumaczeniu pominięto poprzednie zdanie, w oryg. niem. *Die Menge brüllte auf* (Tłum ryknął a. Tłum rozwrzeszczał się); red. WL. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>nieprzytomny i zrozpaczony — w oryg. niem. *aufser sich vor Verzweiflung*: oszalały z rozpacz. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>Rozejrzał (...) dookoła — brak dalszego ciągu zdania, w oryg. niem. *Er sah sich wrr um, aber die Arbeiter zuckten verächtlich mit den Achseln* (Rozglądał się błędnie dookoła, ale robotnicy wzruszali pogardliwie ramionami); red. WL. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>trwoga i przestrasch — w oryg. niem. *Angst und Entsetzen*: strach i przerażenie. [przypis edytorski]

## VII

Wroński wkradł się niepostrzeżenie do ratusza. Był już najwyższy czas. Niedługo potem usłyszał, jak zegar wybił dziesiątą godzinę.

A może to nie było niedługo potem. Rachunek czasu przedstawiał mu się tak dziwnie. Czasem godzina biegła niby sekunda, czasem rozciągała się w nieskończoność.

Był zupełnie spokojny, nie czuł ani cienia obawy.

Tylko dziwaczne, maniakaliczne<sup>175</sup> pomysły dręczyły go bez przerwy.

Z przestachem przypomniał sobie, że na rynku chciał zapalać zapalki, bo zdawało mu się, że całkiem zamokły.

— Co by się jednak stało, gdybym był na rynku zapalił zapalkę? — myślał uspokojony.

Gorzej jeszcze było, gdy uczył nieprzewyciężoną chęć zapukać do drzwi Ostapa i opowiedzieć mu wszystko.

Teraz siedział na pace papierów i wyczekiwał bicia dzwonów.

Naturalnie<sup>176</sup> stanie się coś z fabryką. Ostatnia proklamacja nie chybi pewno celu...

Naturalnie fabryka będzie się także palić. Oczywiście! Przypomniał sobie, że Gordon już dawniej o tym wspominał.

Ale ratusz był z pewnością najważniejszą rzeczą.

Śmiał się<sup>177</sup>. Myśl, że ratusz niedługo rozpadnie się w płomieniach, wydawała mu się niezmiernie zabawną.

Naturalnie ratusz nie spali się, lecz rozplynie się w czystszy, doskonalszy element ognia, boga Agni<sup>178</sup>, świętego ognia.

Przypomniał sobie nagle, że Botko mówił o nafcie.

To było przecież straszne, jak po kolei zapominał o najważniejszych rzeczach.

Ogarnęła go rozpacz... Przeszedł w myśli całą rozmowę z Botką i przekonał się z przestachem, że prawie nic nie pamięta.

Zerwał się.

Teraz byłby zapomniał o nafcie.

Ostrożnie macał naokoło siebie.

Rzeczywiście! Przy drzwiach stała wielka konwia<sup>179</sup> z naftą.

Wziął ją i trzymał w ręku.

Inaczej mógłby jeszcze zapomnieć w ostatniej chwili.

Usiadł znowu i kurczowo ścisnął konwię w obu rękach.

Teraz był zadowolony. Myślał długo i obszernie o swojej pracy archeologicznej, o trudach, kiedy te wszystkie papiery przeglądał...

Nagle wpadł na genialną kombinację co do sztucznych dziur, jakie wiercono w ceglach klasztoru z XVII wieku.

Zaraz musiał uzupełnić swoją pracę. Żaden człowiek jeszcze nie wpadł na tę kombinację. Dziury te znajdowały się w wielu murach owego czasu.

Z zadowoleniem rozwijał myśl dalej, ale wkrótce znowu zapadł w stan znużenia i senności<sup>180</sup>.

Na ulicy słyszał<sup>181</sup> turkot wozów, a w oddali dziki, urywany krzyk...

Teraz niedługo pewnie usłyszy bicie dzwonów.

Był spokojny, prawie apatyczny.

Zapomniał zupełnie, dlaczego się tu znajdował.

<sup>175</sup>maniakaliczne — dziś popr.: maniakalne. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>Naturalnie (...) fabryką — w tłumaczeniu brak poprzedniego zdania, w oryg. niem. *Was war es nur, daß die Kirchenglocken geläutet werden sollten?*... (Tylko co takiego się stanie, że mają zacząć bić dzwony); red. WL. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>Śmiał się — w oryg. niem. *Er kicherte*: zachichotał. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>Agni (mit. ind.) — wedyjski bóg ognia; bóstwo opiekuńcze, odganiające złe moce, nieszczęścia i choroby; jako upostaciwienie ognia ofiarnego Agni przyjmuje ofiarę w imieniu innych bogów i sprowadza ich na ucztę ofiarną. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>konwia — dziś popr. konew. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>Z zadowoleniem (...) senności — w tłumaczeniu brak następnego zdania, w oryg. niem. *Mit einmal sbrak er auf* (Nagle zerwał się); red. WL. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>Na ulicy słyszał (...) — w tłumaczeniu brak następnego fragmentu zdania: *eine ungewöhnliche Bewegung*: nadzwyczajny ruch. [przypis edytorski]

Siedział tak pięknie<sup>182</sup>. Nie czuł także nadzwyczajnego zimna; nie, wcale nie... W ogóle czuł się zupełnie zdrowym; zupełnie zdrowym, powtórzył cicho i uśmiechnął się zadowolony.

Dziwne tylko, że czuł taką senność. Gdyby tylko oczy zamknął, zaraz, natychmiast by zasnął.

Dlaczegoż nie miałby spać? Tyle nocy przecież czuwał.

Przelał się strasznie.

— Boże! Czyż jestem szalony?

Ogarnęło go nieokreślone rozdrażnienie. Co się z nim działo właściwie? Byłaby to febra<sup>183</sup>?

W głowie czuł zamęt.

Czyżby febra tak silnie nim owładnęła, że zapominał o wszystkim? Przestraszył się myślą, że śni, ale nagle poczuł w rękę konwie<sup>184</sup>, którą kurczowo ścisnął.

To przywróciło mu zupełnie przytomność.

Gdyby tylko wiedział, która godzina.

Chorobliwa żądza dowiedzenia się, która może być godzina, dręczyła go bardziej niż wszystkie dotychczasowe majaczenia.

Boże, Boże! Gdybym się tylko w jakiś sposób mógł dowiedzieć.

Tysiące pomysłów stanęło mu przed oczami, w jaki sposób dałoby się to zrobić; wtem znowu odzyskał przytomność<sup>185</sup>.

Szaleństwo<sup>186</sup>! Oczywiście, znowu febra.

Potem myślał znowu o Gordonie. Przypomniał sobie nagle, że Gordon miał go oczekiwać w zaroślach za mostem. Więc musiał przebyć tę niebezpieczną drogę wzdłuż kanału. Mógłby go ktoś zobaczyć z mostu, kiedy się będzie skradał rowem...

Dziwna rzecz, że te myśli wcale go nie niepokoiły.

Dziwił się bardzo.

Cała sprawa wydawała mu się tak śmiesznie łatwą. Z bezgraniczną pogardą myślał o trwodze, jaką wówczas przechodził. W ogóle nie chciał dalej o tym myśleć. Inaczej musiałby się chyba wstydzić przed samym sobą.

Teraz pewnie niedługo usłyszysz jęk dzwonów... Nie będzie już potrzebował dłużej czekać. Czuł to wyraźnie.

I nagle drgnął gwałtownie. Począł drzeć tak, że konew zakołysała się. Szczękniętymi zębami i uczuł mrozące zimno.

Już niedługo! Nim doliczy do tysiąca.

Zimny pot wystąpił mu na ciało. Zaczął liczyć.

Wtem — nagle — dzwony!...

Serce przestało mu uderzać. Czy słyszał jęk dzwonów? Nie był pewny. Boże! to zapewne tylko szum krwi uderzającej do głowy.

Czekał. Przeszła wieczność. Starał się opanować, ale nie zdołał.

A bicie dzwonów huczało mu w uszach coraz silniej: długi, ponury jęk.

Nasłuchiwał...

Nie mylił się!

Mechanicznie otworzył konwie<sup>187</sup>, zakołysał nią w powietrzu; ale siły go opuściły, upadł z blaszanką na ziemię.

Zerwał się<sup>188</sup>, wylał naftę na kupę papieru, drżącymi, gorączkowo drgającymi rękami,<sup>189</sup> wyszukał zapalki, ale dygotał tak silnie, że nie mógł zapalki potrzeć o pudeł-

<sup>182</sup>*Siedział tak pięknie* — raczej: tak przyjemnie mu się siedziało (w oryg. niem. *schön*). [przypis edytorski]

<sup>183</sup>*febra* — tu: gorączka (niem. *Fieber*: gorączka). [przypis edytorski]

<sup>184</sup>*konwie* — dziś popr.: konew. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>*wtem znowu odzyskał przytomność* — w oryg. niem. *da kam er wieder zu sich*: wtedy znów uspokoił się (doszedł do siebie). [przypis edytorski]

<sup>186</sup>*szaleństwo* — w oryg. niem. *Blödsinn*: bzdury, brednie. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>*konwie* — dziś popr.: konew. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>*Zerwał się (...)* — w tłumaczeniu brak poprzedniego zdania: *Da wurde er rasend* (Wściekł się); red. WL. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>*drżącymi, gorączkowo drgającymi rękami*, — w oryg. niem. *mit bebenden, fliegenden Händen*: drżącymi, latającymi rękami. [przypis edytorski]



ko. Wreszcie udało mu się zapalić. Odruchowo cofnął się kilka kroków i rzucił zapalną; w okamgnieniu wybuchnęły płomienie.

Rzucił się ku wyjściu. Ale nie mógł otworzyć drzwi. W tej samej chwili przypomniał sobie, z jakim trudem je otworzył, nim wszedł... Nie pamiętał już, jak je otworzył... Tracił przytomność... dym dusił go... Zdjęty śmiertelną trwogą szarpał drzwi obiema rękami, rozkrwawił ręce o zardzewiałe zawiasy starego zamku... Z dziką rozpaczą rzucił się na nie, szarpał nimi, uderzał pięściami, kopał nogami... na próżno.

Wtedy zaczął krzyczeć wśród śmiertelnej trwogi. Jak zwierzę. Tak, że płuca się rozdzierały. Kaszel go dusił.

Płomienie szerzyły się z błyskawiczną szybkością. Lizwały mu już nogi. Bezwiednie zerwał z siebie ubrania, rzucił je na ogień, starał się go stłumić; pracował z ostatnim wysiłkiem, chwycił wszystko, co mu wpadło pod rękę, i rzucał w płomienie.

Krzyczał i śmiał się. Zapomniał o niebezpieczeństwie życia<sup>190</sup>. Już zdało mu się, że zdusił ogień. Deptał go nogami, dusił w rękach, walczył z tą tysięcznogłową Hydrą — Hydrą — Hydrą! Ale nagle płomień buchnął na nowo. Najpierw tylko dym, potem w górze ognisty pasek — język płomienny... kaszlał, jakby chciał wszystko z siebie wyrzucić: nastąpił straszny krwotok.

Zachwiał się, upadł. Straszliwa jasność migotała mu sekundę przed oczami...

Potem tylko czarne koła — i tak miękko, tak wygodnie — tak... ach! tak...

### VIII

Gordon stracił swój sztuczny spokój, jaki z natężeniem wszystkich sił cały dzień utrzymywał.

Siedział w wiklinie nad rowem i czekał na Stefana.

Czas wydawał mu się nieskończenie długi.

Co u diabła robili tak długo ci dwaj! Czyż to było tak trudno otworzyć głupią szafę za pomocą dokładnie podrobionych kluczy?

Przeszkoda? Nagła, nieprzewidziana?...

Wzdrygnął się.

A może Stefan mimo wszystko nie odważył się...

No, na to był przygotowany. Poczeka jeszcze kwadrans. Potem sam pójdzie i zrobi to. Myślał o niezmiernych trudnościach.

Właściwie nie było to dobrze, że z taką ufnością zdał się na Stefana... Ale nie, to niemożliwe; Stefan z pewnością to zrobi.

Wtem ujrzał pierwsze płomienie wystrzelające z ratusza.

Patrzył na nie, jakby się ich nigdy nie był spodziewał. Zadziwił się nadzwyczajnie.

Potem widział dziki orkan szalejących płomieni; tracił prawie równowagę.

Ogarnęło go zwierzęce zadowolenie. Twarz jego wykrzywiła się. Miał niezmierną ochotę krzyczeć z radości, mógłby w dzikich podskokach tańczyć wkoło ratusza... Chęć wydania radosnego okrzyku była tak wielka, że musiał skupić wszystkie siły, aby się powstrzymać.

W tejże chwili przyszło mu na myśl, co Ostap mówił do niego: „Ty jeden między nami jesteś szaleńcem!”.

To przywróciło mu przytomność, ale z rosnącym zachwytem patrzył ciągle na płomienie, które olbrzymimi raketami wystrzeliwały z każdego okna.

Przyszło mu na myśl, że przy tej sztucznej dziennej jasności może zostać spostrzeżony. Cofnął się w głąb.

Tak upłynął może kwadrans.

Stefan powinien by już powrócić.

Czyżby<sup>191</sup> go schwytano podczas ucieczki?

Niemożliwe! Wszyscy byli przy fabryce.

Nasłuchiwał w naprężeniu, ale słyszał tylko głuche wycie tłumu, które z każdą chwilą się zbliżało.

<sup>190</sup>niebezpieczeństwo życia — w oryg. niem. *Lebensgefahr*: śmiertelne niebezpieczeństwo, zagrożenie życia. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>Czyżby (...) — w tłumaczeniu brak poprzedniego akapitu, w oryg. niem. *Eine unheimliche Angst ergriff ihn* (ogarnął go niesamowity strach); red. WL. [przypis edytorski]

Aha! Teraz spostrzegło to bydło, że ratusz się pali.  
 Uśmiechnął się pogardliwie.  
 Słyszał wyraźnie krzyki ludzi biegnących przez ulice; ostrożnie podsunął się do samego mostu i rozglądał się badawczo na wszystkie strony.  
 Czekał, drżąc. Trwoga rosła i rosła.  
 A może Stefan pobiegł do willi wprost przez pole?  
 Ale w takim razie musiałbym go bezwarunkowo spostrzec...  
 Uczepił się jednak silnie tej myśli, chociaż sam w nią nie wierzył.  
 A może poszedł przez miasto...  
 Niemożliwe! niemożliwe! Wszystko było tak ułożone, że mógł iść tylko tą drogą...  
 Nagle uczył z niezachwianą pewnością, że Stefan zginął w ratuszu... Zapomniał o ostrożności, popadł w taki stan zrozpaczenia, że teraz wszystko — wszystko było obojętne. Gdyby go teraz ktoś zapytał, czy te wszystkie pożary są jego dziełem, dałby bez wahania twierdzącą odpowiedź.  
 Zastanowił się.  
 Czy rzeczywiście powiedziałby: „Tak”?  
 Wzdrygnął się. Znowu<sup>192</sup> przyszedł mu na myśl kanarek.  
 To dotknęło go bardzo niemile. Odczuwał niezmierną przykrość, że pochwycił się na takiej słabości.  
 W mgnieniu oka stał się znowu surowym<sup>193</sup> i obojętnym.  
 Stefan jest prawdopodobnie w domu.  
 Szedł ostrożnie... Nie, ostrożność była zupełnie śmieszna. Całe miasto jest albo przy ratuszu, albo przy fabryce...  
 Wszedł na górę do Wrońskiego.  
 Ale na schodach wiedział z wszelką pewnością, że Wroński zginął w ratuszu.  
 Drzwi były otwarte. Wszedł i zapalił lampę.  
 Potem wszedł do pokoju Poli.  
 Lampa paliła się na stole, ale Poli nie było w domu.  
 Zdaje się, że właśnie wyszła, pomyślał i usiadł.  
 Nagle<sup>194</sup> zdjęła go trwoga, krew uderzyła mu do głowy.  
 — Przecież Pola chora! — przecucie straszego nieszczęścia, jakie mogło spotkać Polę, wprawilo go w gorączkowy strach.  
 Słyszała naturalnie o pożarze. Gdyby coś przeczuwała... Ale gdzież jej miał szukać?  
 Naturalnie będzie przy ratuszu!  
 Wybiegł na ulicę. Nie myślał już o środkach ostrożności, jakie w planie ułożył. Właściwie nikt nie powinien by go teraz widzieć tutaj...  
 Ach szaleństwo<sup>195</sup>! Któż teraz będzie na to zwracał uwagę, pomyślał, uspokajając się.  
 Wszystkie ulice były zapchane natłokiem ludzi. Wszystkich ogarnęła bezgraniczna panika, krzyczeli i płakali, i biegali nieprzytomni dokoła.  
 Rozeszła się pogłoska, że całe miasto ma spłonąć. Pogłoska stawiała się pewnością. Gordonowi wydawało się, jakby wpadł w piekło. Z wielkim trudem przedostał się do ratusza.  
 Straż ratunkowa utworzyła tu łańcuch, aby zapobiec nieszczęściu przy waleniu się gmachu. Ale łańcuch przerywano co chwile: każdy chciał ratować i wprowadzał przez to jeszcze większe zamieszanie.  
 Jakiś pan wzywał do spokoju: straż pożarna z sąsiedniego miasta przybywa. Ale nikt go nie słuchał. Pewność zagłady była tak wielka, że nikt nie żywił już żadnej nadziei.  
 Z domów graniczących z ratuszem wyrzucano na ulicę pościel i sprzęty. W bezmyślnym pośpiechu starano się coś uratować, ale już straszliwe morze płomieni zalało przyległe domy.

<sup>192</sup>Znowu (...) — w tłumaczeniu brak dwóch poprzedzających zdań, w oryg. niem. *Was ist denn mit mir? Er richtete sich auf* (Co się ze mną dzieje? Wyprostował się); red. WL. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>surowy — w oryg. niem. *hart*: twardy. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>Nagle (...) — w tłumaczeniu brak poprzedniego akapitu, w oryg. niem. *Alle Kräfte hatten ihn verlassen, er fühlte sich totmüde* (Wszystkie siły go opuściły, poczuł się śmiertelnie zmęczony); red. WL. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>szaleństwo — w oryg. niem. *Blödsinn*: głupstwo, bzdury. [przypis edytorski]

— Do kościoła! Do kościoła! — krzychał jakiś człowiek... — Boga prosić o zmiłowanie...

Tłum odsłonił głowy i równocześnie zabrzmiała straszliwa pieśń, hucząca szaleństwem przestrachu. To już nie był śpiew, lecz łkający orkan: „Pod Twoją opiekę”...

Tłum z wolna kołysał się ku kościołowi. Nikt już nie myślał o ratowaniu ratusza i przyległych domów. Tak czy tak, było to niemożliwością<sup>196</sup>. Sikawki nie dawały się użyć, a wiadrami nic nie można było zrobić.

Gordon widział i słyszał wszystko; zimny dreszcz przebiegł mu ciałem. Nie wiedział, co się z nim działo i serce biło gwałtownie, a gardło miał jakby skrępowane.

Porzucił myśl szukania Poli.

Wtem zabrzmiał nagle głośny krzyk radości:

— Straż! straż!

Nie wiadano, skąd przybywa. Uwierzono w cud... Po upływie niecałych pięciu minut zaczęła pracować dobrze wyćwiczona straż pożarna.

Zostawiono ratusz na pastwę pożaru, przyległe domy paliły się już jasnym płomieniem; usiłowano tylko powstrzymać dalsze szerzenie się ognia.

Ale zaledwie minął kwadrans, tłum wybuchł nowym jękiem rozpacz:

Willi Kortumów się pali!

Gordon zadrżał z radości: więc Stefan żyje!

Zdawało mu się, że jakaś obca siła wpływa mu w duszę.

Znowu był silny. Lecz Polę musiał jeszcze znaleźć...

Jest naturalnie u Heli, pomyślał.

Wpadł w kłęb ludzi, który wił się, nie mogąc się ruszyć z miejsca.

Wiadomość, że willa się pali, spotęgowała jeszcze rozpacz. Zdawało się, że dzwony jeszcze potężniej jęczały, śpiew, zamilkły na chwilę, podniósł się z nową, straszliwą siłą.

Gordon nie mógł dłużej słuchać tych jęków rozpacz. Wydobył się z tłumu i przez boczną uliczkę dostał się na rynek. Cały rynek był zapchany ludźmi; klęczeli przed posągiem świętego Wojciecha i śpiewali. Wynoszono obrazy świętych i wieszano je na domach.

Pieśń się skończyła.

Jakiś robotnik zaczął głośno odmawiać litanie do Panny Maryi...

Słychać było tylko refren, który tłum z płaczem i jękiem rzucił ku niebu: „Módl się za nami! Przyczyn się za nami!”

Każdej chwili oczekiwano wieści o nowym nieszczęściu; fanatyczna ekstaza śmierci i zniszczenia doprowadzała tłum do obłędu. Nikt nie myślał już o ratowaniu swej własności; pewność, że całe miasto stanie się pastwą płomieni, ubezwładniała<sup>197</sup> wszelką zdolność myślenia. Rozniosło się, że za pół godziny zapłonie starostwo. Oczekiwano wszystkiego z głuchą rezygnacją. W jakimś oknie zabłysło światło; natychmiast uwierzono, że dom zaczyna się palić.

Panika zniszczyła wszelkie rozumowanie. Nie było już nadziei. Bóg przeklął i opuścił miasto. Bez ratunku było skazane na spalenie...

Miejsca! Miejsca! Przenajświętszy Sakrament!

Od strony kościoła toczyła się procesja. Na czele szedł młody kapłan pod baldachimem z monstrancją w rękach.

Nowy śpiew, nowy jęk rozpacz:

„Kto się w opiekę odda Panu swemu”...

Zapanowała cisza. Słychać było tylko okrzyki straży pożarnej przy ratuszu.

Ksiądz podniósł monstrancję.

Ludźmi rzucił się na ziemię, znaczył krzyżem i bił w piersi.

Było jasno jak we dnie.

Gordon stał jak zdrętwiały przed jakimś domem, patrzył na straszne widowisko i rozmyślał. Jego dusza ogłuchła. Nie myślał już o Poli. Zdawało mu się, że Pola przestała istnieć. Chciał tylko uciekać, daleko — daleko uciekać...

Ale dokąd?

<sup>196</sup>było to niemożliwością — dziś: było to niemożliwe. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>ubezwładniać — dziś popr.: obezwładniać [przypis edytorski]

Naturalnie do Stefana. Musiał przecież teraz już być w domu.  
 Z pewnym zadowoleniem myślał o tym, że nikt się nie troszczył o willę Kortumów.  
 Pies, który pozwolił Stefanowi umierać z głodu, poniesie największe szkody.  
 Miał chęć rozśmiać<sup>198</sup> się głośno.  
 Rozpacz ludzi wydała mu się nagle taka śmieszna.  
 Ta odrobina ognia! pomyślał z pogardą.  
 Ta odrobina ognia! powtórzył i uczuł wstręt.  
 Myśl o tej nędznej odrobinie ognia nie opuszczała go.  
 Nie rozumiał, jak przed kilkoma minutami mógł się tak wzruszyć płaczem i zwierzę-  
 cym wyciem tego głupiego motłochu. Skradał się wśród domów i wkrótce wydostał się  
 z rynku.  
 Ostap może poczekać! Niech wypocznie po czynie...  
 Kiedy znowu wchodził po schodach do mieszkania Stefana, doznał zawrotu głowy.  
 Musiał się chwycić ściany, aby nie upaść.  
 Drzwi roztwarły<sup>199</sup> się gwałtownie.  
 — Stefanie! — zabrzmiał głos Poli.  
 — Ty... to ty...  
 Gordon stanął przed nią, nie mówiąc ani słowa, i uśmiechnął się.  
 — Gdzie Stefan?  
 — Nie ma go jeszcze w domu?  
 — Gdzie Stefan?! Nie był w hotelu. Ty wiesz, gdzie on jest! ty — ty... gdzie on?  
 — Ja... ja nie wiem!  
 — Wiesz! Wiesz!... Byłeś tutaj... Umawiałeś się z nim... Słyszałam, jak powiedział:  
 nie mogę!...  
 Gordon przeraził się i zbladł jak trup.  
 Wpatrywała się w niego przez chwilę. Zdawało się, że światło jej oczu rozlało się  
 w krwawym przestkach.  
 — Czy on to zrobił? — wskazała na ratusz.  
 — Czy on to zrobił? — krzyczała wśród histerycznego śmiechu i podniosła groźnie  
 rękę.  
 — Ty zrobiłeś go zbrodniarzem... Ty! Ty!...  
 — Nie. To wszystko zrobił Sobek! — rzekł Gordon surowo i spokojnie. Nie rozumiał,  
 jak mógł panować nad sobą w tej chwili.  
 Ale znowu doznał zawrotu głowy. Usiadł na krześle, za chwilę jednak runął bezprzy-  
 tomny na ziemię.  
 Słyszał krzyk Poli; potem czuł, że coś polyka.  
 Otrzeźwiał, wziął z jej ręki flaszkę i pił chciwie koniak.  
 Wiedział, że klęczała przy nim i wpatrywała się w niego z przestkachem.  
 — Lepiej ci? — zapytała.  
 — Niedługo przejdzie. — podniósł się i usiadł.  
 — Mój Boże! Jakiś ty błądy! Połóż się na łóżku.  
 — Nie, dziękuję!  
 Siedzieli tak chwilę.  
 — Nie wiesz, gdzie może być Stefan?  
 — Zapewne przy ogniu.  
 — Ale ja szukałam go wszędzie... — zaczęła płakać.  
 — Ja szukałem cię także, ale w tym natłoku nie można znaleźć nikogo.  
 Długie milczenie. Pola uspokajała się.  
 — Jesteś jeszcze chora, Pola?  
 — Tak, chora, bardzo chora; tak mi zimno. Mam febrę<sup>200</sup>.  
 Trzęsła się.  
 Rozpalił ogień, przysunął jej krzesło do ognia, usiadł tuż przy niej i ujął jej rękę.  
 Nie wzbraniała się.

<sup>198</sup>rozśmiać — dziś popr.: roześmiać. [przypis edytorski]

<sup>199</sup>roztwarły — dziś popr.: otwarły a. rozwarły [przypis edytorski]

<sup>200</sup>febra — tu: gorączka (niem. *Fieber*: gorączka). [przypis edytorski]

— Tak się bałam, że ty, że Stefan jest temu winien... Siedziałam w kuchni i słuchałam... Tak się boję ciebie... jej także... Ona mnie tak dręczyła. A wieczorem opowiadała o tobie takie straszne rzeczy...

Gordon nie rzekł ani słowa.

Zerwała się.

— Mów przecież! Mów! Mów!

— Obawiałem się o ciebie, Polu.

Rozśmiała się<sup>201</sup> szyderczo.

— Widzisz, widzisz... Obawiałeś się... O mnie się obawiasz, ale ją, ją kochasz. Tylko ją!

Odepchnęła go.

— O nią nie obawiałem się nigdy.

Usiadła znowu. Była wyczerpana.

— To tak trudno myśleć. Nie mogę zebrać myśli... Głowa mi tak cięży.

Drżała z zimna i tuliła się do niego.

Objął ją delikatnie. Teraz miał pewność, że Stefan zginął w jakiś sposób, ale nie był już o niego niespokojny. Zapomniał o nim, czuł przy sobie tylko biednego kanarka. Kanarek! Pierwszy raz ta myśl wydała mu się piękna.

Znowu upłynęło wiele czasu.

Pola gorączkowała. Zapadała chwilami w niespokojny sen, pytała o Stefana i zasypiała znowu.

Gordon spojrział na zegarek.

Było trzy kwadransy na czwartą<sup>202</sup>.

Teraz był pewny, że Stefan nigdy nie wróci, nigdy...

Nie myślał dłużej o tym, Stefan musiał przecież, bądź co bądź umierać<sup>203</sup>.

Pola straciła całkiem przytomność. Mówiła błędnie, bez związku<sup>204</sup>, śmiała się, to znowu płakała i skarżyła się na ból.

Gordon stał bezradny.

Co miał począć? Nie mógł przecież zostawić Poli samej w tym stanie.

Położył ją na łóżku. Nie opierała mu się. Uśmiechnęła się tylko z wdzięcznością.

Nagle rozmyślił się.

Przecież to zupełnie zrozumiałe: zabierze ją do siebie.

Stefan nie żył.

Musiał tylko konie sprowadzić.

— Pola!

Otworzyła oczy.

— Zaraz wrócę.

— Co? Co? Nie chodź! Boję się!

Patrzyła błędnie dokoła.

— Stefan nie wrócił jeszcze?

— Och<sup>205</sup>, jak mi niedobrze! — jęknęła i upadła znowu na łóżko.

Po upływie pół godziny powrócił Gordon.

Wuj jego zachowywał się jak szalony, ale Gordon nie zwracał na to uwagi.

Na ulicach uspokoiło się stosunkowo. Lud rozchodził się gromadnie do domów.

Gordon spojrział na fabrykę, na ratusz, na zgłiszczą kilkunastu kamienic, na willę Kortumów.

Ta odrobina ognia! myślał z pogardą... Ta odrobina ognia! Splunął.

Ogarnęła go bezgraniczna apatia. Umysł jego pracował całkiem mechanicznie. Nie wiedział, dlaczego to zrobił. No, widocznie zrobił dlatego, bo mu się na razie tak podobało.

Pola leżała w silnej gorączce.

— Pojedziesz teraz ze mną. Napisałem Stefanowi, żeby zaraz przybył za nami.

<sup>201</sup>rozśmiała się — dziś popr.: roześmiała się. [przypis edytorski]

<sup>202</sup>trzy kwadransy na czwartą (daw.) — czterdzieści pięć minut po trzeciej. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>musiał (...) umierać — raczej: musiał umrzeć. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>błędnie, bez związku — w oryg. niem. *wirr durcheinander*: bez ładu i składu. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>Och (...) — w tłumaczeniu brak poprzedniego akapitu dialogowego, wypowiedzi Gordona; w oryg. niem. *Noch nicht!* (jeszcze nie!); red. WL. [przypis edytorski]

Mówił prawie z rozpaczą<sup>206</sup>, bo był przygotowany, że nie będzie się chciała zgodzić.

— Tak. Co? Jak?...

— Do mnie!

— Tak, tak, do ciebie... Jestem tak chora — tak chora...

Owinął ją w kołdry i na dół<sup>207</sup>. Mieszkanie zostawił otwarte. Teraz było to przecież obojętne.

Ułożył ją ostrożnie w sankach.

W drodze się jej polepszyło. Orzeźwiło ją zimne powietrze.

— A Stefan? — spytała lękliwie.

— Przybędzie za nami.

Skoro będzie u mnie, myślał Gordon, będzie mi łatwiej wszystko jej powiedzieć... Czemu łatwiej? Nie zdawał sobie z tego sprawy<sup>208</sup>...

Kiedy zatrzymał się przed domem i wyniósł ją z sanek, zaczęła się opierać. Wyśliznęła mu się z rąk i odrzuciła kołdry.

— Nie chcę iść do ciebie! Nie chcę — krzyczała. — Chcę pójść do domu. Do Stefana...

Gordon wpadł we wściekłość.

— Bądź rozsądna! — zgrzytnął zębami i przemocą wziął ją na ręce.

Przestraszyła się i zapłakała cicho.

— Och, och, ciśniesz mnie<sup>209</sup>... członki mnie tak boją.. Pójdę już sama.

Chwiała się, ale wsparł ją i otworzył drzwi do pracowni.

— Cóż to? — krzyknęła Pola nieludzkim<sup>210</sup> głosem i padła omdlała na ziemię.

Gordon osłupiał z przerażenia.

W środku pokoju na haku od lampy wisiał Ostap.

## ROZDZIAŁ CZWARTY. ZARANIE<sup>211</sup>

### I

— Czy ratusz zupełnie spłonął? — spytał Gordon, nie patrząc na Botkę.

— Kiedy odchodziłem, leżały tylko gruzy murów<sup>212</sup>... Willa Kortumów pali się jeszcze jasnym płomieniem.

— I wszyscy są przekonani, że to Sobek zrobił?

— O nie! i to właśnie źle. Zdaje się, że Okonek ściągnął na siebie bodaj<sup>213</sup> podejrze-  
nie...

— To rzeczywiście źle! — dorzucił Gordon, nie zwracając jednak dalej uwagi.

— Hartmann ma pieniądze? — zapytał znowu.

— Wszak wiesz już o tym.

— Czy mówileś z Ostapem, nim się powiesił?

— Tak.

— Czy mówił ci, że to zrobi?

— Tak. Prosił, aby go zostawić w spokoju, do takiego czynu trzeba wiele spokoju.

— Która mogła być godzina, kiedy się powiesił?

— Mniej więcej trzecia.

— Więc niedługo przedtem nim wróciłem?

— Tak. Czy masz zamiar zarządzić środki ratunkowe?

Gordon milczał.

— Postępujesz nierozważnie, Gordonie — zauważył Botko. — Nie powinienes teraz wprowadzać obcych do domu. Co chcesz począć z tą chorą?

<sup>206</sup>prawie z rozpaczą — w oryg. niem. *halb in Verzweiflung*: na wpół ze zwątpieniem, z pewnym zwątpieniem. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>na dół — w tłumaczeniu brak słowa: *trug*: zaniósł. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>Nie zdawał sobie z tego sprawy... — w oryg. niem. *Das wusste er nicht* (Tego nie wiedział); red. WL. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>ciśniesz mnie — w oryg. niem. *du thust mir weh*; raczej: sprawiasz mi ból. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>nieludzkim — w oryg. niem. *unnatürlichen*: nienaturalnym. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>Zaranie — w oryg. niem. *Das Vorspiel als Epilog*: Prolog jako epilog. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>leżały tylko gruzy murów — w oryg. niem. *waren nur noch Reste von Umfassungsmauern* (zostały jeszcze tylko resztki murów zewnętrznych); red. WL. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>bodaj — tu: przynajmniej. [przypis edytorski]

Gordon siedział głęboko zamyślony.

— Co chcę począć?

Myślał.

— Co chcę począć? Oczywiście nic. Tymczasem siedzi przy niej Michalina, a Maciej pojechał do miasta po doktora.

Botko spojrział na niego przerażony.

— Ależ na miłość Boską, w takim razie musimy go usunąć! — wskazał na sofę.

Na sofie leżał Ostap. Twarz jego wyglądała przerażająco. Wargi skrzywione złośliwym skurczem, język wywieszony, oczy w pół otwarte.

Gordon zerwał się.

— Tak, na Boga! Musimy go natychmiast usunąć.

— Ale dokąd?

— Do stodoły. Naturalnie do stodoły. Ukryjemy go w słomie, a potem podpalimy stodołę. Która godzina?

— Wpół do siódmej... Nikt nas chyba nie zobaczy?

— Nie, nie...

— No, więc szybko! Bierz go za głowę!

Botko chwycił Ostapa za nogi.

Gordon wpatrywał się przez chwilę w Botkę, jakby nieprzytomny.

— Nie, ty... nie! Weź go za głowę. Nie mogę patrzeć na tę twarz.

— Wszystko mi jedno! Ale do diabła, ty nie drżysz chyba?

— Nie, nie!

Gordon zebrał wszystkie siły. Wstydził się swej słabości. Otworzył drzwi prowadzące na podwórze i brutalnie chwycił trupa za barki. Botko ujął go w milczeniu za nogi.

Szli ostrożnie przez podwórze, ale nagle potknął się Botko i upuścił nogi Ostapa.

Gordon rozśmiał się szyderczo<sup>214</sup>.

— Idź, otwórz stodołę. Ja sam dam sobie radę...

Wziął Ostapa na ręce, ale ciągle potraçał głową trupa o szereg wozów stojących przed stodołą; unióśł się wściekłością, położył go na ziemi, chwycił pod ramiona i włókł po ziemi. Wydawało mu się, że trup waży tysiące cetnarów<sup>215</sup>. Z nadzwyczajnym trudem stanął przed bramą stodoły.

— Jesteś tu? — szepnął. — Pomóż mi przecież.

Obaj wnieśli Ostapa do stodoły i pokryli snopkami słomy.

— Będzie mu tu ciepło — szydził Gordon, chichocząc.

Kiedy wrócili do pokoju, Gordon, znużony, rzucił się na sofę. Botko chodził po pokoju wielkimi krokami. Nagle zatrzymał się.

— Teraz ostatni czas, abym zniknął. Skoro wieczór zapadnie, ruszę w drogę.

— Nie chcesz zobaczyć, co się dzisiaj stanie? — spytał obojętnie Gordon.

— Nie! Wiem wszystko naprzód... Ale słuchaj! Nim pójdę... Czy wiesz, że łatwo możesz na siebie ściągnąć podejrzenie?

— Przecież tylko Okonek żyje jeszcze — rzekł Gordon.

Zamilkli nagle. Obaj zaniepokoiłi się.

— Ciekawy jestem, co Okonek jutro zrobi — rzekł Gordon, powstając.

Botko nie odpowiedział. Milczeli długo.

— On zna właściwie za dobrze twoje sprawy — rzekł w końcu Botko... — Jeszcze wczoraj mówiłem z nim. Jest niezwykle przebiegły... Zdawało<sup>216</sup> mi się, że myśli wyzyskać położenie.

Gordon słuchał niechętnie, ale Botko nie zrażał się tym.

— Chłopu nie można wierzyć. Łatwo się może zdarzyć, że się sam zdradzi... Wiesz przecież: ta przekłeta potrzeba wygadania się u takich ludzi... A dzisiaj ma przecież przemawiać. Bez wątpienia zaaresztują go...

Milczenie.

<sup>214</sup>rozśmiał się szyderczo — w oryg. niem. *grinste*: wyszczerzył zęby w uśmiechu. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>cetnar — jednostka masy przyjmująca różne wartości, między 40 a 60 kg. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>Zdawało (...) — w tłumaczeniu brak poprzedniego zdania, w oryg. niem. *Er könnte sehr gefährlich werden* (Mógłby stać się bardzo niebezpieczny); red. WL. [przypis edytorski]

— Przed dwoma laty zapijał się — rzekł Botko po chwili. — Miał nawet napady delirium. Nieprawda?

— Tak.

— Ci ludzie są niepoczytalni. A ty nie postępowałeś z nim z należytą ostrożnością. Bardzo lubi gadać. A nie jest bynajmniej głupi. Wie nawet o tym, że możesz być karany za to samo, żeś wiedział o tym, że on właściwie zastrzelił ci leśniczego.

— Mam dla niego paszport do Rosji — rzekł Gordon niespokojnie.

— Jak daleko z nim zajedzie? Chłop nie da sobie z tym rady.

— Dam mu pieniądze...

Botko zmarszczył brwi i gryzł nerwowo papierosa, który gasił ciągle.

— Dzisiaj wieczorem, tak około dziesiątej, będzie w lesie czekał na ciebie, tuż przy tym wielkim kamieniu.

Gordon wpatrzył się przerażony w Botkę.

— Czy ty mu kazałeś?

— Tak.

Przez chwilę patrzyli sobie wrogo w oczy.

— Musisz to zrobić! — szepnął Botko. — Inaczej wszyscy moglibyśmy zginąć.

Gordon usiadł. Był blady jak chusta.

— Musisz! — szepnął Botko powtórnie.

— Milcz! — krzyknął nagle Gordon.

Milczeli długo...

— Dziwna rzecz, że Mizerski jeszcze nie przyjechał — rzekł Gordon.

Pauza.

— Zrobiłeś bardzo wiele, Botko — rzekł wreszcie Gordon. — Bez ciebie nie zdołałbym tego wykonać... Moja energia słabła... Trzeba być całkiem swobodnym, aby spokojnie i pewnie dokonywać takich dzieł...

— A ty nie jesteś swobodny? — spytał Botko.

— Wkrótce będę...

Powstał.

— Musisz teraz iść, Botko; doktor lada chwila nadejdzie. A powiedz tym zgłupiałym idiotom w Londynie, temu śmiesznemu komitetowi centralnemu — Gordon śmiał się szyderczo — że plwam na ich organizatorskie pomysły. Powiedz im, że nie chcę nic wiedzieć o ich ideach ogólnoludzkich. To, co czynię, czynię tylko w tym celu, aby niszczyć życie. Powiedz im, że moim jedynym dogmatem jest niszczenie życia...

— Tego im nie powiem.

— Czy ty grasz z nimi komedię? — spytał Gordon pogardliwie.

— Tak... to, to samo bydło, które ty tutaj wzburzyłeś. Chwilowo potrzebuję ich jeszcze... Chwilowo. Może niedługo ludzie zasmakują w niszczeniu życia, wtedy nie będzie potrzeba roztaczać przed nimi obrazów lepszej przyszłości.

— Może... — Gordon zamyślił się.

— Tak, tak, masz zapewne słuszość — rzekł nagle. — Chwilowo jeszcze... Może w przyszłym roku zdołamy wszystko zrobić bez ich pomocy? Ty, ksiądz, Hartmann i ja...

— Hartmann, to wspaniały człowiek. Po włamaniu spierał się całkiem obojętnie z Ostapem o Bakunina i Schopenhauera. He, he... Obaj są pesymistami, ale Schopenhauer nie chce poświęcić życia. Bakunin chce wszystko zniszczyć bez litości.. Hartmann jest bajecznie spokojny... No, bądź zdrów. Pod Philippi<sup>217</sup> i tam dalej...

Uścisnęli się.

Gordon nasłuchiwał; sanki zajęchały.

— Musisz to zrobić! — rzekł Botko stanowczym i ostrym tonem.

— Dobrze!

Botko znikł.

Gordon wyszedł do sieni naprzeciw Mizerskiemu.

<sup>217</sup>pod Philippi — w 42 r. p.n.e. w bitwie pod Filippi starła się armia republikańska pod wodzą Brutusa i Kasjusza, którzy wcześniej zorganizowali spisek, doprowadzając do zabicia Juliusza Cezara (jako tyrana) z armią obrońców cesarstwa dowodzoną przez Marka Antoniusza i Oktawiana (politycznego sprzymierzeńca i usynowionego spadkobiercę Cezara); gdy oczywiste stało się, że klęska jest nieuchronna, Brutus popełnił samobójstwo, przebijając się mieczem, zaś Kasjusz kazał się zabić niewolnikowi. [przypis edytorski]



Ze zdumieniem spostrzegł, że Hela przyjechała z nim razem.

— Hela chciała koniecznie jechać ze mną, aby pielęgnować Polę — rzekł Mizerski.

— No, ona jest przecież po części lekarzem. Ale to biedne dziewczę, w jaki sposób się tu dostało?

Gordon opowiadał krótkimi, urywanymi słowami. Za ledwie wiedział, co mówił.

W tej samej chwili spostrzegł, że Hela przeszywa go badawczym spojrzeniem.

— Jestem bardzo wdzięczny, panno Heleno, że pani raczyła przyjechać...

Odwróciła głowę.

— Gdzież leży?

Gordon otworzył drzwi do swojej sypialni i wrócił do pracowni. Był tak znużony, że ledwie trzymał się na nogach.

— Dobrze się stało — mruknął. — W przeciwnym razie wstrząśnienia, spowodowane historią z kanarkiem, nie przeszłyby bez śladu.

I znowu czuł tę samą obojętność, co wczoraj, względem siebie i wszystkich.

Za nim, w głębi, ogień pożerał miasto.

Gdyby go ktoś zapytał: czy ty to zrobiłeś, odpowiedziałby bez wahania: tak.

Tak, tak, tysiącrotnie tak.

Wyobrażał sobie to wspaniałej, potężniej.

Prawie brzydził się wszystkim.

Spodziewał się, że nasyci swoją nienawiść, a doznawał tylko obrzydzenia.

Jakież marne, jakież brudne było to wszystko. Nędzna odrobina ognia; nędzna odrobina pieniędzy. Nie mogło nawet wystarczyć, by urządzić większe bezrobocie.

A ludzie, niby głupie zwierzęta w deliriach trwogi! Przypomnił sobie ich krzyki, wycia, procesje, bezmyślne bieganie tu i tam.

— Śmieszne!

Ale teraz musiał dalej prowadzić swoje dzieło, aby móc rozpocząć wielki czyn.

Wpatrywał się długo, długo przez okno w brzaski dnia.

Tak... dniało. Nadchodził śmieszny, banalny dzień z pragnieniem życia.

Doktor wrócił.

— Z biednym dziewczęciem bardzo źle...

Obmył sobie ręce.

Gordon patrzył na niego w milczeniu.

— Co pan myślisz o tym strasznym pożarze?

— Ta odrobina ognia! — Gordon powiedział to zupełnie bezwiednie.

Mizerski przyglądał mu się uważnie.

— Zdaje mi się, że i pan nie jesteś zupełnie zdrowy. Masz pan gorączkę...

Gordonowi było nieprzyjemnie, że stary tak uważnie się mu przyglądał.

— Widzisz pan już we mnie swojego przyszłego pacjenta. No, jeszcze nie tak prędko...

— próbował się uśmiechnąć, ale był tak znużony, że ruch twarzy go męczył.

— Spodziewam się... — Mizerski wdział futro. — Hela tu zostanie. Sądzę, że nie będziesz pan miał nic przeciwko temu.

— Owszem, przeciwnie... Jestem uszczęśliwiony... Odwiozę pana teraz. Muszę odszukać biednego Wrońskiego.

Szukał kapelusza.

— Czy umrze? — spytał nagle.

— Jeszcze dziś się rozstrzygnie.

— Jeszcze dziś?

— Tak sądzę.

W tej chwili Gordon czuł z dziwną pewnością, że Pola umrze. I w tejże chwili ujrzał, jak w wizji, oczy Heli wpijające mu się w duszę ze strasznym wyrzutem.

Rozśmiał się<sup>218</sup> urwanym śmiechem.

— No, pojedziemy doktorze.

<sup>218</sup>rozśmiał się — dziś popr.: roześmiał się. [przypis edytorski]

## II

Gordon odesłał sanki do domu, pożegnał się serdecznie z Mizerskim, szedł chwilę i zatrzymał się.

Właściwie miał zamiar odwiedzić grób Wrońskiego, może zrobić parę uwag<sup>219</sup> nad jego popiołami na gruzach spalonego ratusza.

Wroński bezwarunkowo zginął w ratuszu.

Gordon przypomniał sobie nagle, że wczoraj nie zamknął mieszkania Stefana. Świetnie... Mógł tam przespać spokojnie kilka godzin.

Uśmiechnął się zadowolony.

Szedł i myślał po drodze z pewną radością<sup>220</sup>, ile poszlak gromadziło się przeciwko niemu. Właściwie powinni byli przecież wiedzieć, że Pola bynajmniej nie przybiegła do niego w gorączce, jak to opowiedział Mizerskiemu, lecz że odwiózł ją i musiał mieć wobec tego wiadomości o zagadkowym zniknięciu Stefana. Powinni by także wiedzieć, że Ostap powiesił się w jego mieszkaniu i że toż samo mieszkanie służyło jako kryjówka zagadkowemu człowiekowi, człowiekowi, o którym Kasia z pewnością mogłaby dużo opowiedzieć...

No tak: to wszystko jednakże nie były dowody sądowe.

Łamał sobie tylko głowę nad pytaniem, jak prokurator wytłumaczył by sobie zniknięcie dwóch ludzi...

Trzech, trzech ludzi! Czyż rzeczywiście musiał to zrobić? Nogi mu zadygotały, zachwiały się.

Tak, to się musiało stać. Wiedział to już dawno.

Zacisnął zęby.

Ale ktoś podpalił willę Kortumów? Prawdopodobnie kuzyn Wrońskiego... Wspaniała rzecz, że to się przynajmniej stało...

Pokój Wrońskiego był pełny dymu. Knot lampy zetlił się zupełnie.

Gordon otworzył okno, potem zaryglował z wewnątrz drzwi, poszedł do pokoju Poli, rzucił się na łóżko i zasnął natychmiast.

Obudził się dopiero późno po południu. Wstał, rozglądał się długo po pokoju: kanarek leżał — chory u *niego*...

W kuchni znalazł chleb i masło. Jadł z wielkim apetytem.

Potem zamknął mieszkanie, schował klucz do kieszeni i wyszedł na ulicę.

W dali usłyszał krzyk, potem znowu nastąpiła cisza i znowu długi przeciągły pomruk.

— Aha! Teraz się zaczyna — myślał zadowolony. Cieszył się z dokładności, z jaką rozwijały się jego plany.

Na rynku pod otwartym niebem gniotło się<sup>221</sup> olbrzymie zgromadzenie robotników.

To było coś niesłychanego w tym mieście. We wszystkich oknach widział Gordon ludzi przypatrujących się z naprężoną uwagą<sup>222</sup> niezwyklemu widowisku.

Okonek stał na beczce i, krzycząc z całej siły, przemawiał do tłumu.

Kilku chłopców rozdzielało między robotników odezwę wydrukowaną na czerwonym papierze.

Każde zdanie, które Okonek wypowiedział, nagradzał tłum grzmiącym oklaskiem<sup>223</sup>. Ludzi ogarnęła gorączka. Nie uważali wcale na treść mowy. Cieszyli się tylko, że nadarzała się im sposobność wyrzucić z serca nienawiść i wściekłość.

— Ten pies uciekł — krzyczał Okonek. — Pogwałcił nasze córki, żył z naszego potu, wysłał nam szpik z kości, podpalił fabrykę i z milionami ubezpieczonych sum zbiegł do Ameryki wraz ze swymi dziewczkami!...

Tłum wył i szalał przez chwilę.

— Życ z potu... wspaniała przenośnia! Okonek jest dowcipny — pomyślał Gordon i uśmiechnął się zadowolony.

<sup>219</sup>zrobić parę uwag — w oryg. niem. *Betrachtungen anstellen*: snuć rozważania. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>z (...) radością — w oryg. niem. *Vergnügen*: z przyjemnością. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>gniotło się — w oryg. niem. *drängte sich*: przepychało się, tłoczyło się. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>z naprężoną uwagą — niem. *mit großer Aufregung*: z wielkim podnieceniem, wzburzeniem, ekscytacją. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>oklaskiem — dziś popr.: oklaskami. [przypis edytorski]

— Bracia! Bracia! — krzyczał Okonek wśród dzikich, rozszalałych ruchów<sup>224</sup>. — Co teraz poczniemy? Gdzie praca? Gdzie chleb? Czy mamy umierać z głodu?

Kilku policjantów torowało sobie drogę wśród tłumu. Krzyczeli i roztrącali w imieniu prawa, ale tłum szydził z nich, a w końcu rzucił się na nich; znikli jak drobne robactwo między lawiną<sup>225</sup>.

— Miasto musi nam dać pracę. Żądamy tego — pójdziemy do burmistrza.

— Do burmistrza! — krzyczał tłum.

— No, to będzie piękne — pomyślał<sup>226</sup> Gordon. — Biedny wujaszek, biedny urząd gminny...

Okonek zrywał się ostatnimi wysiłkami<sup>227</sup>. Głos jego wydawał się nienaturalnie potężnym. To nie był już głos ludzki, w fanatyzmie nienawiści chłop wzrósł na olbrzymia.

— A jeśli nie dadzą nam chleba, nie dadzą dalszych praw, to sami je weźmiemy! Ale teraz spokojnie, bracia, spokojnie!

Znikł w tłumie. Cały rynek był zapchany. Ale jakby na tajemne skinienie poruszył się tysięczny tłum, z hukiem popłynął szeroką ulicą. Nagle wzniosły się sztandary z czerwonego sukna, ktoś zaintonował pieśń, którą pochwyliło setki głosów: pieśń, jakiej nikt nie znał w mieście prócz robotników, dziką, rozdzierającą pieśń zemsty: *Czerwony sztandar*.

Gordon szedł z tłumem. Serce biło mu gwałtownie.

Przed domem burmistrza zatrzymali się robotnicy.

Cała ulica była zapełniona ludźmi. Powstał straszny natłok<sup>229</sup>.

Nagle nastała śmiertelna cisza. Słychać było tylko zamykanie okiennic w sklepach, bojaźliwe barykadowanie okien wystawowych: posiadających przejęła nagła trwoga.

— Burmistrz! — krzyknął ktoś. I natychmiast zahuczeli wszyscy ochryplymi, szyszczącymi głosami: „Burmistrz! Burmistrz!”.

Burmistrz wyszedł wreszcie na balkon, niemy<sup>230</sup>, z apoplektycznie rozognioną twarzą. Oczy biegały mu jak u szaleńca. Nie mógł pojąć tego wszystkiego. Ten bunt w jasny dzień. Znikąd pomocy. Znikąd rady, nawet Gordon go opuścił.

Czarna masa zalewająca ulicę pozbawiała go rozumu.

— Panie burmistrzu — przemówił Okonek. — Oto stoją tu biedni ludzie pozbawieni chleba wskutek łotrostwa Schnittlera. Teraz miasto musi im dać pracę!

— Pracę! Pracę!

— Spokój! — huknął Okonek zachryplym głosem i znowu nastała cisza.

— Co? Co? — Burmistrz nie rozumiał ani słowa.

— Nie chcemy ginąć z głodu! — krzyczał Okonek. — Skąd weźmiemy kawałek chleba?

W tej chwili burmistrz popadł w dziką wściekłość. Widział, jak tłum wyciągał ku jego gardłu przerażająco długą rękę, czuł, jak tysięczna hiena powala go, dusi i rozdziera w kawały...

— Psy! — krzyknął ochryple — każę strzelać do was!...

Wtedy zbudził się ryk i wycie tysiąca głodnych, żądnych chleba głosów. W mgnieniu oka rozniosła się pogłoska, że burmistrz telegrafował po wojsko, że za chwilę zostaną wystrzelani. To odjęło tłumowi rozsądek. Szał zerwał się z wodzy, dzika rzeka rwała wszelkie tamy.

Chleba! Chleba!

Jakiś robotnik rozbił okiennice rzeźni: to było hasło.

W mgnieniu oka tłum rzucił się na rzeźnię i piekarnie. Wylamano drzwi i okna, dziki okrzyk tryumfu zagłuszał jęk i płacz gniewionych i tratowanych.

<sup>224</sup>wśród (...) ruchów — w oryg. niem. *mit (...) Gesten*: gestykulując. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>między lawiną — dziś popr.: pod lawiną a. wśród lawiny. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>pomyślał — w oryg. niem. *lachte*: zaśmiał się. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>zrywał się ostatnimi wysiłkami — w oryg. niem. *raffte sich zur letzten Anstrengung auf*: zdobył się na ostatni wysiłek. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>tysięczny — dziś popr.: tysięczny. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>natłok — w oryg. niem. *Gedränge*: ścisk. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>niemy — w oryg. niem. *sprachlos*, raczej: oniemiały. [przypis edytorski]

Gordon przycisnął się do ściany. Z ogromnym trudem zdołał się wydobyć z natłoku<sup>231</sup>. Był oszołomiony krzykiem, ale dusza jego rozplómięła się rozkoszą zniszczenia.

Nagle stało się coś strasznego.

Jakiś kupiec strzelił do tłumu.

Tłum zmienił się w rozszalałą bestię. Zemsta ludu olbrzymiała ku niebu i niosąc zniszczenie, toczyła się przez miasto.

I Gordon olbrzymiał. Nieznana mu dawniej energia, głucha<sup>232</sup> moc wpływała w jego duszę.

— To przygrywka — rzekł głośno sam do siebie.

To było zupełnie coś innego jak<sup>233</sup> ten śmieszny pożar wczorajszej nocy.

To było niemal szczęście!

Tylko więcej jeszcze! Więcej! Całe miasta, całe prowincje, cały kraj, świat cały zniszczyć: to było<sup>234</sup> prawdziwe szczęście.

Odetchnął ciężko, był bliski omdlenia. Ściemniło mu się<sup>235</sup> przed oczami; przez klika sekund nic nie widział; nic nie słyszał...

Usiadł na ziemi. Napad minął.

### III

Okonek stał i czekał.

Zachmurzyło się i znowu deszcz padał. Wilgotny chłód mroził jego członki. Przemókł zupełnie i szczął zębami jak w febrze.

W głowie szumiało mu. Nie wyobrażał sobie nigdy sprawy w ten sposób. Wypadki kilku ostatnich godzin wirowały mu przed oczyma.

Widział, jak tłum rzucił się na sklepy; jak grabił i rabował. Widział krwawe, poszarpane ciało kupca, który strzelił do tłumu; widział wojsko wchodzące do miasta, widział tłum rozpędzany szablami.

I za to wszystko miał *on* odpowiadać.

Osłabł z trwogi.

Ale cóż tak złego powiedział? Chciał przecież prosić burmistrza o pracę. Wszak prosił pokornie, z należnym uszanowaniem.

Ale potem przypomniał sobie wszystko, co mówił, jak podburzał robotników, jak zwywał, by sami wymierzili sobie sprawiedliwość...

Nie mógł oddychać z trwogi.

I widział się zdradzonym<sup>236</sup>, skrupowanym, wtrąconym do więzienia...

Ten przeklęty Gordon wtrącił go w to nieszczęście; ale on nie będzie cierpieł niewinnie, powie wszystko. Oszołomiono go, zmuszono do wszystkiego... A to z leśniczym... e — e: Gordon będzie się strzegł wspominać o tym. Ładnie by go ukarano za współwiedzę.

Było mu strasznie zimno. Biegał wkoło, ale trwoga rosła do niezmiernych rozmiarów i ubezwładniała<sup>237</sup> mu członki.

Teraz Gordon musiał mu pomóc — teraz musiał mu pomóc, ten łotr.

W tej samej chwili usłyszał cichy świst.

To Gordon.

Okonek odetchnął...

— Cóż myślisz teraz robić? — spytał Gordon.

— Musisz mi pan pomóc! Pan wtrąciłeś mnie w to nieszczęście.

— Czyż nie wiedziałeś, co czynisz?

— Nie wiedziałem. Byłem oszołomiony. Powiedzieliście mi, że chodzi tu o niewinną agitację na korzyść robotników, a tymczasem rabowano i mordowano... Teraz musisz mi pan pomóc. Mówię to tylko w pańskim interesie.

<sup>231</sup> *natłok* — dziś w tym znaczeniu (wielkiej masy ludzi): tłok. [przypis edytorski]

<sup>232</sup> *głucha* — w oryg. niem. *düstere und dumpfe*, raczej: mroczna i dziwna. [przypis edytorski]

<sup>233</sup> *innego jak* — dziś popr.: innego niż. [przypis edytorski]

<sup>234</sup> *było* — w oryg. niem. *wäre*: byłoby. [przypis edytorski]

<sup>235</sup> *Ściemniło mu się* — dziś: pociemniało mu. [przypis edytorski]

<sup>236</sup> *zdradzony* — w oryg. niem. *verraten*, tu raczej: wydany (policji). [przypis edytorski]

<sup>237</sup> *ubezwładniać* — dziś popr.: obezwładniać. [przypis edytorski]

— Jak to w moim?  
 — Pan kierowałeś przecież wszystkim, a ja byłem tylko głupim narzędziem...  
 Gordon milczał.  
 — Więc cóż myślisz teraz robić? — spytał nagle.  
 — Nieznajomy powiedział mi, że dasz mi pan pieniądze i paszport.  
 — Więc chodź.  
 — Dokąd? — Okonek zdradzał dziwne niedowierzanie.  
 — Czy sądzisz, że się to da zrobić tak szybko? Ukryję cię przez kilka dni w moim domu, dopóki wszystkiego nie załatwię.  
 Szli w milczeniu.  
 — Gdyby mnie schwytano, sprawa może wziąć zły obrót — rzekł nagle Okonek. Czuł nieprzepatą chęć rozmawiania.  
 — Sądzisz, że nie możesz ręczyć za siebie?  
 — Och, pan nie wie, co to więzienie. Człowiek może oszaleć. Przyznaje się do wszystkiego w nadziei, że go uwolnią; zdradziłby własnych rodziców, byleby się wydobyć. Więzienie jest gorsze od śmierci. A za to podpalenie, za ten mord grozi więzienie, dwadzieścia, trzydzieści lat więzienia...  
 Gordon nic nie mówił.  
 Okonek drżał z trwogi. Chciał teraz mówić, by zagłuszyć swoją trwogę.  
 — Żołnierze zabili pięciu ludzi. Ale rzeczywiście nie można było tego bydła utrzymać na wodzy. Musieli rabować, grabić, mordować...  
 Okonek rozpoczął długą obronę własną.  
 ...On myślał naturalnie, że to wszystko załatwi się w najpiękniejszym porządku; chciał pouczyć robotników, co mają robić...  
 ...Boże, Boże, gdyby był przypuszczał, co się stanie...  
 Mówił bez przerwy, ustawicznie powtarzał jedno i to samo, przerywał sobie okrzykiem rozpacz z powodu nieszczęścia, w jakie go Gordon wtrącił.  
 ...Podpalić! Podpalić fabrykę lichwiarza, tak, to zupełnie co innego! To rodzaj osobistego wymiaru sprawiedliwości. Ale podburzyć do grabieży i rabunku niewinnych ludzi... nie! to nie wolno. Zresztą, nie wie wcale, co mówił. Choćby go posiekano w kawałki, nie umiałby powtórzyć ani słowa ze swojej mowy. Ten nieznajomy dał mu ją, on wyuczył się na pamięć jak papuga... Nieznajomy dał mu także najświętsze zapewnienie, że mu się nie stać nie może, a teraz żołnierze biegają za nim jak szaleni, szukają go, aby go uwięzić...  
 — Skąd to wiesz?  
 — Widziałem, że uwięziono wielu ludzi, a ci z pewnością wszystko wypapląją. Boże, toż będą śpiewać!  
 Weszli na torfowisko.  
 Okonek ciągle jeszcze rozprawiał gwałtownie. W miarę, jak Gordon milkł, on czuł coraz większą potrzebę mówienia.  
 ...Gordon winien jego całemu nieszczęściu.  
 ...Odkąd zastrzelił leśniczego — a musiał go zastrzelić w obronie własnego życia — popadł w moc złego ducha. Gordon nie powinien się o to gniewać na niego, ale dla niego jest gorszy jeszcze niż zły duch... Zajmuje go bardzo agitacja celem zaprowadzenia ośmiogodzinnej pracy i podwyższenia płac robotnikom. Gordon wie przecież, jak dzielnie pracował w agitacji. Ale to, co się dzisiaj stało...  
 To był powtarzający się ciągle refren. Z każdym krokiem naprzód rosła w nim obawa i strach przed tym, co go czeka. Zdawało mu się, że ktoś idzie za nim ciągle, ślad w ślad.  
 Weszli na wąską ścieżkę prowadzącą między dwoma dołami torfowymi.  
 — Gdzie my idziemy? — spytał nagle Okonek i rozejrzał się błędnie.  
 W tej samej chwili zepchnął go Gordon całą siłą ze stromego brzegu.  
 Okonek wydał zwierzęcy krzyk i zanurzył się.  
 Gordon, zrzucając Okonka, poślizgnął się i upadł w tył.  
 Nim jednak zdołał się podnieść z osłizłej ziemi, Okonek wynurzył się i, walcząc ze śmiercią, uczył się jego nogi. Gordon czuł, jak go szarpie z rozpaczliwą siłą, czuł, jak przemokły torf usuwa mu się spod nóg, ale w tej samej chwili wyrwał nogę i z nieludzką siłą kopnął Okonka w głowę.  
 Straszny krzyk!

Gordon podniósł się i z błyskawiczną szybkością obiegł wkoło dołu<sup>238</sup>. Po drugiej stronie stały wysokie kupy torfu, staczał je do wody z dzikim pośpiechem.

Miał siły olbrzymia. W kilku minutach<sup>239</sup> zasypał zupełnie dół w miejscu, gdzie wrzucił Okonka.

Wtedy oprzytomniał. Czuł wstręt.

— Nie! Do diabła! Nie upadł jeszcze tak nisko, żeby być grabarzem chłopów.

Czekał, czy Okonek nie wynurzy się jeszcze.

Nie!

Chciał już odejść, ale nagle zdało mu się, że to wszystko trwało tylko kilka sekund. Okonek mógł żyć jeszcze.

Czekał znowu, doliczył do tysiąca, aby zyskać miarę czasu, chciał potem odejść, ale dziwna trwoga ciągle jeszcze zatrzymywała go nad dołem.

Wreszcie wmówił w siebie, że Okonek już dawno utonął, i odszedł.

Powoli uspokajał się.

To było konieczne! Musiało się stać!

Cóż warte życie jednego chłopca? Rolę, jaką mu przeznaczył, odegrał. Był tylko narzędziem, a wytrych najłatwiej zdradza złodzieja.

Splunął.

Tylko tego krzyku, tego strasznego krzyku nie mógł zapomnieć. Brzmiał mu ciągle w uszach.

Ale w miarę zbliżania się do domu, zapominał powoli o krzyku. Myślał teraz o spuszczeniu całej prowincji... To był plan najbliższej przyszłości... Ha, ha, śmieszny Schopenhauer, potępiał życie, a nie chciał go poświęcić.

Bakunin był przynajmniej konsekwentny...

I znowu myślał o kapłanie, z którego pomocą miał pozyskać dla swych planów zniszczenia tysiące i tysiące ludzi, byle tylko<sup>240</sup> Hartmann miał pole do odbudowywania...

I uśmiechnął się.

#### IV

Kiedy wszedł na podwórze, spostrzegł światło w swojej pracowni.

Pola umarła!

Wiedział to z wszelką pewnością.

W pokoju siedziała Hela z chorobliwymi, szeroko rozwartymi oczami. Kiedy wszedł, obrzuciła go przelotnym spojrzeniem i patrzyła dalej przed siebie.

Z ubrania Gordona ściekał brud i woda, ale nie zważał na to. Śmiertelnie znużony rzucił się na krzesło i patrzył na nią, nie widząc jej.

— Pola umarła — rzekła w końcu.

— Wiem.

Znowu upłynęło wiele czasu.

— Czy była twoją kochanką? — spytała nagle.

— Tak!

Rozśmiała się<sup>241</sup> urywanym śmiechem.

— Czemu przyszedłeś wtedy do mnie? Czego chciałeś ode mnie?

— Nie chciałem, abyś skalala w twej duszy mój obraz przez stosunek z innym.

— Kłamiesz!

— Nie! Kiedy przyszedłem do ciebie, nie myślałem wprawdzie o tym; ale kiedy cię zobaczyłem, pokochałem cię znowu.

— Czemu więc właściwie przyszedłeś?

— Aby wyzwolić Ostapa... Zaczynał kochać życie...

— Wy obaj zrobiliście to wszystko? — wskazała ręką ku miastu.

Nie odpowiedział.

— Gdzie Ostap? — spytała po chwili.

— Powiesił się.

<sup>238</sup> obiegł wkoło dołu — dziś popr.: obiegł wkoło dół. [przypis edytorski]

<sup>239</sup> w kilku minutach — dziś popr.: w kilka minut. [przypis edytorski]

<sup>240</sup> byle tylko — tu: aby. [przypis edytorski]

<sup>241</sup> rozśmiała się — dziś popr.: roześmiała się. [przypis edytorski]

Nie zdziwiła się wcale.  
Tak siedzieli może godzinę, nie mówiąc ani słowa.  
— Dziś przestałam cię kochać — rzekła w końcu i podniosła się.  
Podała mu rękę.  
On ujął jej rękę i pocałował.  
— Dziękuję ci — powiedział cicho. — Miłość ku tobie dała mi hart i rozpacz. Inaczej nie zdołałbym może zrobić tego wszystkiego...  
— Bądź zdrow!  
— Gdzie idziesz?  
— Do domu.  
Przez chwilę myślał o tym, że była noc, że deszcz padał. Ale nie rzekł ani słowa; wiedział, że bezskutecznie by ją zatrzymywał.  
We drzwiach stanęła.  
— Więc rzeczywiście była twoją kochanką?  
— Tak!  
Odeszła.  
Gordon siedział jeszcze długo, potem podniósł się mechanicznie i zmienił ubranie.  
W pokoju stała kałuża brudu i błota.  
Wstrętne!  
Poszedł do pokoju, gdzie leżała Pola. Spoglądał długo na zmarłe lica i ujął jej zlodowaciałą rękę.  
Kanarek był nieżywy. Teraz miała spokój.  
Na dworze wstawał szary świt.  
Wpatrzył się w brzask.  
Ręka zmarłej paliła jego gorączkujące dłonie.  
Ujrzał w dali ciemne zarysy stodoły. To było krematorium, olbrzymi grobowiec Ostapa.  
Jutro duch jego wyzwoli się w ogniu. Jutro obróci się w proch, z którego powstał.  
I jutro wyswobodzę się z całej przeszłości, zaczem<sup>242</sup> rozpocznę nowe dzieło.

---

<sup>242</sup>zaczem (daw.) — po czym. [przypis edytorski]

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/przybyszewski-dzieci-szatana>

Tekst opracowany na podstawie: Stanisław Przybyszewski, *Dzieci szatana*, wyd. Księgarnia Polska, Lwów 1899.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Eine Publikation im Rahmen des Projektes Wolne Lektury. Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Anna Kowalska, Dorota Kowalska, Paulina Choro mańska.

Okładka na podstawie: jenny downing@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0766-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.